


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



O KRASNOLUDKACH I O SIEROTCE MARYSI

MARIA KONOPNICKA

Najpiękniejsza książka

Zdarzyło się to dawno, bo jakieś siedemdziesiąt kilka lat temu.

Do księgarni wydawniczej Michała Arcta w Warszawie wchodzi pani w średnim wieku, ciemno, skromnie ubrana. Jest niewysoka, drobna, w binoklach na oczach.

Będący właśnie w sklepie właściciel firmy żywo do niej podbiega, wita się.

– Czy może pani poświęcić mi chwilę czasu? Przed paru dniami wróciłem z zagranicy. Nabyłem tam piękne, kolorowe obrazki. Bardzo bym pragnął, aby pani je obejrzała.

– I owszem, z chęcią.

Drobna pani ogląda obrazki. Pełno na nich krasnoludków. Tu jakiś paraduje z wielką księgą pod pachą i gęsim piórem za uchem. Tu gramolą się całym tłumem na wóz. A tu dziewczynka pilnuje paru gąsek...

– Czy się one pani podobają?

– Tak, tak. Bardzo miłe.

– A więc może by pani – nieśmiało proponuje – zechciała wybrać sobie jakiś z nich i napisać do tych obrazków jakąś historyjkę dla dzieci.

Ciemno ubrana pani na chwilę zamyśliła się.

– No, dobrze.

Owa pani była to Maria Konopnicka. A napisana przez nią do kolorowych obrazków historyjka to leżące przed Wami przepiękne, wzruszające opowiadanie „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”.

W opowiadaniu tym, jak słońce w kropelce rosy, odbija się cały olśniewający talent poetki Konopnickiej i odbija się jej wielkie serce.

Nie ma tu ludzi bogatych, wiodących beztrudne życie. Główną postacią opowieści jest ubożuchna sierotka Marysia zatroskana o swe siedem gąsek. I gromada krasnali-ubożąt.

Maleńkie ubożęta, które wedle legendy żyją w wieśniaczych chatkach, po zapieckach, po mysich norkach, po szparkach pod popielnikiem, mogą stać się olbrzymami. Wtedy gdy usłyszą nazwę rzeczy największej.

I oto w tym opowiadaniu biedne maleństwa, chcąc zyskać siłę w chwili niebezpieczeństwa, wymawiają słowa oznaczające rzecz największą.

– Góra! – woła jeden z nich.

– Mądrość! Siła! – wykrzykuje drugi.

Ale ich usiłowania są nadaremne. A wtem lasem poniosł się szept cichy: „Miłosierdzie”...

I na dźwięk tego słowa z maleńkich skrzatów robią się nagle olbrzymi równe sosnom borowym. Bo w dobroci, w miłosierdziu największa moc się kryje.

I jeszcze jedno uczucie działa rzeczy wielkie – to ukochanie swej ziemi.

– Gdy w sercu ubożuchnego Skrobka ocknęła się miłość do zaniedbanego zagonu, to ten słaby, zagłodzony biedak poczuł z nagłą w sobie taką siłę, że raz-dwa kawał zachwaszczonego, porośniętego dzikimi krzakami pola oczyścił, zaorał i obsiał ziarnem na chleb, na odpędzenie głodu od chaty.

Miłość do ziemi ojczystej, do jej pól, łąk i lasów to najsilniejszy ton prawie we wszystkich utworach Marii Konopnickiej.

Gdy dla poratowania zdrowia musiała wyjechać za granicę, wciąż jej tam obco i wciąż myślą jest na polskiej wsi. Pisze wtedy:

*Śpię i nie śpię, we śnie słyszę,
Jak tam żyto się kołysze...
Jak przez pole brzęczą kosy
O pszeniczne, ciężkie kłosy...*

*Śpię i nie śpię – we śnie czuję,
Jak tam w lesie dzieciół kuje,
Jak wierzbina się rozpęka,
Jak po rosie drży piosenka...*

Nie skuszają jej do pozostania dłużej na obczyźnie uroki pięknych ciepłych krajów. Za swoją ziemią tęskni i woła do niej w pięknym wierszu, i zapewnia:

*Nigdy ja was nie zapomnę,
Pola moje przefaliste,
Lasy moje przeogromne,
Wody moje bystre, czyste!*

Serce czułe na każdą niedolę, ukochanie ludu polskiego i wiara w ten lud, głęboka miłość do ojczyzny, wielka wrażliwość na piękno przyrody – oto były uczucia, które przepełniały serce tej wielkiej poetki. A jej olbrzymi talent potrafił wypowiedzieć te uczucia i myśli we wspaniałej artystycznej formie.

Wszystko to znajdziemy w tej książce. Bo Maria Konopnicka nie lekceważyła swej twórczości dla dzieci. Z taką samą żarliwością, z jaką pisała dla dorosłych, pisze i dla dzieci. Szczęśliwą myśl miał wydawca podsuwając pomysł napisania książki do zakupionych przez siebie obrazków. Z historii o Marysi i krasnoludkach Konopnicka stworzyła arcydzieło.

Pierwsze wydanie tej opowieści ukazało się w 1895 roku i od razu zachwycało i dzieci, i dorosłych.

I choć tak wiele lat minęło od pierwszego ukazania się tej książki, każde jej wznowienie witane jest z radością.

I czy to na półce biblioteki szkolnej, czy na Waszej osobistej półeczce z książkami znajduje ona najważniejsze miejsce, bo takie się jej należy.

Żadna z polskich książek dla dzieci nie potrafi tak swego czytelnika – a nawet i małego słuchacza – zachwycić i wzruszyć, i nowe myśli w jego główce wzbudzić, jak ta historia o ubożętach i o Marysi, która pasła siedem gąseczek.

Kto tę książkę pozna, pokocha ją wiernie do końca życia.

Historia o Marysi i krasnoludkach zyskała też uznanie i wśród innych narodów. Książka ta została przetłumaczona na język rosyjski, angielski, francuski, czeski i estoński.

JANINA PORAZIŃSKA

Czy to bajka, czy nie bajka

Czy to bajka, czy nie bajka,
Myślcie sobie, jak tam chcecie.
A ja przecież wam powiadam:
Krasnoludki są na świecie.

Naród wielce osobliwy.
Drobny – niby ziarnka w bani:
Jeśli które z was nie wierzy,
Niech zapyta starej niani.

W górach, w jamach, pod kamykiem,
Na zapiecku czy w komorze
Siedzą sobie Krasnoludki
W byle jakiej mysiej norze.

Pod kominem czy pod progiem –
Wszędzie ich napotkać można:
Czasem który za kucharkę
Poobraca pieczeń z różną...

Czasem skwarków porwie z rynki
Albo liźnie cukru nieco
I pozbiera okruszynki,
Co ze stołu w obiad zleca.

Czasem w stajni z bicza trzaśnie,
Koniom spleta długie grzywy,
Czasem dzieciom prawi baśnie...
Istne cuda! Istne dziwy!

Gdzie chce – wejdzie, co chce – zrobi,
Jak cień chyżo, jak cień cicho,
Nie odżegnać się od niego,
Takie sprytne małe lichy!

Zresztą myślcie, jako chcecie,
Czy kto chwali, czy kto gani,
Krasnoludki są na świecie!
Spytajcie się tylko niani.

Jak nadworny kronikarz króla Błystka rozpoznawał wiosnę

I

Zima była tak ciężka i długa, że miłościwy Błystek, król Krasnoludków, przymarzył do swojego tronu. Siwa jego broda uczyniła się srebrną od szronu, u brody wisały lodowe sople, brwi najeżone okiścią stały się groźne i srogie; w koronie, zamiast pereł, iskrzyły się krople zamarznętej rosy, a para oddechu osiadała śniegiem na kryształowych ścianach jego skalnej grotty. Wierni poddani króla, żwawe Krasnoludki, otulali się, jak mogli, w swoje czerwone opończe i w wielkie kaptury. Wielu z nich sporządziło sobie szuby i spencery z mchów brunatnych i zielonych, zbieranych w boru jeszcze na jesieni, z szyszek, z huby drzewnej, z wiewiórczych puchów, a nawet z piórek, które pogubiły ptaszki lecące za morze.

Ale król Błystek nie mógł się odziewać tak ubogo i tak pospolicie. On zimą i latem musiał nosić purpurową szatę, która, od wieków służąc królom Krasnoludków, dobrze już była wytarta i wiatr przez nią świstał. Nigdy też, za nowych swoich czasów nawet, bardzo ciepłą szata owa nie była, ile że z przędzy tych czerwonych pajęczków, co to wiosną po grzędach się snują, utkana, miała zaledwie grubość makowego listka.

Drżało więc królisko srodze, raz w raz chuchając w ręce, które mu tak zgrabiały, że już i berła utrzymać w nich nie mógł.

W kryształowym pałacu, wiadomo, ognia palić nie można. Jakże? Jeszcze by wszystko potrzaskało: posadzki i mury.

Grzał się tedy król Błystek przy blasku złota i srebra, przy płomieniach brylantów, wielkich jak skowrończe jaja, przy tęczach, które promyk dziennego światła zapalał w kryształowych ścianach tronowej sali, przy iskrach lecących z długich mieczów, którymi wywijają dzielne Krasnoludki, tak z wrodzonego męstwa, jak i dla rozgrzewki. Ciepła wszakże z tego wszystkiego było bardzo mało, tak mało, że biedny stary król szczekał zębami, jakie mu jeszcze pozostały, z największą niecierpliwością oczekując wiosny.

– Żagiewko – mówił do jednego z dworzan – sługo wierny! Wyjrzyj na świat, czy nie idzie wiosna. A Żagiewka kornie odpowiedział:

– Królu, panie! Nie czas na mnie, póki się pokrzywy pod chłopskim płótem nie zaczną zielenić. A do tego jeszcze daleko!...

Pokiwał król głową, a po chwili znów skinie i rzecze:

– Sikorek! A może ty wyjrzysz?

Ale Sikorkowi nie chciało się na mróz wystawiać nosa. Rzeknie tedy:

– Królu, panie! Nie pora na mnie, aż pliszka ćwierkać zacznie. A do tego jeszcze daleko!...

Pomilczał król nieco, ale iż mu zimno dokuczało srodze, skinie znów i rzecze:

– Biedronek, sługo mój! A ty byś nie wyjrzał?

Wszakże i Biedronkowi niepilno było na mróz i zawieję. I on się kłaniał i wymawiał:

– Królu, panie! Nie pora na mnie, aż się pod zeschlým listkiem śpiąca muszka zbudzi. A do tego jeszcze daleko!...

Król spuścił brodę na piersi i westchnął, a z westchnienia tego naszła taka mgła śnieżna, że przez chwilę w grocie nic widać nie było.

Tak przeszedł tydzień, przeszły dwa tygodnie, aż pewnego ranka jasno się jakoś zrobiło, a z lodowych sopłów na królewskiej brodzie jęła kapać woda.

We włosach też śnieg tając zaczął, a okiśie szronowa opadła z brwi królewskich i zmarzłe kropelki u wąsów wiszące spłynęły niby łzy.

Zaraz też i szron ze ścian opadać zaczął, lód pękał na nich z wielkim hukiem, jak kiedy Wisła puszcza, a w komnacie zrobiła się taka wilgoć, że wszyscy dworzanie wraz z królem kichali jakby z moździerzy.

A trzeba wiedzieć, że Krasnoludki mają nosy nie lada.

Sam to naród nieduży: jak Krasnoludek but chłopski obaczy, staje, otwiera gębę i dziwuje się, bo myśli, że ratusz. A jak w kojec wlezie, pyta: „Co za miasto takie i któreży tu do rogatek?” A wpadnie w kufel kwarciany, to wrzeszczy: „Rety! Bo się w studni topię!”

Taki to drobiazg!

Ale nosy mają na urząd, że i organiście lepszego do tabaki nie trzeba. Kichają tedy wszyscy, aż się ziemia trzęsie, życząc sobie i królowi zdrowia.

Wtem chłop po drwa do boru jedzie. Słyszając owo kichanie, mówi:

– Oho, grzmi! Skręciła zima karku! – bo myślał, że to grzmot wiosenny.

Zaraz konia przed karczmę zawrócił, żeby grosza na drzewo nie utrać, i przesiedział tam do wieczora, rachując i rozmyślając, co kiedy robić ma, żeby mu czasu na wszystko starczyło.

Tymczasem odwilż trwała szczęśliwie. Już około południa wszystkim Krasnoludkom podmarzały wąsy.

Zaczęli tedy radzić, kogo by na ziemię wysłać, żeby się przekonał, czy jest już wiosna.

Aż król Błystek stuknął o ziemię berłem szczerozłotym i rzekł:

– Nasz uczony kronikarz Koszałek-Opalek pójdzie obaczyć, czy już wiosna przyszła.

– Mądre królewskie słowo! – zakrzyknęły Krasnoludki i wszystkie oczy obróciły się na uczonego Koszałka-Opalka.

Ten, jak zwykle, siedział nad ogromną księgą, w której opisywał wszystko, co się od najdawniejszych czasów zdarzyło w państwie Krasnoludków, skąd się wzięli i jakich mieli królów, jakie prowadzili wojny i jak im się w nich wiodło.

Co widział, co słyszał, to spisywał wiernie, a czego nie widział i nie słyszał, to zmyślił tak pięknie, iż przy czytaniu tej księgi serca wszystkim rosły.

On to pierwszy dowiedział, iż Krasnoludki, ledwie na piędź duże, są właściwie olbrzymami, które się tylko tak kurczą, żeby im mniej sukna wychodziło na spencery i płaszcze, bo teraz wszystko drogie.

Krasnoludki tak dumni byli z kronikarza swego, że gdzie kto jakie zielsko znalazł, zaraz mu wieniec plótn i na głowę wkładał, tak iż mu te wieńce resztę rzadkich włosów wytarły i łysy był jak kolano.

II

Koszałek-Opalek zaraz się na wyprawę zbierać zaczął. Przyrządził sobie garniec najczarniejszego atramentu, potem wyszykował wielkie gęsie pióro, które, iż ciężkie było, musiał je jak karabin na ramieniu dźwigać; ogromne swoje księgi na plecach sobie przytroczył, podpasał opończę rzemieniem, włożył kaptur na głowę, chodaki na nogi, zapalił długą fajkę i stanął do drogi gotowy.

Wierni towarzysze zaraz się z uczonym Koszałkiem tkliwie żegnać zaczęli, niepewni, czyli go na ziemi zła jaka przygoda nie spotka i czy go jeszcze kiedy zobaczą.

Sam król Błystek miłościwy chciał go uściskać, iż bardzo sobie Koszałka-Opałka za uczoność jego cenił, ale się ruszyć nie mógł, gdyż zupełnie do tronu przymarzły mu szaty.

Skłonił tylko ze swego majestatu złote berło nad uczonym mężem, a gdy ten rękę królewską całował, stoczyło się po królewskim licu kilka jasnych pereł, które z brzękiem na kryształową posadzkę upadły. Były to zamarzniete łzy dobrego króla. Podjął je natychmiast skarbnik państwa, Groszyk, i w szkatułkę drogocenną włożywszy, do skarbcza zaniósł.

Cały dzień gramolił się uczony Koszałek, zanim z grotu na ziemię wyszedł. Droga była stroma, korzeniami odwiecznych dębów spleciona, odłamki skały, żwiry i kamyki usuwały się spod nóg, lecąc z głuchym łoskotem gdzieś na dno przepaści; zamarzłe wodospady świeciły jak szyby lodu, po których uczony wędrowiec ślizgał się w swych chodakach i tylko z największym trudem posuwać się mógł w górę.

Na domiar biedy wybrał się bez jakiegokolwiek posiłku na drogę, gdyż dźwigając wielkie księgi, wielki kałamarz i wielkie pióro, nic innego unieść już nie mógł.

Byłby Koszałek-Opalek zupełnie z sił opadł, gdyby nie to, że natrafił na dobrze zagospodarowany dom pewnego przezornego chomika.

Ten chomik miał pełną spiżarnię różnego ziarna i orzechów bukowych, z czego coś niecoś zgłodniałemu wędrowcowi udzielił, a nawet na sianie, którym dom cały był wysłany, odpocząć pozwolił, pod warunkiem, że o siedzibie jego nic a nic w wiosce nie powie.

– Bo – mówił – są tam psotne chłopaki, które jakby tylko o mnie się zwiędziały, oho! już bym przed nimi spokojności nie miał!

Koszałek-Opalek z wdzięcznością opuścił gościnnego chomika posilony na duchu i na ciele.

Szedł teraz wesół i rażny, poglądając spod ciemnego kaptura po chłopskich półkach, po łąkach, po gajach. A już ruń dobywała się i parła gwałtownie nad ziemię; już trawki młode puszczały się na wilgotnych dołkach, już nad wezbraną strugą czerwieniały pręty wikliny, a w cichym, mglistym powietrzu słyhać było kruczenie żurawi, wysoko gdzieś, wysoko lecących.

Każdy inny Krasnoludek poznałby po tych znakach, że wiosna już blisko, ale Koszałek-Opalek tak był od młodości pogrążony w księgach, że poza nimi nic nie widział w świecie i na niczym nie rozumiał się zgoła. Wszakże i on miał w sercu taką dziwną radość, taką rzeškość, że nagle zaczął wywijać swoim wielkim piórem i śpiewać znaną starą piosenkę:

*Precz, precz od nas smutek wszelki,
Zapal fajki, staw butelki!*

Zaledwie jednak był w połowie zwrotki, kiedy posłyszał ćwierkanie gromady wróbli na chruścianym, grodzącym półko płocie; urwał tedy piosenkę swą natychmiast, aby się z tą gawiedzią nie bratać, i namarszczywszy czoło, szedł z wielką powagą, iżby ona hołota wiedziała, że mężem uczonym będąc, z wróblami kompanii nie trzyma.

A że już i wioskę widać było, skręcił tedy na przydrożek, gdzie go zeszlóroczne badyle różnego chwastu prawie zupełnie zakryły, i nie postrzeżony do pierwszej chałupy doszedł.

Wieś była duża, szeroko rozbudowana wśród poczerniałych teraz i bezlistnych sadów, a ostatnie jej domostwa opierały się o ciemną ścianę gęstego sosnowego boru.

Chaty były zamożne, świeżo wybielone, z kominów ulatywał dym siny, w podwórkach skrzypiały studzienne żurawie, parobcy poili konie i porykujące bydło, a kupki dzieci bawiły się hałaśliwie na wysadzonej topolami drodze to „w gonionego”, to znów „w chowanego”.

Ale nad całym tym gwarem górował huk młota i dźwiękanie żelaza w pobliskiej kuźni, przed którą stała gromadka lamentujących niewiast.

Obaczywszy je Koszałek-Opalek posunął się ostrożnie wzdłuż plotu i stanąwszy za krzakiem tarniny – słuchał.

–A niecnota! A zbój! – mówiła jedna. – Jak on się do kowalowego kurnika zakraść nie bał, to już przed nim nigdzie kokoszy nie skryje!

A druga:

– Co to kokoszy! To było złoto, nie kokosza! Dzień na dzień jaja niosła, i to jak moja pięść! Na całą wieś takiej drugiej nie ma!

Tak znów insza:

– A mojego koguta kto zdusił? Nie jegoż to sprawka? To jakem zobaczyła te jego roztrzęsione piórka, Bóg łaskaw, żem z żalu nie padła! Jak nic byłabym za niego wzięła z pięć złotych albo jeszcze i piętnaście groszy.

Tak znów ta pierwsza:

–A co za podstępca! Co za kat taki! A co to za moc w tych pazurach! Żeby zaś taką jamę pod kurnikiem wygrzebać! A to i chłop łopata lepiej by nie zrobił. A że też nijakiego sposobu nie ma na takiego zbója!

Ale wtem wybiegła z chałupy przy kuźni kowalka i nie dbając na zimno, bez kaftana, stanęła przed progiem, fartuch do oczu podniosła i z głośnym płaczem zawodzić poczęła:

– A moież wy czubatki kochane! A moież wy kogutki pozłociste! A cóż ja teraz bez was pocznę, sierota!..

Dziwił się temu lamentowi Koszałek-Opalek, słuchając to jednym, to znów drugim uchem, bo nie mógł jakoś zrazu pomiarkować, o co by to onym niewiastom chodziło. Aż nagle stuknął się palcem w czoło, pod płotem między chwasty siadł, kałamarz odkorkował, pióro w nim umaczał, strzepnął i otwarłszy swoją księgę, takie w niej zapisał słowa:

„...Drugiego dnia podróży mojej zaszedłem do nieszczęsnej krainy, którą Tatarowie napadłszy wybili, wydusili lub uprowadzili w jasyr wszystkie koguty i kokosze. Za czym kował miecze na wyprawę kuł, a przed kuźnią rozleżał się płacz i narzekanie”.

Jeszcze to pisał, kiedy w progu kuźni stanął kowal i huknął basem:

– Co tu pomoże płakać? Tu trzeba garnek z żarem wziąć i tego nicponia z jamy wykurzyć dymem! Juści wiadome rzeczy, że pod lasem lis w jamie siedzi. Albo go wykurzyć, albo go wykopać. Dalej, Jasiak! Duchem, Stach! Chłopaków zwołać i z łopata mi na niego! A ty, matka, nie płacz, jeno garnek z żarem szykuj! Szedłbym sam, ale że robota pilna!...

I zaraz się w progu do kuźni nawrócił, a dźwiękanie żelaza znów słychać się dało.

Ale dwóch kowalczyków, porzuciwszy miechy, biegło przez wieś, wołając: – Na lisa! Na lisa!

Za czym i baby pociągnęły ku chatom szykować wyprawę.

A wtedy, baczny na wszystko, Koszałek-Opalek znów umaczał pióro i wpisał w księgę te słowa:

„Tatarowie ci mają nieustraszonego wodza i chana nad sobą, który się zwie Lis Wielki, a ukrywają się w leśnych norach, skąd ich ludność miejscowa wykurza armatnim dymem”.

Zaledwie jednak skończył to pisać uczony kronikarz, kiedy go doleciała okrutna wrzawa. Spojrzy, a tu wali przez wieś gromada bab, dzieci i wyrostków z łopatami, z kijami, z garnkami, a za gromadą, naszczekując, podążają w stronę lasu Kruczki, Zaboje, inne pokurcie¹, szczekając i ujadając srodze. Raz jeszcze tedy umaczał pióro Koszałek-Opalek i taką uwagę w kronice swojej dopisał:

„Na wojnę przeciw Tatarom nie chodzą w krainie tej chłopci, ale baby, dzieci i niedorośle chłopaki; które to wojsko zgiełk srogi w marszu na nieprzyjaciela czyni lecąc przez wieś wielkim pędem; za główną zaś armią gromada psów okrutnym wrzaskiem męstwa do boju dodawa. Co, iżem własnymi oczyma oglądał, podpisem własnym stwierdzam”.

Tu przechylił głowę, zmrużył lewe oko i podpisawszy u brzegu karty: „Koszałek-Opalek, Nadworny Historyk Króla Jegomości Błystka” – uczynił misterny a szeroki zakręt.

¹ objaśnień wyrazów trudniejszych należy szukać na końcu książki.

Tymczasem z tamtej strony płota zaleciał go miły dymek jałowcowy, w którym się Krasnoludki szczególnie lubują. Pociągnął Koszałek-Opalek wielkim swoim nosem raz, pociągnął drugi raz, a rozchyliwszy chrusty, począł pilnie patrzeć, skąd by ów dymek szedł. Jakoż ujrzał pod borem siny, wijący się sznurek, a gdy dobrze okulary przetaił, zobaczył w polu niewielkie ognisko i siedzących dokoła niego pastuszków.

Pocziwy Krasnoludek niezmiernie dzieci lubił; puścił się tedy ku ognisku na przelaj ugorem, kierując się wprost na ów dymek i pocieszenie przeskakując bruzdy.

Zdumieli się pastuszkowie zobaczywszy małego człowieczka w podróżnej, rzemieniem podpasanej opończy z kapturem, z księgą pod pachą, z kałamarzem u pasa i z piórem na ramieniu.

Zaraz też Józik Srokacz trącił w bok Stacha Szafarczyka i pokazawszy palcem owego człowieczka, szepnął:

– Krasnoludek!

A Koszałek-Opalek był już blisko i uśmiechnął się przyjaźnie do dzieci, kiwając głową.

Dzieci pootwierały usta szeroko i wpatrzyły się w niego jak w tęczę. Nie bały się przecież, tylko je ogarnął dziw nagły. Nie bały się, bo każde wiedziało dobrze, iż Krasnoludki nikomu krzywdy nie czynią, a jak ubogim sierotom to i pomagają nawet.

Jakoż Stacho Szafarczyk przypomniał sobie zaraz, że kiedy mu cieleta zaprzeszłej wiosny uciekły do lasu, takusienki maluśki człowieczek pomógł mu je wyszukać i na pastwisko zagnać. Jeszcze go pogłaskał i poziomek mu w czapkę nasypał mówiąc:

– Nie bój się! Naści, sieroto!

Tymczasem Koszałek-Opalek do ogniska podszedł i wyjąwszy fajkę z zębów, przemówił grzecznie:

– Witajcie, dzieci!

Na co pastuszkowie odrzekli z powagą:

– Witajcie, Krasnoludku!

Ale dziewczynki skuliły się tylko i naciągnawszy chuściny na czoła, tak że im ledwo czubki nosów było widać, wytrzeszczyły na przybysza niebieskie oczęta.

Koszałek-Opalek popatrzył na nie z uśmiechem i zapytał:

– Czy mogę się ogrzać przy waszym ognisku? Bo zimno!

– Juści, że mogą! – odpowiedział rezolutnie Jaśko Krzemieniec.

– My ta nie takie zazdrościwe! – dorzucił Szafarczyk.

A Józik Srokacz:

– Niech se Krasnoludek siędą! Godne miejsce!

I namykał poły od siwej sukmanki, czyniąc mu miejsce przy ogniu.

– A dopieką się ziemniaki, to se i pojeść mogą, jeśli wola – dorzucił gościnnie Kubuś.

Tak insi:

– Pewnie, że mogą! Ino patrzeć, jak się dopieką, bo już duch idzie od nich.

Siadł tedy Koszałek-Opalek i poglądając mile po rumianych twarzyczkach pastuszków, mówił z rozrzewnieniem:

– A mój eż wy dzieci kochane! A czymże ja wam od służę! Zaledwie to jednak powiedział, kiedy Zośka Kowalczanka, zakrywszy wierzchem ręki oczy, zawołała prędko:

– A to nam bajkę powiedzą...

– Iii!... Co tam bajka – rzekł na to Stacho Szafarczyk z powagą. – Zawszeć prawda je lepsza niż bajka.

– Pewnie, pewnie, że lepsza! – rzekł Koszałek-Opalek. – Prawda jest ze wszystkiego najlepsza.

– Ano, jak tak – zawołał wesoło Józik Srokacz – to niechże nam powiedzą, skąd się Krasnoludki wzięły na tym tu świecie?

– Skąd się wzięły? – powtórzył Koszałek-Opalek i już się zabierał powiadać, gdy wtem ziemniaki zaczęły pękać z wielkim hukiem. Za czym ruszyły się dzieci wygrzebywać je patykami z żaru i z popiołu.

– Uczony mąż wszakże przeląkł się srodze owego nagłego huku i skoczywszy w bok, stanął za polnym kamykiem; dopiero z tej forticy przypatrywał się dzieciom jedzącym jakoweś okrągłe i dymiące kule, których nie znał. Za czym rozwarł księgę i oparłszy ją na owym polnym kamyku, takie w niej słowa drżącą ręką pisał:

„Lud w tej krainie tak jest wojenny i mężny, iż drobne dzieci pieką w gorącym popiele kartaczowe kule, które gdy w żarze z trzaskiem pękać poczną, co jest całkiem niebieskiemu grzmotowi podobne, wtedy chłopcy, od pieluch już śmiercią gardzący, a i mdłe dziewczątka nawet, wygrzebuja one pękające z okrutnym hukiem kartacze i dymiące jeszcze wprost do gęby kładą. Czego naocznym bywszy świadkiem, a wydziwować się takiemu rycerskiemu animuszowi nie mogąc zgoła, ku wiecznej pamiętce potomnych rzecz tę zapisuję. Dan w polu na ugorze, o przedwieczornej porze”.

Po czym następował podpis i zakręt zamaszystszy jeszcze niżeli poprzedni.

Tymczasem rozszedł się w polu tak smakowity zapach pieczonych kartofli, iż mąż uczony poczuł nagle jakowąś czczość w sobie i głośnie burczenie żołądka.

A widząc, że one kartacze pękające najmniejszej szkody pastuszkom nie czynią, że się owszem dzieci po brzuszynekach aż głaszczą od owego wybornego jądła, wyszedł zza kamyka ostrożnie i z wolna się do ogniska przybliżył. Zaraz też Zośka Kowalczanka, ukruszywszy nieco ziemniaka, podała mu na gałązce chrustu, zachęcając, aby brał i jadł.

Nie bez trwogi Koszałek-Opalek wziął oną kruszynę w usta, ale wnet posmakowawszy wyciągnął rękę po więcej. Kruszyły tedy dziewczątka co najpiękniej dopieczone ziemniaki i po oskubince mu dając, tak się z nim oswoiły, że Kasia Balcerówna ostatni kęsek sama mu w usta włożyła, na co wszystkie, a najgłośniejsze Kasia, zapiszczały z okrutnej uciechy.

III

Pojadłszy tedy sobie, Koszałek-Opalek znów u ognia siadł, a gdy chłopcy świeżego chrustu narzucili, a iskiereki po suchych gałązkach wesoło zaczęły skakać, tak pastuszkom o Krasnoludkach powiadał:

– Drzewiej nie nazywali my się Krasnoludki, ale – Bożęta. Nie mieszkali my też pod ziemią, pod skałkami albo pod korzeniami drzew starych, jako mieszkamy teraz, ale po wsiach, w chatach, razem z ludźmi. Dawno to było, przedawno!

Jeszcze nad tym tu krajem panował wtedy Lech, który ufundował miasto Gniezno na tym miejscu, gdzie gniazda białych ptaków znalazł. Bo mówił sobie: „Jak tu ptaki w bezpieczeństwa mieszkają, to musi ziemia cicha być i dobra”.

Jakoż była.

O tych ptakach mówią ludzie, że to były orły, ale w naszych starych księgach stoi, jako to były bociany, po równinach łąkowych brodzące, które tam sobie gniazda w obfitości słały. Jak było, tak było, dość że się cała ta kraina Lechią od owego Lecha poczęła zwać, a lud, który w niej mieszkał, też miano Lechitów przyjął, chociaż sąsiedzi zwali go i Polanami także, iż był to naród polnych oraczów i za pługiem chadzał. Co wszystko w naszych księgach starych pod pieczęcią stoi.

– A to boru wtedy nie było? – zapytał nagle ciekawym głosem Józik. – Ani rzeki, ani nic?

– Jakże! – odrzekł Koszałek-Opalek. – Był bór, i to nie taki jak dziś, ale puszcza okrutna i bez końca prawie. A w puszczy mieszkał zwierz srogi i wielki, i tak ryczący, że drzewa, co słabsze, pękały. Ale że my Krasnoludki, to tylko o niedźwiedziach wiemy. Powiadał mi raz pradziad mego prapradziadka, że jak go taki niedźwiedź wygarnął razem z pszczołami i

miodem z lipowego dziupla, to go do pół zimy u siebie pokojowcem trzymał i bajki sobie dzień i noc prawić kazał, a sam łapę tylko cmokał i w barłogu drzemał. Dopieroż jak srogi mróz ścisnął, a niedźwiedź tego chrapał, puścił się pradziad mego prapradziadka biegiem z onej puszczy i po siedmiu latach wędrowania do swoich powrócił.

Śmiały się dzieci słuchając tej przygody, a Koszałek-Opalek tak dalej prawił:

– Ho! ho!... To były czasy!... Nad polami, nad wodami szumiały wtedy lipowe gaje, a w nich mieszkał jeden stary, stary bożek, imieniem Światowid, który na trzy strony świata patrzył i nad całą tą krainą miał opiekę.

Ale co domostw, dobytku i obejścia, to pilnowały Bożęta, które też i Skrzatami dla ich małości zwano.

„Każda chata ma swego Skrzata” – mawiał lud w te stare czasy, a nam też dobrze było i wesoło, bo my przy wszelakiej robocie pomagali gospodarzom naszym: to koniom owies sypali a przedmuchiwali z plewy, żeby same gołe ziarno się złociło; to sieczkę rżnęli, to trzęśli słomę, to kury zaganiali na grzędę, żeby nie gubiły jaj w pokrzywach, to masło w maślnicy ubijali, to wyciskali sery, to dzieci kołysali, to motali przędzę, to na ogień dmuchali, żeby kasza prędzej gotowa była. Jaka tylko była robota w chacie i w obejściu, precz my się każdej chwytali ochotnie. Co prawda, nie szło to darmo! Jak nie gospodarz, to gospodyni pamiętała o nas. Zawsze w świetlicy na brzeżku ławy były kruszyny chleba i twarogu, zawsze w kubku trochę miodu albo chociaż mleka. Było z czego żyć.

A wychodziła gospodyni na ogród pleć albo z sierpem w pole, to się tylko od tego proga obejrzała, z bodni garstewkę prosa wzięła i sypiąc po izbie mówiła:

*Bożęta! Bożęta! Niech który pamięta
O dzieciach, o chacie... A tu proso macie!*

I szła spokojnie do roboty. A my smyrk spod zapiecka, smyrk spod ławy, smyrk spod malowanej skrzyni. Nuż w izbie gospodarzyć, dzieciom prawić, chłopcom koniki strugać, dziewczuszkom łątki wić, warkoczyki splatać. Nuż błony w okienkach przecierać, słońko przez nie do chaty puszczać, tę złotą jasność po kątach roznosić, to aż wszystko pachniało dokoła!

Pracy, co prawda, było dość, ale tej wdzięczności ludzkiej jeszcze więcej.

Nie było zmowin ani postrzyżyn, żeby nas na nie gospodarze nie prosili:

*Bożęta!, Bożęta!
Prosim na te święta!
Na żubrze pieczenie,
Na rogi jelenie,
Na kura, co skacze,
Na białe kołacze!*

Jużci że my się między gości nie pchali, bo nasz naród, choć mały, zawsze był polityczny. Ale jak my zaczęli jeden z drugim i dziesiątym na gęślikach grać, alboli pod oknem, alboli pod progiem, to się ludzie dosłuchać nie mogli naszej kapeli, takie z niej wesele szło, taka radość, takie śpiewanie w sercu.

Hej! hej! Gdzie to te czasy! Gdzie?

IV

Zatrzymał się Koszałek-Opalek i z wolna fajeczkę pykał, a dzieci, choć nic nie mówiły, słuchały, wpatrzone w niego.

Po małej tedy chwili rzekł:

– Jak długo tak było, nie wiem, bo o tym nie stoi w naszych księgach. Ale się potem czasy odmieniać zaczęły. Nie stało tych dobrych panów z Lechowego rodu; a ci nowi precz się ze sobą darli, bo ich panowało razem cości aż dwunastu. Dopieroż lud sobie owe swary uprzykrzył, tych kłótników het precz przepędził, a jednego pana znów obrał.

Ano, uciszyła się trochę ta kraina, alic ledwo że słońce zaświeciło nad nią – znów przyszła burza.

Jako szarańcza pada na posiew zbożowy, aby go wyniszczyć do źdźbła, tak na te pola lechickie padły Niemcy, a ich książę chciał gwałtem naszą panią brać i sam nad nami panować. Mówię: naszą, bo choć my byli tylko Bożęta, ale w te prastare błogie czasy jedność była i z narodem my się jak bracia trzymali.

– A ja wiem! – krzyknęła nagle cienkim głosem Kasia Balcerówna. – To była Wanda!

– A ja też wiem! – jeszcze cieniem zapiszczała Zosia Kowalczanka.

I nuż jedna przez drugą wyciągać:

*Wanda leży w naszej ziemi,
Co nie chciała Niemca...*

Pokiwał na to Koszałek-Opalek głową i rzekł z uśmiechem:

–A nie chciała!... Wiem! Znam!... Toć ta cała pieśń w naszych księgach stoi. Toć my od najdawniejszych czasów uczym jej małą wiejską dziatwę! Jakże!... Ja sam już ze sto dzieci jej nauczyłem. A was któż uczył?

– A my nie wiemy.

– No, to pewno ja! Drugi raz to się zdaje, że tak w powietrzu cości gada albo śpiewa.

– Prawda! – powtórzyli chłopcy z powagą.

– No to, widzicie – Krasnoludki tak gadają i śpiewają! Tylko że maluśkie, to ich nie widać, jak się tam pokryją we zboża albo w trawy na łąkach, albo między te listeczki w gaju, albo pod te kamyczki polne.

Ano dobrze!... Jak też pani Niemca nie chciała, tak się zrobiła wojna. Zaraz zaczęły na ten kraj lecieć kruki, wrony, zaraz zaczęły wilki wyć, zaraz się niebo czarnymi chmurami oblokło.

My też zaczęli z głodu przymierać, bo i chleb, i sery, wszystko szło dla tych wojaków, co się z Niemcami bili. Wymizerował się kraj cały, wymizerowały się i Bożęta z nim razem. Aż jak się też naszej pani serce ścisło, że wojna o nią cały naród trapi, tak zaraz w rzekę skoczyła, we Wisłę, i zaraz się utopiła. Tak dopieroż Niemce poszły precz, a u nas pokój nastał.

Ale że się czasy tak przez tę wojnę popsuly, że to na nic! Już brat bratu na zdradzie stał, już mocny tego słabszego krzywdził, już chciwiec sierocy zagon przyorywał do swojego pola. A jako tam, gdzie krzywda i lzy sierot, szczęścia być nie może, nastały złe pany w tym kraju, co się nazywały Popiele.

– Laboga! – zapiszczała Kasia. – Popiele?

– Czegóż wrzeszczysz? – ofuknął ją Stach Szafarczyk.

–Cóż to za dziwota? Przecież to te Popiele, co jednego myszy zjadły!

– Przecie! – powtórzył z wielką powagą Józik Srokacz.

Ale Koszałek-Opalek, puściwszy dymek z fajki, tak dalej prawil:

– Różnie to tam powiadają o tych myszach, tak i tak. Dawne to czasy i dziś nikt nie dojdzie już, jak było. Ale że w naszych księgach stoi, że to nie myszy były, tylko właśnie Bożeta, które się w mysie kozuszkii przybrawszy, iż zima była tęga, a widząc, jako ten Popiel ze wszystkim źle panował, hurmem się z mysich nor na niego rzuciły i tak go poturbowały, że to na śmierć.

Tak stoi w naszych księgach. Czy to prawda, czy nieprawda, trudno wiedzieć.

Ale że mój prapradziad sam mi powiadał, że nim z wielkiej starości oślepl, to widział raz okrutne jezioro, a na nim srogą wieżę, gdzie się to stać miało, która to wieża do dziś się Mysią Wieżą zowie! A znów jezioro – nazywa się Gopło.

Ano dobrze!

Tu, iż mu fajeczka zagasała, począł Koszałek w popiele iskiierki szukać, a znalazłszy pociągnął parę razy z cybucha, za czym puścił kłęb dymu i tak mówił dalej:

– W tych starych księgach to jest tak:

Tu parę kart brak, tu znów parę tak pożółkłych i wyblakłych, że ani przeczytać, tu znów wielka czarna rysa w poprzek albo wzdłuż; to i nie wszystko wiedzieć można, co tam przed wieki wpisywał ktoś do nich.

Ale czy dobre były czasy, czy złe, to zaraz poznać można. Jak dobre, to z tych kart, żeby i najstarszych, taka światłość bije, właśnie jakoby słońce wzeszło; a jak złe, to się taki 'mrok po nich rzuca, jakby w noc ciemną, kiedy to ani gwiazd, ani miesiąca nie ujrzy nad ziemią...

Takie to są te stare księgi Krasnoludków!

V

Chcecie wiedzieć, co dalej było? – pytał Koszałek po chwili, fajeczkę znów zapaliwszy.

– Chcemy, chcemy! – wołały dziewczęta.

No, to słuchajcie. Po tych czarnych kartach o Popielu zaraz idą te jasne o Piaście. Ho, ho!... O Piaście to mógłbym wam gadać i godzinę całą.

Zaiskrzyły się na to oczy Józikowi.

– A to gadajcie! Moiściewy!

– Gadajcieże! Powiadajcie het precz, co tylko wiecie! – wołały na wyścigi dzieci.

Zesunął Koszałek-Opalek kaptur z głowy, po łysinie się podrapał i tak mówił:

– Sam ze siebie to tam niewiele wiem, bom na te czasy jeszcze nie był żyjący. Ale jeden stary Skrzat, co te karty w księdze pisał, znał jeszcze starego dęba, który całą tę historię dobrze pamiętał i choć już głos słaby miał, to przecież jak o tym Piaście szumieć a powiadać zaczął, to się skroś całej puszczy taka cichość czyniła, jakoby właśnie mak siał. To te sosny, te jodły, te graby, te buki, te brzozy, te trawki nawet i mchy, i paprocie tak pilno słuchały, że żaden listek, żadne źdźbło tchu nie puściło ze siebie.

A ów dąb sędziwy szumiał, po lekuchnu szumiał, gdzieś od samego serca wiodąc rozhovor cichy, a przypominając owe dawne wieki swej młodości.

To ów Skrzat, co wtedy młody był jeszcze, ba, niewiele co od sikorki większy, siadywał sobie pod jednym grzybem, co z nim znajomość miał, i całej tej historii tak się wyuczył, że ją potem do ksiąg naszych zapisał.

To było tak:

Stał sobie ten dąb, wtedy jeszcze młody dębek, w cichej dąbrowie, a niedaleko wśród cienia lip i brzęku pszczoł widać było jasną, modrzewiową chatę. W chacie mieszkało troje ludzi: Piast, Rzepicha i synaczek ich, którego wołali Ziemowit, bo się okrutnie w tych polach kochał, a co wyszedł na próg chaty, to mówił: „Ziemio, witaj!”

I widział dąb na każdy dzień życie tych trojga pracowite, serca miłościwe i dusze tak białe, jakby każde z nich miało w piersi białego gołębia.

A i Bożęta mieszkały w modrzewiowej chacie, i dobrze im się działo, gdyż i ojciec, i matka, i synaczek – co mogli, to im poddawali: a to miodu złotego, a to przasnego kołacza, a to co najbielszych twarogów, bo tam przy pracy obfitość była wszelkiego dobra i mienia.

Więc i w królewskim pałacu nie mogło być Krasnoludkom lepiej jak w tej cichej, jasnej, pachnącej żywicami chacie.

Aż przyszedł czas, że synaczkowi miano pierwszy raz ostrzyc złote włosy. Zaraz się też sąsiedzi schodzić i zjeżdżać zaczęli, kto pieszo, kto na wozie, kto znów na podjezdku, aż się w Piastowej zagrodzie uczyniło gwarno.

Krzętał się Piast, krzętała się Rzepicha, żeby gości uczcić i obsłużyć, a i domowe Bożęta pomagały pilnie dzień cały. Aliści gdy słońce zapadać zaczęło, rozległo się w powietrzu śpiewanie tak cudne, iż ludzie oczy podnieśli ku niebu, mniemając, że stamtąd głos idzie.

Jedne tylko Bożęta pobladły nagle i zaczęły drzeć w sobie, jakby na nie zimny wiatr powiał, choć pogoda była majowa.

Jak który biegł z posługą, tak stanął trzęsąc się cały, że aż mu ząb o ząb dzwonił.

Tymczasem od zachodniej strony ukazali się w wielkich zorzowych światłach dwaj jaśni wędrowce, którzy właśnie ku chacie Piastowej z onym śpiewaniem szli.

A było to śpiewanie tak mocne a słodkie, jakoby wszystkie słowiki zawiodły po topolach w sadzie i jakby wszystkie krople rosy zabrzęczały po ziołach i po kwieciu polnym, i jakby wszystkie lipy w Piastowej pasiece zaszumiały drobnym liściem, a wszystkie zboża i trawy wydały głos srebrny, dźwięczący.

I śpiewali dwaj jaśni wędrowce, jako się czas jeden kończy nad tą krainą, a inszy zaczyna. Śpiewali, jako zginą i w proch upadną dawne bogi, których ludzie sobie po świętych gajach czynili, a na ich miejsce przyjdzie Pan wielki, mocny, Pan nieba i ziemi.

I słuchali ludzie śpiewania tego, a na wszystkich twarzach wymalowała się moc i nadzieja.

Ale Bożęta, ochłonawszy z pierwszego przestachu, zebrały się w najciemniejszym zakątku Piastowej komory i drżały skulone, właśnie jak duże liście jesienne, gdy już im opadać pora. Bo z dziada pradziada miały one przepowiedzianą taką pieśń, która przyjdzie od zachodowej strony, a będzie mówiła o wielkim i mocnym Panu, o Panu nieba i ziemi, a gdy ją usłyszą, znak to będzie, że muszą z chaty we świat iść i miejsca jasnym skrzydlatym duchom ustąpić.

Na próżno Rzepicha posypała im maku, nakruszyła słodkiego kołacza. Bożęta, choć głodne, nie wyszły z kąta w komorze, nie spożyły tego daru. Jeden tylko co najstarszy Skrzat uchylił na moment drzwi komory i do świetlicy przez szparę zajrzał. Ale wnet obu rękami oczy zakrył, gdyż od szat wędrowców onych taki blask bił, jakoby samo słońce w świetlicy weszło.

Wiele dni, wiele nocy przesiedziały Bożęta w komorze o chłodzie i głodzie, póki ta wielka jasność nie wygasła i póki nie ucichła pieśń dzwoniąca w powietrzu nad chatą.

Gdy wreszcie odważyły się wyjść na zaproszenie i chciały gospodarzom po dawnemu służyć, ujrzały Piasta, jako w złocistym płaszczu, na powierzchni onej lnianej siermięgi wdzianym, i w jasnej koronie, na tronie, na króla królować szedł, gdzie mu już nie Bożęta, ale rycerze i dworzanie służyć mieli.

Z Rzepichy też się królowa zrobiła, a z Ziemowita małego królewicz. A tak skończył się żywot kmiecy w chacie, a zaczęło się królowanie w zamku.

Bożęta wszakże pilnowały po dawnemu przedzy, dobytku, pola i pasieki, nie chcąc opuścić milej zagrody, gdzie tyle lat szczęśliwie i spokojnie żyły.

Ale nie było już w nich dawnej sprawności i mocy. Stawiał im Piastów szafarz to mleko, to miodu na brzegu ławy, jako Rzepicha czyniła, ale Bożęta nie śmiały do tego jadła iść, bo czuły, że praca ich już nie ta, co dawniej, i pomoc z nich marna. Więc tylko po ziemi zbierały,

co ze stołu spadło, a tak wychudły, tak szerniały, że zamiast „Bożęta” zaczęli ludzie na nich wołać „Ubożęta”.

Tymczasem po całej krainie rozeszły się echa owej cudnej pieśni, a gdy wieczorowe zorze zapaliły się na zachodniej stronie, w powietrzu zaczynało coś grać i śpiewać jakby liry srebrne, a byli tacy, co i słowa tej pieśni słyszeli.

... Idzie Pan mocny a wielki...

... Idzie Pan nieba i ziemi...

Ale żeby to słyszeć, trzeba było mieć serce tak czyste jak poranna zorza.

Tak to szumiał, tak to powiadał ów dąb przedwiekowy, a puszcza uciszona słuchała.

VI

Umilkł Koszałek-Opalek, a dzieci też siedziały cicho, bo im się zdało, że w borowych szumach słyszą głos owego dębu prastarego. Po chwili dopiero odezwie się Józik Srokacz:

– A z Bożętami co się zaś stało?

Że jednak Koszałek-Opalek milczał, zadumany o tych dawnych czasach, zaczęły go dzieci ciągnąć za opończę, wołając jedno przez drugie:

– Powiadajcie, Krasnoludku! Powiadajcie! Co się z Bożętami stało?

Ocknął się tedy z zadumania mąż uczony i tak dalej prawił:

– Żyły jeszcze Ubożęta po chatach i po wsiach z ludźmi dosyć długo; ale coraz były smutniejsze, coraz słabsze i coraz mniejsze. Więc już i ludzie nie wołali ich tak często ku pomocy. Jeszcze póki Piast żył, nie było im krzywdy i za królowania syna jego, Ziemowita, miały jeszcze Ubożęta kąt swój w każdej chacie. Dopieroż kiedy nastał wnuk owego Ziemowita, Mieszko, przyszedł taki ścisk na one ludki, że się za dnia pokazywać bynajmniej nie śmiały, a tylko o zmroku wyłaziły z kąta, żeby się czym niebądź posilić.

Już wtedy matki, idąc do roboty w pole, nie rzucały Ubożętom prosa, iżby opieka nad dziećmi z nich była, ale czyniły znak krzyża nad izbą i szły. To ledwo się drzwi zamknęły, zaraz izba pełna światła, śpiewania i szumu skrzydeł anielskich, i tak już anioły pilnowały dziatki.

Tylko więc co podlejsza robota została się Ubożętom, w stajni, w oborze, w stodole, a w chacie to chyba drewek nałupać, garnki pomyć i śmiecie do kąta podmieść.

Aż raz, tak stoi w naszych starych księgach, zaczęły dzwony z wież kościelnych bić.

Szedł krajem huk roznośny, jako grzmot niebieski, a gdzie doszedł, tam Ubożęta natychmiast wychodziły gromadkami z chat, z wiosek, płacząc i żałośnie żegnając ludzkie siedziby. Za czym rozpierzchły się po borach, po górach, po pustkowiach, gdzie nie dochodzi głos dzwonów.

Odtąd ich już nie widują ludzie, chyba w nocy, a we dnie to chyba dzieci małe obaczyć je mogą, jako i wy mnie widzicie. Najwięcej poszło ich w góry Karpaty i tam pilnują skarbów podziemnych. W lasach ich też dosyć jest. A że to zima ciężka bywa w boru, zrzuciły sobie opończe i kaptury, najwięcej czerwone, po czym je łatwo jest poznać i z czego poszło ich nowe nazwanie „Krasnoludki”. Mają one i teraz życzliwe serce dla ludzi: za trochęjadła, za kropelkę mleka rade pilnują dobytku dobrego człowieka. Ale gdy głos dzwonów posłyszają, zaraz pod ziemię muszą... Przed wielkim, mocnym Panem... Przed Panem nieba i ziemi...

Kończył właśnie mówić te słowa Koszałek-Opalek, zdjawszy kaptur z pochylonej ze cziągłowy, kiedy od strony lasu dała się słyszeć wrzawa wielu głosów.

Baby to i dzieci wracały z wyprawy na lisa. Powrót ten wszakże nie był triumfalny. Mądry lis niejedną miał norę, a nim dokopano się pierwszej w boru, on drugą czy trzecią wyniósł się w pole, między krzaki tarniny, tam się przyczał bez żadnego śladu. Wyrzekały tedy głośno baby na czas zmitrężony, dzieci zaś nawoływały hałaśliwie psy, które z okrutnym ujadaniem biegały wężąc pod lasem.

Podnieśli pastuszkowie głowy na krzyk ów i na owo ujadanie i zapatrzyli się, zasłuchali tak, że o Krasnoludku zapomnieli zgoła. Tedy Koszałek-Opalek od ognia wstał, kaptur na głowę naciągnął i zapadłszy w pobliską bruzdę, zniknął w zeszłorocznych trawach, tak że ani Zośka, ani Kasia, ani Stacho, ani Józik, ani Kuba, ani Jaśko Krzemieniec nigdy nie wiedzieli na pewno, czy to wszystko śniło im się tylko, czy też naprawdę Krasnoludek u ogniska w polu z nimi siedział i bajkę im cudną powiadał.

VII

Tymczasem Koszałek-Opalek, chyłkiem się ku borowi przebrawszy, szedł leśną gęstwiną prawie że w zupełnym pomroku. Bo choć dzień jasny był jeszcze na świecie, tu przecież padał cień tak głęboki od jodeł i sosen, iż trudno było ścieżynę obaczyć.

Szedł tak Koszałek-Opalek godzinę może, może więcej. Już mu się ta podróż przykrzyła, a i głód ponownie dokuczać zaczął, kiedy potknąwszy się nagle, wpadł w dosyć głęboką jamę.

W jamie tej mieszkał lis Sadełko, sławny na całą okolicę łapikura; ten sam właśnie, na którego baby urządziły ową niefortunną wyprawę.

Siedział on właśnie w kącie swej komory i kończył ogryzać tłustego kapłona, którego pióra leżały rozrzucone tu i ówdzie po jamie.

Kiedy Sadełko ujrzał wpadającego Koszałka, natychmiast przerwał ucztę, grzebnął łapą raz, grzebnął drugi, w zrobiony naprędce dołek rzucił kości, nakrył je ziemią i patrzy.

Koszałek-Opalek wydał mu się bardzo śmiesznym, gdy tak wywijając w powietrzu koziołki do jamy wpadał, ale chytry Sadełko nie okazał tego po sobie i skromnie spuściwszy ogon, do gościa podszedł.

– Pan dobrodziej – rzekł słodko – pomylił się co do drzwi, jak widzę!

– W istocie – odparł Koszałek-Opalek. – Ciemno tu trochę i nie zauważyłem właściwego wejścia. Mam przy tym oczy osłabione ustawiczną pracą nad moim wielkim dziełem historycznym.

– Ach! – zakrzyknie na to Sadełko z zapalem. – Mam więc zaszczyt powitać uczonego i kolego! I moje życie upływa na grzebaniu w księgach! I ja piszę wielkie dzieło o rozwoju hodowli kur i gołębi po wsiach, podaję nawet projekty nowego sposobu budowania kurników dla drobiu. Oto pióra, którymi się posługuję w mej pracy.

Tu skromnym gestem wskazał rozrzucone po kątach pióra świeżo zduszonego kapłona.

Zdumiał się uczony Koszałek-Opalek.

Jeśli on jednym jedynym piórem szarej gęsi tak wielką zdobył sławę u swego narodu, jakże sławnym musi być ten, który całe pęki tak świetnych i złocistych piór zużył!

Ale Sadełko zbliżył się do niego i rzekł:

– A ty, kochany panie kolego, skąd masz to piękne pióro i gdzie przebywa to lube stworzenie, z którego ono pochodzi? Rad bym z nim zabrać jak najbliższą znajomość.

– Pióro to – odrzekł Koszałek-Opalek – pochodzi ze skrzydła gęsi, którą pasie razem z całym stadkiem sierotka Marysia.

– Z całym stadkiem? – powtórzył zachwycony Sadełko. – I powiadasz, kochany kolego, że je pasie mała sierotka? Mała sierotka, która zapewne dać sobie rady ze stadkiem tym nie

może? O, jakżebym jej chętnie dopomógł! Jakże chętnie wyręczyłbym w pracy tę interesującą biedną sierotkę! Trzeba ci wiedzieć, kochany kolego, że serce mam litościwe bardzo, bardzo! Po prostu tak miękkie jak masło majowe!

Tu uderzył się łapą w piersi na znak szczerości słów swoich, a zbliżywszy się jeszcze bardziej do uczonego Koszałka-Opałka, pióro owo gęsie obwąchał przez chwilę, po czym otarłszy oczy rzekł:

– Nie dziw się, kochany kolego, mojemu wzruszeniu! Czuję w tej chwili jakby objawienie moich przeznaczeń: nawracać zbłąkane gąski – to powołanie moje. Dopomagać w pasieniu ich sierotkom – to wielki cel mego życia!

I natychmiast, podniósłszy w górę obie przednie łapy, zawołał:

– O wy, niewinne istoty! O wy, słodkie, miłe stworzenia! Cały się odtąd poświęcę na usługi wasze!

To powiedziawszy, zaraz ku wyjściu się obrócił i szedł z jamy precz, a za nim długim, ciemnym korytarzem postępował uczony Koszałek-Opalek.

Uszli już kawałek drogi razem, kiedy się lis obrócił i rzekł:

– A nie zapomnij, kochany panie i kolego, zapisać dzisiejszego spotkania w swojej szacownej księdze. Tylko żadnych pochwał, żadnych kadzideł dla mnie! Napisz po prostu, żeś spotkał wielkiego przyjaciela ludzkości, nazwiskiem Sadełko – o nazwisku nie zapomnij, proszę – wielkiego uczonego, autora dzieł wielu, słowem, lisa całkiem wyjątkowej natury, godnego najwyższego zaufania tak pastuszków gęsi, jak i wszystkich właścicieli kur i kaczek. Rozumiesz, kochany kolego, że wrodzona skromność nie pozwala mi rozszerzać się zbytnio o własnych przymiotach; poprzestaję tedy na krótkiej wzmiance, zostawiając resztę domyślności twojej.

Uścisnęli się jak bracia i szli dalej.

A już poczęła się do podziemia sączyć jasność coraz żywsza i coraz rumiejsza, i coraz większe ciepło przenikało z wierzchu.

Aż kiedy przyszedli do miejsca, w którym pod pniem wydrążonym wyjście było na świat, dał lis susa i krzyknawszy towarzyszowi: – Do widzenia! – znikł w gęstych zaroślach.

Owionęła Koszałka-Opałka woń mchów wilgotnych i świeżo wyklutej trawy, więc czując, że mu się w głowie kręci, siadł na zeszłorocznej szyszce i wypoczywał chwilę przed dalszą podróżą, uradowany, iż z tak zacnym zwierzem los mu się poznać dozwolił.

VIII

Kiedy tak uczony Koszałek-Opalek na szyszce siedzi, spojrz – idzie chłop.

Siekiera na ramieniu, półkożuszek na grzbiecie, łapcie, czapka magierka, torba parciana na sznurku, ot, drwał taki. Do boru idzie, po niebie się rozgląda, wesoło mu – widać – bo gwizdże.

Myśli Koszałek:

„A choćbym tak tego chłopca spytał, czy już wiosna przyszła?”

Ale się nadął wielką pychą ze swojej mądrości i rzecze sam do siebie:

– Nie przystoi to uczonemu mężowi od chłopca rozumu pożyczać.

A właśnie drwał mimo niego szedł. Spojrzał jakoś w bok i widzi, że na szyszce coś sterczy, a nadęte takie, że aż okrągłe.

Myślał, że to purchawka, i trąciwszy nogą minął. Ale choć łapę drwała mało co go tknęła, wyrócił się uczony Koszałek-Opalek i razem z szyszką potoczył gdzieś w dołek. Szczęście

jeszcze, że kałamarz był tego przytkany i mocny. Zatrzymawszy się w dołku, uczony kronikarz siadł, pomacał potłuczone żebra, a widząc, iż są całe, skrzywił się i splunął.

– Tfu! i z przypadkiem takim! Cham przebrzydły! A ja się z tym prostakiem w rozmowę chciałem wdawać! Otóż bym się wybrał! Inaczej się do tego wziąć trzeba.

Tu zaczął po długim nosie palcem trzeć i myśleć. Naraz uderzył się w czoło i rzekł:

– Jakoż mam wiedzieć, czy wiosna przyszła, czy nie przyszła, kiedym jej drogi przez świat nie przemierzył!

I zaraz pilnie rozglądać się zaczął, z czego by sobie kulę ziemską mógł uczynić i drogę wiosny na niej przemierzyć.

Z nagle spojrzy w bok, aż tu idzie jeź ścieżyną: kolce nastawił, pyszczek wysunął, niesie jabłko. Ucieszył się bardzo Koszałek-Opalek i grzecznie jeża powitawszy, o to jabłko prosił. Jeź się zląkł, co za mały człowieczek taki, a że sumienie miał nieczyste, bo to jabłko jednej gospodyni we wsi porwał nocą i do swojej jamki niósł, więc co prędzej uciekał, a zwinawszy się w kłębek, jak piłka z górki się stoczył.

– Stój! Stój! Czekaj! – krzyczy za nim Koszałek-Opalek. –Ja tytko drogę wiosny na tym jabłku przemierzę i zaraz ci je oddam.

Ale jeź we mgle gęstej już zniknął.

– Ale to głupie zwierzę! – rzekł do siebie Koszałek-Opalek. – Uciekł mi razem z taką piękną ziemią. Co ja teraz zrobię? Ha, trzeba postarać się o inną kulę ziemską.

Szedł więc znowu, skacząc przez kamienie i rowy.

Niebawem znalazł bryłkę wapna, gałkę z niej ukręcił, wydzwignął ją na pobliską górkę i ździebelkiem igliwia opadłego z jodły zaczął po gałce owej rysować łądy, morza, góry, rzeki, aż narysował, het precz, świat cały i nałożywszy na nos wielkie okulary, dróg wiosny na nim szukał.

Ale już z górki mgła spadła w dolinę, chwilę majaczyła nad nią niby biała chusta, powlokła ścianę leśną modrym, lekuchnym oparem, aż rozeszła się wreszcie po jarach, a łąki i pola, gaje i dąbrowy stanęły widne w złotym świetle słońca.

A wtedy od południowego stoku wzgórza wyszła piękna dziewczica trzymając ręce wzniesione nad ziemią i błogosławiące. Bosa szła, a spod jej stóp błyskały bratki i stokrocie; cicha szła, a dokoła niej dźwięczały pieśni ptasze i trzepoty skrzydeł; ciemna była na twarzy, jak ciemną jest świeżo zaorana ziemia, a gdzie przeszła, budziły się tęczce i kolory; oczy spuszczone miała, a spod jej rzesów były modre blaski.

To była wiosna.

Szła tak blisko Koszałka-Opalka, że go trąciła jej lniana szatka, ciepłym tchem wiatru owionęła, i tuż przy nim zapachniały fiołki, przytulone równianką do jej jasnych włosów. Ale uczony kronikarz tak był zajęty obliczaniem: jak, kiedy i którędy wiosna ma przybyć na świat – że zgoła jej przyjścia nie widział. Pociągnął tylko długim nosem woń słodką, ulotną i pochyłony nad swą wielką księgą, pilnie zapisywał to wszystko, co mu z rachunku wypadło.

Z rachunku wypadło mu to, że wiosna wcale na świat już nie przyjdzie. Że drogę zgubiła, za morzeni została i do tej krainy nie trafi. Wypadało mu z rachunku, że skowronki i słowiki śpiewać nie będą, bo całkiem zachryply, że krakanie wron będzie odtąd jedyną pieśnią na świecie, że wszystkie nasionka kwiatów wicher uniósł w niezmierzone przepaście, że nie zakwitnie ani róża, ani lilia, ani jabłoń polna. Wypadło mu i to także z rachunku, że zorza zgasła, że słońce na nic szerniało, że dni zamienią się w noce, a pola, zamiast traw i zbóż, pokryją wieczne śniegi.

Pisał właśnie te słowa, otaczając się kłębami dymu z wielkiej swojej fajki, nadęty pychą, iż taki mędrzec z niego jest i taki prorok, kiedy nadleciały nad to wzgórze trzy ogromne czarno-złociste, kosmate bąki i nuż się ściągają w modrym powietrzu, obrawszy sobie za cel i za metę lśniąca łysiną Koszałka-Opalka.

Już ją obleciały raz, drugi i trzeci, hucząc donośnym basem, a jeszcze ich, zagłębiony w księdze swej, uczonec nie słyszał.

Wtem, gdy właśnie kropkę na końcu wróżby swej stawiał, paf go coś w łysinę raz! paf drugi! paf trzeci, czwarty, dziesiąty!

Krzyknął Koszałek-Opalek wielkim głosem, myśląc, że świat się wali, wypuścił fajkę z zębów, rzucił pióro i w stronę uskokczył obalając w skoku tym na szacowną księgę wielki swój kałamarz.

Polaty się czarne strugi wprost na świeżo zapisane karty; Koszałek-Opalek skamieniał prawie.

Na nic proroctwa jego! Na nic obliczenia!...

Cała księga zalana rzeką atramentu.

Tak mądrze, tak pięknie obrachował wszystko – i wszystko na nic.

Załamał ręce nieszczęsny kronikarz, bo z nagłego przestachu cała go mądrość opuściła. Teraz już naprawdę nie wiedział – czy wiosna przyszła, czy nie przyszła?...

Stał tak do południa, stał tak do wieczora.

Wskroś zachodniej zorzy zaczęły przyświecać gwiazdy, woń kwiatów biła z pól i łąk, piękna dziwica dochodziła już do skraju lasu, a pod jej stopką bosą zakwitła pierwsza konwalia.

Wyprawa Podziomka

I

U Krasnoludków tymczasem zapasy pożywienia tak się wyczerpały w Kryształowej Grocie, że na jednego Krasnoludka dawano na dzień cały trzy ziarnka grochu. Przychodziło stąd, oczywiście, do różnych kłótni i bójek nawet, jak zwykle bywa tam, gdzie jest i głodno, i chłodno.

Nie było dnia, żeby w Grocie nie zrobiła się jakaś awantura.

To Biedronek z Żagiewką się poczubił, to Pietrzyk z Kozubkiem, to Słomiaczek z Purchawką, to znów wszyscy razem, póki Mikuła i Pakuła, co w Grocie strażnikami byli, nie zabrali całej kompanii do kozy.

Ale najbardziej hałasował i przykrzył sobie te ciężkie czasy Podziomek. Jadł za czterech, a ciągle narzekał, że głodny.

Ten Podziomek miał niegdyś osobliwy przypadek.

Trzeba wiedzieć, że Krasnoludki nie zawsze pod ziemią siedzą. Chętnie mieszkają we wsi, to pod zapieckiem, to pod progiem chaty, a gdzie gospodyni niedbała, gdzie garnki nie nakryte, łupiny nie wymiecione, przędza byle gdzie leży, ser nie wyciśnięty w porę, pomyje nie wylane, drób nie policzony, to figlarze Krasnoludki much natopią w barszczu, śmiecie z kątów na środek izby wymiotą, twarogu ujedzą, nici na motowidle splączą, kury z kojca wypuszczą, cebryk przewrócą, co mogą, to napsocą, i dalej pod zapiecek!

Kiedy gospodyni dzieciątko w kolebce zostawi, a sama na plotki do sąsiadek bieży, zaraz Krasnoludki dziecko takie zamienią, swoje podrzucają, a to chwycą, u siebie wychowają i służyć sobie każą.

Taki podrzucony Krasnoludek nie rośnie, tylko mu głowa coraz większa i cięższa się robi, a tak jest łakomy, że go niczym nasycić nie można.

Miała raz jedna baba we wsi małego Jaśka. Śliczny był chłopaczek.

Włoski jak lenek, oczęta jak chabry, ustka jak poziomka. A zdrow był i wesoły niby rybka w wodzie.

Już to musiało mu coś bardzo dolegać, jeśli zapłakał czasem; a choć dopiero pół roku żył na świecie, uśmiechał się do matki, wyciągał rączyny i tak się trzepotał jak ptaszek.

Ale matka rzadko kiedy przy nim posiedziała, tylko raz w raz do sąsiadek na gawędy biegła. Tu stanie, tam siądzie, a jak się zagada, to i o garnkach nie pomytych, i o chustach nie popranych, o wszystkim przy owym gadaniu zapomni, nawet o Jaśku.

Wpadły raz Krasnoludki do izby, patrzą: drzwi otwarte, gospodyni nie ma, prosięta po kątach ryją, a dziecko w kołysce płacze.

Zaraz je chwycili, do swego podziemia zanieśli, a swego Podziomka, brodę mu pięknie zgoliwszy, w kolebkę włożyli.

Przychodzi matka, patrzy, co za dziecko takie? Głowa jak dynia, twarz pomarszczona, oczy na wierzchu, a nogi krótkie jakby u kaczącia.

Przelekła się baba.

– Tfu! Na psa urok! – mówi i oczy przeciera, bo myśli, że jej się tak tylko wydaje.

A ten jak nie wrzaśnie: –Jeść!

–Jašku! – mówi matka. –Jašku! – A on patrzy tylko na nią spode łba i krzyczy: jeść i jeść!

Nakarmiła go, ukołysała, myśli: spać będzie. Ale gdzie tam! Ledwie baba na krok od kołyski, ten w krzyk: jeść i jeść!

Było tego do wieczora jeszcze z dziesięć razy. Zachodzi baba w głowę, co się dziecku stało, że taki niedojadek z niego, ale się domyślić nie może. Włożyła mu w jedną rękę kawał chleba, w drugą marchew – no, usnął jakoś.

Ale nazajutrz, skoro świt, to samo: jeść i jeść!

„A czy cię wilk ślepiami obświecił, że się też najeść nie możesz!” – myśli baba karmiąc go, a precz się dziwuje, co za odmiana taka! Toć ten Jaśko dotąd jadł tyle, że i za wróbelka nie pojadł, a teraz głodny ciągle. Nic, tylko przy kołysce stój i do gąbki mu podawaj. Łyka jak stary, wytrzeszcza oczy jak żaba, ze wszystkim inszy, jakby nie ten sam.

Przeszło tak kilka dni, przeszedł tydzień. Aż tu widzi baba, że co w garnku zostawi, czy klusków, czy grochu, a wyjdzie z izby, to zaraz jej wszystko ktoś pozjada.

– Co takiego się tu dzieje? – mówi baba i aż w głowę od dziwu zachodzi.

Myślała, że to kot. Obiła kota, do komory go zamknęła, poszła. Wraca, a tu garnki puste, rynka wylizana, i okrasa nic nie zostało.

Idzie do komory, patrzy: kot siedzi, jak siedział, a miauczy okrutnie, bo mu aż boki wpadły, taki głodny. Widzi baba, że nie kot, więc Kruczek chyba!

A miała przy chałupie czarnego psiaka, co się Kruczek wabił. Nuż go okładać kijem. Psiak skomli, bo mu się krzywda dzieje, ból w kościach nieznośny, sień zamknięta, uciec nie ma kędy, a baba co go grzotnie, to krzyczy: „A nie rusz! A wara!” Kręci się Kruczek, piszczy, rad by się w ziemię schować, aż się baba zmachała i kij cisnęła. Tak dopiero Kruczek niebożę ogon pod siebie, a skomląc okrutnie, do obórki się powlókł – i tam obite boki lizał do wieczora.

Nazajutrz baba i kota, i Kruczka w komorze zamyka, garnki w piec wstawia i do sąsiadki idzie.

Posiedziała trochę u sąsiadki, pogadała, wraca, a tu sądny dzień w chałupie.

Kot z psem drą się w komorze tak, że aż sierść pod pułapem lata, a w izbie piec otwarty, garnki próżne, rynka wylizana z omasty, jakby ją kto umył, a dzieciak w kołysce krzyczy, aż się rozlega!

Chwyciła się baba za głowę z wielkiego frasunku, ale ją zaraz potem złość wzięła, więc tylko pięść o pięść trzasnąwszy mówi:

– Czekażże, zła psoto! Już ja cię upatrzę!

I cała w myślach do kołyski podeszła, bo ów podrzutek darł się wniebogłoso.

Karmi go biedne matczysko, a łyży jej kapią z oczu, gdy na dziecko spojrzy: tak jej się Jaśko odmienił! Dawniej z nim przed chatą siadła na progu, a kto przeszedł, to chwalił, jako że takiego dziecka daleko było szukać.

Teraz go ludziom pokazać nie śmie, takie się zrobiło poczwarne straszdyło.

Nie uśmiechnie się, nie zagwarzy, rączek do matczynych koralu nie wyciągnie, tylko leży odęte, namarszczone, łyse, jakby co starego.

Róść też nie rośnie, tylko głowa wielką i ciężką sterczy mu jak dynia.

Istna pokraka!

Już mu i urok odczyniła, trzy węgielki żarzące, trzy kruszyny chleba na wodę rzucając; już go i w hebdzie kapała, które to ziele od złych oczu bardzo jest pomocne; już go i bażkami z kwietniowej palmy okadzała, i wiórzyskiem z wypróchniałej wierzby, co na rozstaju rosła – nic nie pomogło.

A tu teraz w dodatku taka utrata! Nagotuje jadła jakby na dwóch chłopów, a wychyli się z izby, to i na nią jedną w garnku nie zostanie.

– Dzieciak, jak dzieciak – mówi rozzalona kobieta. –Wola i dopust Boży! Ale co tego wyjadania, to nie daruję! Żeby nie wiedzieć co – nie daruję!

II

Nazajutrz nagotowała baba garnek kapusty, nagotowała garnek grochu, zasmażyła godny kęs słoniny, wstawiła to wszystko w piec, zamknęła, kota i Kruczka wzięła z sobą, nakarmiła dziecko i poszła.

Nie poszła jednak daleko, tylko za węglem stanęła i przez szybkę patrzy!

Patrzy, aż tu się podnosi z pościółki ów odmieniec i w kołysce siadłszy rozgląda się po izbie, czy w niej kogo nie ma. Patrzy baba dalej, a ów się z kołyski gramoli i prosto do pieca!

Przyszedł, drzwiczki otworzył, pociągnął mile nosem, bo mu zapachniały skwarki w rynce, i dalej łyżki szukać. A łyżki były zatknięte w łyżniku.

Źle mu było sięgać, włożył na skrzynkę i dopiero, co największą wybrałszy, nuż do garnków owych. Wyciągnął z pieca kapustę, słoniną okraślił, grochu dokłada, a je – aż mu się uszy trzęsą.

Struchlała baba na to widowisko, klasnęła w ręce i nuż do sąsiadki po radę.

Przybieżały obie pędem, patrzą, a w garnkach już mało co, a ów aż sapie, a jeść nie ustaje.

Wyjadł kapustę, wyjadł groch do czysta, łyżką w puste dno stuknął, przechylił rynkę, wylizał, co zbyło okraś, w piec garnki wstawił, chodzi po izbie jak stary i po kątach patrzy.

Baba tylko zęby ścisła, ale nic. Chodzi ów, patrzy, znalazł jaje, co je kokosza pod kobiałką zniosła.

Nuż oną wielką głową kręcić a dziwować się owemu jajcu.

– Siedemdziesiąt i siedem lat żyję –powiada – a jeszcze też takiej beczi bez obręczy nie widział.

Zaraz sąsiadka poznała po tych słowach, że to jest Krasnoludek.

– Nie ma co – mówi – tylko Boga na pomoc wezwać, tęgą wić brzożową wyciąć, tego odmienca na leśne jabłko zbić i na śmietnisko cisnąć. Jak będzie na śmietnisku wrzeszczał, to Krasnoludki dziecko prawe odniosą, a tego nietwora zabiorą sobie.

Trafiło to babie do serca. Jakże nie skoczy do brzeziny, jak nie wyłamie jedną witkę, jak nie wpadnie do izby, jak nie chwyci podrzutka, jak go nie zacznie bić.

– Za moje jadlo... za mego Jaśka... za moją szkodę... masz... masz... masz!

Krzyczy ów, aż go w niebie słyhać, a baba nie ustaje, tylko ćwicy. A mieszkała w trzeciej chacie Kukulina, wdowa, z małą córuchną Marysią.

Trzeba, że na tę chwilę wzięła owa wdowa dziewczuszkę swoją na ręce i szła plec na dworskie pole.

Słyszy wrzask nieludzki u sąsiadki, więc stanęła i myśli:

„Juści nie co, tylko biją kogoś. Trzeba iść bronić”.

A tuż i jej dziecina, co jeszcze mówić nie umiała, kwilić zaczęła z żalu, że się komuś krzywda i ból taki dzieje.

Spojrzała Kukulina ku drodze, spojrzała ku słońcu, że już podbiegło w górę, żal jej było czas tracić, jako że robotna była bardzo, ale przecież litość przemogła. Idzie tedy do sąsiadki, a tu drzwi zamknięte.

– Sąsiadko! – woła. – A któż to tam tak krzyczy?

A baba:

– Nie wasza w tym rzecz! Idźcie swoją drogą!

Więc Kukulina:

– Sąsiadko! – woła znowu. – Jużci ani chybi, tylko swojego Jaśka bijecie. Folgujcież mu, boć to małe jeszcze.

A baba:

– Taki on mój, odmieniec, jak i ten zły wiatr, co po polu lata!

– Choćby i nie wasz był, folgujcie, bo ciężko tego krzyku słuchać!

A już i Marysia coraz rzewniej płakać zaczyna.

Więc baba w złości:

– Widzicie ją, jaka miłosierna!... Jaka się to opiekunką obrała! Ruszaj, skądś przyszła, a do cudzych drzwi nosa nie wtykaj, bo ci przytną razem i z tą piszczką twoją!

Przykro było Kukulinie taką odprawę wziąć; ale że w chałupie ucichło, więc myśli:

„Niech tam, udobrucha się ona. Mało ci człowiek w złości powie, a tego mu pamiętać nie trza. Dobrze, że już cicho”.

I poszła.

Ale i Krasnoludki usłyszały krzyk Podziomka swego, więc mówią:

– Żle! Nie ma co, trza iść na ratunek.

Nie minął pacierz, a tu w chałupie dziwo! Wysuwają się spod pieca malusieńkie człowieczki w żółtych i w zielonych opończach, czerwoną czapeczkę trzyma każdy w ręku, nisko się babie kłania i prosi, żeby tego ich towarzysza puściła wolno, a oni jej talarów w zapaskę nasypią, ile tylko strzyma.

Już babie serce zmiękło, kiedy o talarach postyszała, aleć sąsiadka krzyknie jej nad uchem:

– Nie puszczaj go z dobrej woli, kumo, jeśli w Boga wierzysz, bo ci twego chłopaka nie oddadzą, a talary – to prawie próchno, i tyle!

Więc baba:

– Fora ze dwora! Chłopaka mego oddajcie, a waszych talarów nie chcę! Umykaj, jeden z drugim, bo się całej kompanii dostanie!

Stuliły uszy Krasnoludki. Jeden za drugim myk! pod piec.

A baba Podziomka za kark i na śmietnisko.

Wrzasnął Podziomek jak kociak, kiedy go z ręki kto na ziemię puści – nie tyle z bólu, ile ze strachu, bo nie wiedział, co z nim tutaj będzie.

Aż się tu na ona chwilę obejrzy Kukulina ku chacie. Patrzy, leży ów nieborak na śmieciach i płacze. Więc się zaraz do niego wróciła, oczy mu z łez otarła, mile do niego zagadała, chleba mu kawałek ze swego śniadania ułamała, w rękę mu wetknęła, przygarść trawki zielonej urwała, sucho mu, czysto podesała, a widząc, że słońce w górę szło, wyszukała nad rowem wielki liść łopianu i jakby namiotkiem od skwaru go zakryła.

Spojrzał wdzięcznie na wdowę Podziomek, a widząc, iż Marychna klaszcze w rączyny z uciechy, że on tak sobie schludnie na tej trawce i pod tym liściem leży, uśmiechnął się do niej mile, uczuł wielką słodycz w sercu, wielką rzewność i wielką wdzięczność razem.

– Daj Bóg odpłacić! – szepnął sam do siebie, gdy Kukulina z dzieckiem na rękę odeszła.

Rada była wziąć go ze sobą, ale nie śmiała... Toć on matkę ma, a matka, wiadome rzeczy, choć i skarci, i różgą przetrzepie, zaś znów utuli i w ramiona weźmie...

Tak myślała Kukulina nie wiedząc, że Krasnoludki dziecko babie zamieniły i że to nie jej własne, tylko podrzucone.

Tak przeszedł dzień. Wieczorem wyszła baba patrzeć, co się stało, a tu Podziomka ani śladu, a pod progiem leży Jaśko: włoski jak lenek, oczęta jak chabry, ustka jak poziomka leśna.

Krasnoludki to odniosły go babie, a swego na powrót zabrały.

Dopieroż radość była i uciecha! Nasmażyła baba jajecznicę coś z dziesięciu jaj, zaprosiła sąsiadkę na nią, jeszcze i kukielkę pod popiołem upiekła – tak jej dziękowała.

Wyrósł potem ten Jaśko na słusznego chłopca, ale zawsze dziki był, od ludzi uciekał, po lasach i po górach się włóczył, a precz powiadał, jakie to on skarby, jakie dziwy u tych

ludków pod ziemią widział. Ludzie go też za głupiego mieli, a tej mowie bynajmniej nie wierzyli; i tak zostało.

Tymczasem Podziomek prędko się z bólu wylizał. Krasnoludki znają różne zioła i cudowne maści. Jakoż go zaczęli okładać, nakadzać, smarować to pokrzykiem, to komarzym sadłem, to pajęczą żółcią, tak go i wyleczyli.

Król Błystek lubił Podziomka tego, w łasce swojej go miał i litościwym okiem patrzył na wiecznie głodnego. I Podziomek też bardzo króla miłował i często siadywał u nóg królewskich, to własnym oddechem rozgrzewając mu zziębnięte nogi, to piosenki na fujarce grając, od których jakby cieplej nieco czyniło się w Kryształowej Grocie.

Ale kiedy o żywność chodziło, zapominał Podziomek o wszystkim, chleb tylko na myśli mając, a do miski i łyżki nikomu nie dając przystępu przed sobą. Gdy mu się kto w tym przeciwiał, wtedy w srogą złość wpadał i gotów był sam przeciw całej drużynie stanąć.

Jednego dnia robi się okrutny hałas.

Podziomek napadł szafarza, iż mu ten, jako i inszym, tylko trzy ziarenka grochu na cały dzień dał, i nie dość że go poturbował srodze, jeszcze sam na skargę do króla szedł, że mu się krzywda dzieje.

Odprawił go król mówiąc, że jedno prawo dla wszystkich być musi! Aliści Podziomek tym bardziej burzyć się zaczął.

– Kiedy tak – powiada – kiedy tu dla mnie sprawiedliwości nie ma, to ja na ziemię idę! U lada baby lepszy tam wikt znajdę niż tu na królewskim stole!

Więc inni ze śmiechem:

– Idź, idź, niedojadku jakiś! Jednej gęby mniej będzie na te ciężkie czasy! – Bo myśleli, że to żarty.

A Podziomek:

– Żebyście wiedzieli, że pójdę!

Więc ci znowu ze śmiechem:

– A przyniesze nam wieść o wiosnie, kiedyś taki zuch! Na to Podziomek:

– Żebyście wiedzieli, że przyniosę!

I podpaszał opończę rzemieniem, fujarkę za pazuchę zatknął, królowi się pokłonił, fajkę nałożył i ruszył ku wyjściu.

III

Zmierzch już zapadał, kiedy Podziomek na kraju Groty stanąwszy odsapnął i po stronach rozglądać się zaczął.

Na lewo okolica była pusta, dzika. Bór tam czarny stał, po sosnach krakały wrony, w kotlinach bielily się jeszcze nie stopione śniegi, mokre igliwie wyścielało brunatnym pokładem ziemię, a od ciemnej ściany głucho szumiących drzew bił dech wilgotny, przejmujący, ostry.

– Brr! Zima! – mruknął Podziomek i spojrział na prawo. Na prawo rozciągała się ku rzece wesoła dolina, po której z brzękiem leciały z gór potoki, a kępki traw świeżych gwałtem wyrwały się spod ziemi do światła. Nad doliną ugaszała zorza.

Klasnął dłonią w czoło Podziomek i zawołał:

– Toć to przecie wiosna!

A wtem od boru powiał wiatr lodowy.

Zafrasował się Podziomek i rzecze:

– Bądźże tu mądry, czy zima, czy wiosna! W lewo tak, w prawo siak! I sam król Salomon nie dojdzie do ładu.

Załopotało coś nad nim w powietrzu.

„Oho! – myśli Podziomek. – Teraz się prawdy dowiem! Albo to kruk jest, albo gołąb! Jeśli kruk – to zima, a jeśli gołąb – wiosna”.

Ledwie to pomyślał, patrzy, a tu spada wprost przed nim nietoperz.

– Bądźże tu mądry! – mruknie znów Podziomek i głową kręcić zaczął.

Kręci w prawo, kręci w lewo, myśli, ale nic wymyślić nie może.

Spojrzy w dolinę, a tam świat cały biały, wprost srebrny jakby.

– Oho! – zakrzyknie Podziomek. – Teraz się prawdy dowiem! Albo to śnieg, albo rosa! Jeśli śnieg, to jest zima, a jeśli rosa, to wiosna.

I pilnie patrzeć zaczął. Aliści wytrzeszczywszy dobrze oczy, widzi, że to ani śnieg, ani rosa, tylko mgła.

– Bądźże tu mądry! – burknie tedy pod wąsem i znów się frasować i głową kręcić pocznie.

Kręci w prawo, kręci w lewo, myśli i nic wymyślić nie może. Spojrzy w bór, a tam się coś w zaroślach świeci.

– Oho! – krzyknie Podziomek. – Teraz się prawdy dowiem! Albo to świetlik, albo ci też próchno. Jak próchno, to zima, a jak świetlik, to wiosna.

I zaraz się porwał biec do tego światła.

Przybiegł, patrzy, a to wilcze ślepie.

Rozgniewał się srodze Podziomek i rzecze:

– Świecisz ty mnie, zaświecę i ja tobie!

To mówiąc skrzesał ognia, fajkę zakurzył i wielki kłęb dymu puściwszy odwrócił głowę, a o tego wilka dbać przestał.

Tymczasem wszakże jeść mu się zachciało okrutnie. Patrzy, upatruje, czym by się posilił, aż widzi: leży coś we mchu. A była to ta sama górką, na której Koszałek-Opalek kraje świata rysował i drogę do wiosny mierzył.

Patrzy Podziomek, a tu coś okrągłego leży.

Myśli: „Jaje!”

A była to owa kula ziemską, z wapna przez męża uczonego sporządzona.

„Osobliwsze jakoweś jaje! – myśli Podziomek. – Krety porwały czy co?”

Tłucze: wapno! Tego już mu było zanadto, więc z gniewu na mchu się wyciągnął, głowę ręką podparł i zasnął.

Daleko jeszcze było do dnia i brzask ledwie że wschód nieba srebrzył, kiedy Podziomek szum znaczny nad sobą posłyszał.

Przecknął się, siadł, przetarł oczy, patrzy, a to bociany lecą. Zza morza lecą – zza siniego. Skrzydła pokładły na zorzy i na powietrzu cichym, w białości brzasków srebrne, szerokim lotem szumiące, do gniazd dawnych lecą.

„Dobrze mi się trafia! – pomyślał Podziomek. – Jużci i na takiej szkapie sporzej niżli pieszo”.

A kiedy tak myślał, nadleciały bociany prosto nad ową górkę, gdzie stał, zniżywszy bystrego lotu. Podziomek tedy na pierwszego z brzegu skoczył, ręce mu koło szyi założył, piętami boki ścisnął, pochylił mu się na kark jak jeździec, kiedy konia w pęd puszcza, i naprzód przed innymi ruszył.

Aliści ledwie przelecieli dolinę i ową rzekę, która, pod zorzę płynąc, zdała się różanych blasków pełna, kiedy Podziomek coś miarkować i jakby przypominać sobie zaczął. Wygon, staw, graniczne kopce, grusze polne, wieś ciągnąca się daleko dwoma rzędami chat, stodoł, obórek, wszystko jakby znajome mu było.

Wtem struchlał. Czy tuman padł mu na oczy? Widzi chatę na uboczu wpośród brzeziny stojącą, przed chatą rozgrzebane przez kury śmietnisko i nową miotłę przed progiem. Przetarł oczy, splunął – na nic! Chata, brzezina, śmietnisko i miotła nie znikły. Podziomkowi ciarki przeszły po grzbiecie.

Ani wątpić, że to było to samo domostwo, w którym jako podrzutek w kołysce legał i babie z garnków strawę wyjadał, i to samo śmietnisko, na które zbolały wyrzucony został.

– Prr... Prr... – krzyknął Podziomek na bociana, jakby na konia, ale bocian, dojrawszy na strzesze stare swoje gniazdo, wesoło klekotać zaczął i zostawiając za sobą daleko towarzyszków swoich, prosto na tę chatę się poniósł.

Skulił się tedy biedny Podziomek, jak mógł, do szyi boćka się przycisnął i mniejszym się jeszcze, niżli był, uczynił.

„A czy mnie tu złe przyniosło?” – myślał drżąc cały na wspomnienie baby. Już się oglądał, czyby nie lepiej było skoczyć niż się na niebezpieczeństwo powtórnego spotkania z babą narażać, ale oczywistą było rzeczą, iż w takim skoku może kark skrećić; namyślił się tedy i został.

Tymczasem bocian zatoczył szerokie kolisko nad poczerniałą, mchem zarosłą strzechą, zatoczył drugie węższe, coraz się opuszczając niżej, wreszcie połowę trzeciego kręgu zrobiwszy, wyciągnął długą szyję i z głośnym klekotem na stare gniazdo padłszy, chwilę jeszcze bił na nim z radości modre i ciche powietrze wielkimi skrzydłami.

Wychylił Podziomek zza bocianiejszy głowę, spojrz –wszystko tak, jak było: ciele w obórcie beczy, siemieniata kokosza gdacze, garnek od mleka sterczy dnem do góry na kołku u płota, Kruczek za węglem chrapie.

A wtem skrzyknęły drzwi chaty.

„Ani chybi, baba!” – myśli Podziomek i skóra mu cierpnie na grzbiecie. Jakoż zaraz rozległo się wołanie:

– Bociek! Bociuś! Boć-boć! A bywajże w dobrą godzinę! A bywaj!...

Chyli się co rychlej Podziomek za bocianią szyję, głos baby poznawszy, ale już dojrzała go jakoś.

– Co za kaduk taki? – mówi patrząc pilno w górę.

Wtem klasnąwszy w dłonie:

– Reta! – wrzaśnie. – A toć to jeszcze ta sama zła psota! Czy zamówienie jakie, czy co.

A jako prędką była do złości, tak krzyknie:

– Czekajże, pokrako! Zaraz ja cię tu ożogiem sięgnę!

I skoczy pędem do izby, a Podziomek tymczasem hyc! z boćka na samo dno gniazda. Zagrzebał się w słomę, skulił, siedzi, a wygląda szparką z boku, co to będzie dalej. Jakoż nie czekając leci baba z ożogiem. Spojrzy na strzechę: nic nie ma. Bocian tylko rozkraczył się nad broną na czerwonych nogach i klekocze wesoło, rozgłośnie.

– A gdzie się ów podział? – krzyknie baba. – Czy tuman mi na oczy padł, czy co?

Wtem zalechtała słoma w nos Podziomka, tak iż nie mogąc sobie żadnej rady dać, kichnął jak z mózdzierza.

– A, tuś mi! – wrzaśnie baba i nuż go ożogiem sięgać.

Ale nie mogła dostać, bo ożóg był krótki.

– Czekajże — krzyknie — odmieńcze! Przyciągnę ja drabinę.

„Źle!” – myśli Podziomek i za ratunkiem się ogląda, a pot zimny czoło mu urosił.

Spojrzy w dół, ciągnie baba drabinę sążnistą, żeby z niej i do wieży kościelnej dostał.

Zamdlilo na ten widok Podziomka u samego serca, a już baba drabinę o strzechę wsparła i z ożogiem włązi.

Rzucił się nieszczęsny Krasnoludek z gniazda na sam brzeg dymnika.

„Choćby skoczyć” – myśli. Przemierzył, ani mowy! Rozbiłby się z tej wysokości jak wielkanocna kraszanka.

A tu już baba w połowie drabiny stanęła i wyciąga ożóg.

„Śmierć, nie śmierć – myśli Podziomek – wszystko lepsze niżli babskie bicie”.

I zmrużywszy oczy rozpędził się i skoczył. Zakreśliło mu się zrazu w głowie, świat zakolował pod nim jak puszczonego fryga; dach, baba, chałupa i ożóg – wszystko mu w oczach

mignęło tęgiego kozła i już był pewien, że się kości własnych nie doliczy, kiedy poczuł, że na coś miękkiego spadł jakby na pierzynę i że to coś co tchu z nim ucieka.

Uchwycił się tedy rękoma, by nie upaść, gdyż go tu obleciał wiatr miły, jakby mu kto wędzonką przesunął pod nosem.

Kot to był, który, porwawszy kielbasę suszącą się w dymniku, zmykał chyłkiem po przydaszku, kiedy mu Podziomek na grzbiet z góry spadł i rękoma się sierści uchwycił, czym przestraszony Mruczek, mniemając, iż go na złym uczynku baba za kark ima, tym większym pędem się puścił.

Daleko już byli od chałupy i wieś prawie im zniknęła z oczu, kiedy kocisko między chaszczce i pokrzywy wpadłszy jęło się tarzać po nich, by z grzbietu zbyć ciężaru, który mu dokuczał.

Podziomek wszakże nie puszczał się kociego karku. Pokrzywy parzyły go wprawdzie i osty drapały, ale zapach kielbasy tak mu był przyjemny, iż postanowił z nią się nie rozłączać.

Dopiero kiedy kot, rzucając się tam i sam, wypuścił ją z zębów, Podziomek mu z grzbietu zeskoczył, kielbasę chwycił, z piasku łopianem otarł, zjadł, a posiliwszy się godnie, fajeczkę wypalił, pod krzakiem legł i rozmyślając o swoich dziwnych przypadkach, smacznie zasnął.

IV

Dzień był jak wół i słońce się już przez owe chaszczce przedzierać zaczęło, kiedy Podziomek przecknął się nagle i, siadłszy, pilnie słuchał. Zdawało mu się, że go obudził brzęk jakiś.

Słuchał tedy, nie bardzo wiedząc, czy mu się to śni, czy nie śni, gdyż wokoło nic widać nie było. Ale powietrzem istotnie szedł brzęk, zrazu jak bzykanie much, potem jak komarze granie, wreszcie jak pszczelna kapela, kiedy rój na łąki wylata.

Aż wypłynęła z tych brzęków piosenka jakaś cudaczna, ni to głośna, ni to cicha, ni to ptasza, ni to ludzka, ni to smutna, ni to wesoła, tak przejmująca, że choć się śmieje i płacz razem. Słuchał coraz pilniej Podziomek, który we wszelkiej muzyce miał upodobanie, aż zmiarkowawszy skąd ten głos idzie, wstał i wprost na niego ruszył.

Po małej chwili wyszedł z chaszczów na polankę leśną, gęstym otoczoną borem. Nad polanką unosiła się cienka smuga dymu z niewielkiego ogniska, przy którym warzyło się coś w kociołku, wydając z siebie woń smaczną.

Już Podziomek nosem pociągnął i chciał bliżej podejść, jako że na wszelkie jądło był nadzwyczaj czuły, kiedy mały, biegający tam i sam pokurć warczeć i poszczekiwać zaczął. Podniósł się zaraz na poszczekiwanie ono leżący u ogniska Cygan, który na drumli grał, a na ramieniu małpkę do łańcuszka przywiązaną trzymając skakać ją uczył, i spojrzał bystro dokoła. Nic jednak podejrzanego nie dojrzał. Podziomek bowiem, po owej rannej przeprawie z babą wstręt niejaki do wszystkich spotkań z ludźmi mając, przykucnął za krzakiem tarniny i czekał, co będzie.

Położył się tedy Cygan u ogniska i na nowo lekcję z małpką zaczął. Co na drumli zapiszczy, to łańcuszkiem szarpnie, a biedna małpka skacze to w prawo, to w lewo, ale tak niezdarnie i tak ociężale, iż Cygan raz wraz szturchańcem ją popędzać musi.

„Biedne zwierzę!” – myśli patrząc na to Podziomek, który litościwe serce miał, i nieznacznie się zza krzaka wychylił.

Wtem spojrzy i stanie jak wryty! Wszakże to Koszałek-Opalek we własnej osobie, a nie żadna małpka, po cygańskiej drumli na łańcuszku skacze!

Sroga żalność i niezmierne zdumienie przeniknęły serce Podziomka, tak iż zwyciężyć ich nie mogąc do ogniska podejdzie i zawoła.

– Tyś to, uczony mężu, czy mnie wzrok zawodzi?

A już go i Koszałek-Opalek poznał, więc zakrzyknie głosem:

– Ratuj, bracie Podziomku, jeśli w Boga wierzysz!

Tu rzuca się sobie w objęcia i tkliwie się całować zaczęła.

Otworzył Cygan gębę, drumłę z zębów puścił, sam sobie nie wierzy i przeciera oczy.

„Co za kaduk taki? – myśli. – Małpy, nie małpy? Tfu, na psa urok! Wszak ci to gada jak ludzie!”

Zdjął go strach zrazu, omal że łańcuszka nie wypuścił z ręki, ale mu nagle nowa myśl przyszła i prędko kapelusz z głowy chwyciwszy, obu ich pospołu nakrył, po czym uwiązawszy i Podziomka na sznurku, wesoło się roześmiał.

– Otóż teraz – rzecze – godny grosz na jarmarku zarobić mogę! Co to grosz! Srebrem, złotem płacić sobie dam za widowisko takie! Małpy, co płaczą, gadają i całują się jak ludzie! To się ledwo raz na tysiąc lat trafi albo i na więcej!

Tu prędko krupniku owego, co się w kociołku warzył, podjadłszy wstał, ognisko popiołem ogarnął i trzymając na jednym ramieniu Koszałka-Opalka, a na drugim Podziomka, dużym krokiem do miasteczka ruszył.

Zapłakał gorzko Koszałek-Opalek widząc, na jaką poniewierkę mu przyszło, iż się na jarmarku jako małpa prezentować ma, ale Podziomek trąci go nieznacznie i rzecze:

– Nie trap się, uczony mężu! Jeszcze nie wszystko stracone!

– Ach, bracie! – jęknął Koszałek-Opalek. – W cóż się obróci cała moja sława, gdy księgi nie mam!

– A cóż się z nią stało?

– Zginęła!

– A pióro?

– Złamane!

– A kałamarz?

– Rozbity!

– Hm! – rzecze smutnie Podziomek. – Prawda jest, iż cała twoja uczoność przepadła, gdy nie masz ani księgi, ani pióra, ani kałamarza! Ale wiesz, co ci powiem? Ratuj się w tej przygodzie nie jak mędrzec, ale jak zwykły prostak, ot taki, jakim ja jestem, a to złe – jeszcze nam się na dobre obróci!

Tu zamilkł, bo na drodze ozwały się liczne, coraz zbliżające się głosy.

Była to banda cygańska, także na jarmark do miasteczka śpiesząca: obdarte i ogorzałe Cyganki, w płachcie na plecach dźwigające dzieci, stare Cyganichy z fajką w zębach, mężczyźni z kociołkami na kijach i małe, półnagie berbecie z kręconymi włosami i przebiegłym wzrokiem.

Połączył się z nimi ów, który Koszałka-Opalka i Podziomka niósł, i tak wszyscy dalej kupą szli.

Cygany jak Cygany. Jedni po drodze wróżyli, drudzy chwyтали, co się im nawinęło pod rękę: chusty z płotów, kury z grzęd, gęsi z łąki, płótno z bielników, a nawet sery suszące się po przydaszkach na słońcu. Nietrudno im to było, bo ludzie na jarmark poszli, a chaty pustką stały. Wiele też wtedy rzeczy naginęło po wsiach.

Wreszcie cała ta banda, pod miasteczko doszedłszy, zaraz się rozpadła, jedni w prawo, insi w lewo, i uliczkami bocznymi począł każdy swoją drogą ku rynkowi się przekradać.

Tu jarmark wrzał w całej pełni.

Dzień był pogodny, ludzi huk; konie, wozy, bydło zalegały plac szeroki, rozłożysty. Chłopi obstawiali stragany, gdzie były buty i czapki, kobiety targowały garnki i miski, dziewczęta kupowały wstążki i paciorki, dzieci piszczały na glinianych kogutkach, gryząc pierniki i czepiając się matczyńskich spódnic.

Z półkoszków i wozów wyciągały szyje gęsi i kaczki, wszędzie ruch, ścisk, gdakanie, gęganie, gwar przeróżnych głosów.

Największy tłok wszakże był przed budą, w której drzwiach stał Cygan. Stał, pod boki się trzymał i nadawszy płuca, co miał siły, krzyczał:

– Hej, ludzie, ludzie! Cuda w tej budzie! Kto ma oczy do patrzenia, uszy do słuchania, a grosze do dania! Oto dwie małpki, sprowadzone prosto furmanką z księżycą! Na moje cygańskie sumienie! Prosto z księżycą! Wody nie piją, garnków nie myją, jak ludzie gadają i dobrze się mają! Hej, ludzie, ludzie! Cuda w tej budzie!

Rzucali ludzie groszaki, do budy się tłocząc, gdzie uczony Koszałek-Opalek na bębnie bębnić miał, a Podziomek grać na fujarce.

A w miarę jak się koło budy ścisk coraz większy czynił, banda owa cygańska nurkować między wozami zaczęła, ściągając tu kozuch, tam chustkę, ówdzie faskę masła, jaja lub kokoszę.

Nikt wszakże nie uważał tego, stojąc z oczyma wlepionymi w budę, gdzie się pokazywały miały owe cuda; widział to tylko Podziomek.

Gdy tedy Koszałek-Opalek odbębnił swoje, czemu się wszyscy niezmiernie dziwili, chwycił Podziomek fujarkę, ale zamiast grać na niej, zaśpiewał:

*Oj, dana, dana, pilnuj Cygana!
Bo Cygan złodziej, wozy podchodzi!*

Obejrzeli się ludzie po sobie, patrząc, co to znaczy, a ten nic, tylko precz śpiewa:

*Oj, dana, dana, pilnuj Cygana!
Bo Cygan złodziej, wozy podchodzi!*

Wtem spojrzę chłop jeden do swojego woza, a tam kozucha nie ma! Spojrzy inny, a tu mu butów świeżo kupionych brak. Jeszcze się nie opamiętał, kiedy między babami krzyk powstał, że sołtysce chustka kwiciasta zginęła. Jakże się ludzie nie zgruchną, jak się do budy owej nie rzuca! Poturbowali Cygana tak, że i sznurek, i łańcuszek z rąk wypuścił, a całą bandę wnet wypłoszyli z miasteczka, het precz.

W tym zamieszaniu i tłoku Podziomek i Koszałek zniknęli, jakby ich wiatr zdmuchnął.

V

Dobrze już było z południa, kiedy nasze Krasnoludki, bez tchu prawie na skraj lasu przybieżawszy, rzuciły się na trawę, by wypocząć nieco.

Zwłaszcza Koszałek-Opalek srodze był zmęczony, gdy ów łańcuszek, do którego go Cygan przykuł, ocierał mu nogę nieznośnie i utrudniał kroki. Jęczał tedy i sykał z bólu uczony kronikarz, póki Podziomek między dwoma kamykami łańcuszka nie rozkuł i świeżą trawą nogi mu nie obwinał.

Nie było to tak łatwo. Koszałek-Opalek bronił się z całej siły, utrzymując, że takie prostackie lekarstwo dobre dla chłopstwa, a nie dlauczonych mężów; gdy przecież ulgę poczuł, uciszył się niebawem.

Tymczasem Podziomek, spojrzawszy bacznie dokoła, wykrzyknął z radości:

– A wszak to ta sama polanka, gdzie mnie Cygan pojmał! Hola! Jak tak, to tu i krupnik być musi!

Tu puścił się pędem ogniska przyduszonego szukać i wprędce je znalazłszy popiół rozgrzebał, chrustu przyłożył i dmuchać zaczął co siły. Rozżarzyły się węgle; po chruście iskry polatywać zaczęły, dym zwinął się wierzchem ogniska, aż wreszcie buchnął jasny, żywy płomień. W chwilę potem bulgotał w kociołku smakowity krupnik, którym podjadłszy sobie obaj towarzysze zakurzyli fajki.

Upłynęło chwil kilka i już się do drogi zbierać trzeba było, kiedy Podziomek trącił coś twardego nogą i schyliwszy się znalazł upuszczoną przez Cygana drumłę, na której też zaraz grać począł.

Wyszedł z drumli głos cudny, aż rozbrzmiały echa, i zaraz w zaroślach odezwały się drozdy, zięby, sikorki, piegże i inne drobne ptactwo, jakby ukryta kapela, co tylko znaku czeka. Osobliwy szczyglik jeden zaśpiewał tak cudnie, iż drzewina owa, na której siadł, zaraz się kwiatem różowym okryła, a bratki polne, głogi i liliowe dzwonki zamieniły się nagle w skrzydlate dzieciątka, szepczące między sobą: „Wiosna... wiosna... wiosna!...”

Słuchał tego z radością Podziomek, drumłę od ust odjąwszy i na kiju się podparłszy, gdy wtem do owej pieśni, złożonej ze śpiewu ptasząt i szeptów kwiecica, zaczęła się mieszać jakaś nuta żalosna, zrazu daleka, potem coraz bliższa.

Zaraz też na skraj lasu wyszła wynędzniała, ubogo odziana kobieta, która zbierając lebiodę, ocierała z łez oczy wychudzoną ręką i mniemając, iż jest sama, śpiewała rzewnym głosem:

*Oj, wiosna ci to, wiosna,
Oj, dola mi żalosna!
Oj, pusto już w komorze,
Oj, głodno i w oborze, hej!...*

Rozległo się echo jękiem szerokim het precz po cichym lesie, a kobieta znów śpiewać zaczęła:

*Na stole próżna miska,
Oj, piszczą jeść dzieciśka!
Po łakach kwitnie kwiecie,
A bieda ludzi gniecie, hej!...*

I znów się rozległo echo w leśnej głuszy, a uboga zbieraczka lebiody śpiewała dalej:

*Oj, w rosach słońko wstało,
Oj, we łzach mnie widziało,
Oj, w rosach dojdzie zorzy,
Oj, we łzach mnie położy, hej!...*

Słuchał tego śpiewania Podziomek, a litość wzbierała w jego pocziwym sercu.

Przypomniał sobie ową wiosnę spędzoną niegdyś we wsi, gdy chleba i mąki po chatach ubogich brakło, gdy matki zielskiem dzieci swe żywić musiały, gdy dobytek marniał bez paszy, a kto z otrąb podpłomyk miał, ten się za szczęśliwego liczył. Więc kiedy echo pieśni też ucichło, westchnął i rzekł:

– Teraz wiem, że wiosna jest! Ptaki śpiewają, kwiat zakwita, a głodni ludzie płaczą.

A wtem przypomniał sobie, iż śmieci w Grocie Kryształowej zebrane zamieniają się na ziemi w pieniądze, i z cicha podszedłszy w to miejsce, gdzie kobiecina lebiodę zbierała, wyrócił obie kieszenie i pilnie je wytrząsać zaczął. Przytailo się istotnie, w nich nieco prochów, z których, gdy na ziemię padły, blask żywy się rozszedł.

– Skarb! Skarb! – zakrzyknęła kobieta ujrawszy srebrne pieniążki. – Jezu miłosierny! Skarb! Toć nie pomrzem z głodu! Toć się obratujemy z tej biedy! Jezu miłosierny!

Zebrała garstkę pieniążków i padłszy na kolana modlić się zaczęła rzewnym głosem:

– Nie opuściłeś Ty sierot! Nie zapomniałeś nędzy ubogiego. Nie ostawiłeś w głodzie łaknącego! Żywicielu! Pocieszycielu! Ojcze nasz!

Tu zamilkła, a tylko łzy jasne, lecące z wzniesionych w niebo oczu, przemawiały za nią. Czego słuchając i na co patrząc Podziomek też oczy pięścią wycierać zaczął i do płaczu się wykrzywił.

Aż kiedy kobieta ucałowawszy pokornie ziemię wstała i w las poszła, rzecze Podziomek:

– Nie mamy tu co dłużej popasać. Wiosna jak wół. Trzeba nam prędko z wieścią do króla wracać!

Jeszcze to mówił, kiedy usłyszy: dudni coś po drodze.

Spojrzy, a to ów Cygan, co ich na jarmark wodził, po kociołek i drumlę wraca.

Więc zaraz kija sękatego z ziemi podniósł, żeby się Cyganowi obronić, gdyby tu wrócił przypadkiem.

Zerwie się i Koszałek-Opalek i już uciekać chce, kiedy go Podziomek za rękaw chwyci i rzecze:

– Nie bój się, uczony mężu! Wodził on nas, powiedziem my jego! Toć w księdze twojej stało, że w nagłej trwodze małe Krasnoludki w wielkich Krasnoludków zamienić się mogą! Jakże to uczynić?

Ale Koszałek-Opalek tak zębami szczął ze strachu, że i słowa przemówić nie mógł.

– Prędej, prędej! – wołał Podziomek.

A już Cygan do polanki dobiegał.

– Trze... trze... trzeba... – bełkotał Koszałek dygocąc jak w febrze – trzeba na... naz... nazwać... rzecz wielką! Jak największą...

A wtem ich Cygan spostrzegł i zakrzyknął:

– A tuście mi, ptaszki! Czekajcie, odpłacę ja wam teraz!

– Góra! – zawołał Podziomek drżącym trochę głosem. Ale się nawet na pół cala nie podniósł.

– Mą... mą... mądrość! – wybełkotał Koszałek-Opalek. Ale i to nic nie pomogło.

– Siła! – zakrzyknął Podziomek w trwodze, bo już Cygan rękę na nim kładł. Ale jak był, tak pozostał małym.

A wtem rozległ się w powietrzu głos cichy, jakby wiatr między drzewami zagadał:

... Miłosierdzie!

Echo to było, od słów ubogiej kobiety odbite, która szła lasem, wielbiąc Boże miłosierdzie. Lecz kiedy się ten głos rozległ, zbladł Cygan i stanął jak wryty. Małe Krasnoludki zaczęły mu w oczach rósć, rósć, a Cygan cofał się... cofał, szepcząc zbiełałymi ze strachu ustami:

– Zgiń, przepadnij, maro!... Zgiń, przepadnij...

Tymczasem Krasnoludki przerosły go o głowę, przerosły o dwie, o trzy, aż zrównawszy się z borowymi sosnami, stały przed nim groźne, potężne, olbrzymie, tak że ów Cygan wydawał się przy nich jak karzeł.

Rzucił się tedy przed nimi na ziemię i złożywszy ręce wołać zaczął:

– Darujcie, jasne pany! Darujcie, wielmożne pany! Ja myślał, że wy małpy, a wy czarodzieje! Darujcie Cyganowi, jasne wielkoludy!

Nasrożył brwi na to w olbrzyma zamieniony Podziomek i grubym głosem rzecze:

– No, może to być, bom dziś łaskaw! Ale nas przez bór i przez rzekę do Groty naszej nieś. A niech się który co najmniej utrząsie albo o gałąź drapnie, albo buty zamoczy, to cię w szkapę żydowską zamienię! O wikcie też pamiętać masz! Dużo ma być jadła na każdy czas i dobrego! A co to ci tam z torby sterczy?

Okazało się, że z torby sterczy placek ze straganu porwany, pasek słoniny wędzonej i serek.

– Mało! Bardzo mało! Zupełnie mało!... – burczał dobywając zapasy te Podziomek.

Ale Cygan z ziemi nie wstając wołał:

– Niech już lepiej od razu zostanę żydowską szkapą, jak mam takich dwóch drabów, jak jasne pany, dźwigać i jeszcze ich dobrym jadłem paść. Czy tak, czy siak, jedna zguba moja!

Tu zaczął jęczeć i szlochać.

Ale echo, odbijając się od drzewa do drzewa w boru, ucichało i rozpływało się z wolna, a jednocześnie oba wielkoludy maleć i zniżać się zaczęły.

Wtedy Podziomek rzekł:

– No, nie bój się, Cyganie! Wstań! Widziałeś moc i siłę naszą, to dość. Teraz znów oto zamieniamy się w drobnych Krasnoludków, a tak poniesiesz nas łatwo. Tylko jedzenia fasuj dużo! Jak najwięcej! Tyle, co dla dużych!

Podniósł głowę Cygan, patrzy, a przed nim karliki małe. Więc ich zacznie całować po rękach, śmiejąc się i płacząc razem, po czym ich sobie na ramionach posadził, a gdy podjedli i zakurzyli fajki, w drogę z nimi ruszył.

Niósł ich tak do wieczora, niósł przez noc, iż jasna od pełni księżycowej była, a choć mu nogi zemdlały, poskarżyć się nie śmiał, żeby się czarodzieje owe mocne, za jakich Krasnoludków miał, znów nie zmieniły w olbrzymów. Co gorsza, i z owego chleba i sera mało co mu się dostało, bo Podziomek raz w raz do torby sięgał, a jadł tak, że cały napęczniał jak bania. Ciężył też nieznośnie Cyganowi, tak że go ów raz w raz z ramienia na ramię przesadzając, z Koszałkiem mieniał, żadną miarą nie mogąc owego cierpięcia w karku wytrzymać, jakie mu Podziomek sprawiał.

Na drugie południe stanęli wreszcie u wejścia do Kryształowej Groty, które wszakże kamieniem zawałone było tak, iż tylko niewielka została szpara, tyle właśnie, ile na przepuszczenie jednego Krasnoludka trzeba było. Koszałek-Opalek jak nic byłby się tam zmieścił: wiadoma to rzecz, iż uczeni kronikarze zazwyczaj są chudzi. Ale Podziomek tak się wypasł na wyprawie swojej, że ani myśleć mógł o wejściu tą szparą do Groty. Przymierzył się jednym bokiem, przymierzył drugim – na nic.

Krzyknie tedy na Cygana:

– Hej, Cygan! Nie widzisz, że ten kamień urósł i to wejście zawałił, gdzieś dawniej luzem chadzał? Odwał mi go z drogi!

Ale w Cygana zaczęła wstępować otucha, bo u kresu będąc mniej strachu doznawał. Rzecz tedy:

– Wielkomożny dobrodzieju! Będzie tak, jak każesz! Ale chciałbym się zobaczyć z drumlą moją. Toć Cygan bez drumli, jako dziad bez jeża. Służyłem wiernie jasnym panom, więc o swoje proszę.

Dobyl tedy Podziomek drumli i mówi:

– Cygańska to rzecz zawsze coś wycyganić w ostatku! Odwałaj kamień w mig, bo mi do króla pilno!

Nateżył się Cygan, kamień barami podparł i tak go silnie pchnął, że się głąz razem z drumlą i z Cyganem het precz w dolinę potoczył!

Buchnął dzień jasny do Groty wielkimi snopami ciepła i światłości, a na krzyk zstępującego Podziomka:

– Witajcie, bracia!

Odhuknęły setne głosy:

– Słońce! Słońce! Słońce!...

Król Błystek opuszcza Kryształową Grotę

I

Noc była ciepła, cicha, do rana jeszcze daleko, kiedy wracający z jarmarku Piotr Skrobek nagłą jasność zobaczył. Ot, po prostu, jakby się coś pod skałką paliło.

„Co takiego? – myśli Skrobek. – Ogień, nie ogień? A może się skarb czyści? Wszak ci to powiadają starzy ludzie, że tu w tych skałkach z dawności zbójniki mieszkaly, złoto, srebro rabowały, a w ziemię kryły. Tu jużci nie co, tylko ten święty ogieniek te pieniądze z krzywdy ludzkiej czyści... Sto lat tak musi. A jak sierocki grosz, to dwieście... Dopieroż jak się ta krzywda wypali, to człeku się taki skarb da wziąć. Tyle że trza też ubogim i sierotom z niego użyzczyć, inaczej by zmarniał. Oj, żeby tak na mnie trafiło!...”

Zaciął biczem swoją szkapinę i prosto na tę jasność jechał.

„Zginie? Nie zginie? – myślał sobie, jadąc. – Jak czas nie przyszedł jeszcze, to i zginie”.

Ale jasność nie znikala; owszem, coraz wyraźniej zaczęły bić spod skałki cudne, tęczowe blaski, właśnie jak kiedy promień słońca w kroplach rosy się załamie.

W ubogim Skrobku serce silnie dygotać zaczęło. Chłopina biedny był jak mysz kościelna, a w domu miał dwoje jasnych chłopiąt, dwie sieroty, które matka mu zostawiła, pożegnawszy ten świat przed pół rokiem. Te dzieci, biedna chałupina, ta szkapa i wózek ten, toć całe mienie jego. Na furmanki się najmował, za groszem się po świecie uganijając, ale i tak nie zawsze chleba w chacie było dość. Oj, przydałże by się, przydał jaki talar biały!

Jedzie niebogi Skrobek i modli się w duchu, a rozmyśla, jak by to zagon ziemi od sąsiada kupił, kartofle na nim sadił, dziecięta swoje żywił; kiedy spojrzy nagle, a w tej jasności rusza się i uwija gromadka małych człeczków, ot tycich, że to ledwie z daleka przy ziemi widać: długie brody, ubiory dziwaczne, a zresztą jak ludzie.

– Krasnoludki! – szepnie Skrobek, któremu nagle mrowie przeszło po grzbiecie, i zaraz targnął postronkiem, żeby skrócić na stronę, bo takim zawsze lepiej z drogi zejść.

A już go ta ciżba obkoczyła i dalej krzyczeć:

– Hej!... hej!... Gospodarzu! A podwieźcie no nasze manatki! I nie czekając, co chłop powie, nuż się na wóz drapać.

Jeden lezie po rozworze, drugi po szprychach koła, inszy się czepia półdrabka, tamten po dyszlu się skrobie. Czysta napaść!

Stanął chłop, patrzy, co z tego będzie, markotno mu jakoś na duszy i boi się, i wstyd mu takiego drobiazgu się bać... Co tu robić teraz?

Ale nie było dużo czasu na rozmyśły, bo ledwo jedni stanęli na wozie, wnet inni podawać im zaczęli przedziwne jakieś szkatuły i skrzynie, z których to były owe blaski tęczowe, a jeszcze insi ciskali na wóz coś, jakby sztaby złota i srebra, tak właśnie, jakby to było zwyczajne żelastwo.

Brzęczało to wszystko, dzwoniło i świeciło w oczy, tak że chłop prawie od rozumu odchodził i nie bardzo już sam teraz wiedział, czy mu się to tak śni tylko, czyli też naprawdę takie dziwy widzi.

Tu mu ogniem buchną ze skrzyni czerwone kamienie niby rubiny, kamień w kamień jak przepiórcze jajo; tu się aż modro w powietrzu robi od niebieskich szafirów, tak przednich, że jak niebo świecą; tu nagle zielone światło obejdzie wszystkie twarze od szkatuły pełniutkiej zielonych szmaragdów; tu perły, tu pierścienie, aż oczy rwie, nie wiadomo, na co pierwej patrzeć.

Kręciły się Krasnoludki między tym bogactwem w przeróżnej barwie, żywo, składnie, a tak pstro, jak kiedy tulipany zakwitną na wiosennej grzędzie.

Już wóz był pełen prawie, już reszta skrzynek i sepetów przed skałką wyniesiona stała, kiedy wtem zajaśniało światło tak wielkie i cudne jak jutrzenna gwiazda. Zasłonił ręką oczy Skrobek od nagłego blasku, a kiedy znów spojrział, zobaczył wychodzącego z Groty króla Krasnoludków, w złotej koronie, w purpurze i ze złotym berłem, z którego świecił ogromny diament, rzucający jasność tak wielką, że zrobiło się widno jak we dnie.

Struchlał Skrobek, bo takiego majestatu jako żyw nie widział, a co króla, to znał tylko z szopki, Heroda, co go chłopięta obnosiły po wsi na Gody.

Zląkł się tedy tak, że nie wiedział sam, co robić: czy temu maluśkiemu królowi pokłon dać, czy uciekać zgoła?

Aż wtem król skłonił berłem dobrotliwie i rzecze:

*Witaj, dobry człowiecze!
Bóg cię weź w swoją pieczę!
Śpiesz się, nim noc uciecze!*

I zaraz począł na wóz siadać, w czym mu pomagali dworzanie kwapiąc się około majestatu królewskiego, by mu służyć.

Ale z tym wsiadaniem wcale niełatwo było. Płaszcz purpurowy czepiał się półkoszka, berło się zahaczało o luśnię, korona omal że nie spadła z królewskiej głowy, a złotem tkane czerwone pantofle poginęły w sianie.

Gramoliło się królisko, jak mogło, ale największą zawadą był mu w tym paż nadworny, Krężolek, który, jak klocek ciężki, ledwo się obracał i to królowi na płaszcz następował, to mu ową purpurę w tył nadto ciągnął, to pantofli w sianie szukając, plackiem na króla padał i tak się wszystkim pod nogami plątał jak piąte koło u wożą.

Świętej cierpliwości był ten król, że takiego gamonia trzymał przy swojej osobie!

Tymczasem Skrobek, widząc, że mu się nic złego nie dzieje, ochłonął ze strachu zupełnie i roześmiał się w kułak, patrząc na ucieszne owo widowisko jakby na jasełka. O Krasnoludkach słyszał nieraz, że po dobroci najlepiej z nimi, bo jak sobie upodobają kogo, to mu najmniejszej szkody nie przyczynią, owszem, obdarzą jeszcze.

Wszak ci jego dziad nieboszczyk powiadał, że Krasnoludki takie, które też „Ubożęta” albo „Skrzaty” zowią, chętnie u ludzi dobrych mieszkają, gdzie za piecem albo w mysiej norze siedząc i stamtąd nocą na izbę wychodząc, a jaka w chacie robota jest, w takiej pomagają.

To masło za gospodynię ubiją, to chleb rozczynią, to na kołowrotku przędą tak cudnie, że się ta przędza jak srebro mieni.

Czasem i z izby wyjdą, do stajni zajrzą, koniom drobniutko grzywy posplatają, zgrzeblem wyczyszczą, że się na nich ta siartka jak woda świeci...

Jest żniwo, to na miedzy taki sobie siądzie i buja dziecko w płachcie, u gałęzi wierzbowej uwiązanej, żeby dobrze spało, a matce, zgiętej z sierpem na zagonie, w pracy nie wadziło.

Zakwili dziecko, to mu śliczne pieśni śpiewają, a jak potem takie chłopię urośnie, to mu się te pieśni nie wiedzieć skąd w myśli biorą, właśnie jakby mu je kto podszeptował.

To się ludzie insi dziwią i mówią:

– Co za chłopak taki! Chodzi a śpiewa, a na fujarce gra, jakby go kto uczył!

A nie wiedzą, że on tylko tak przypomina sobie, co tam za małych dni swoich u gałęzi uwieszony, od Krasnoludków zasłyszał...

Powiadał dziadek, że jego samego Krasnoludki tak śpiewać uczyły, i zawsze im okruszyny chleba albo i twarogu na ławie zostawiał, bo z ziemi takie jeść nie chcą, jako że swój honor mają.

Przyszędł zaś Wielki Czwartek albo Wielki Piątek, a w chacie szykowali święcone, to każdej strawy, czy kołacza, czy kielbasy, zawsze uszczknął nieco i tym maleńkim pomocnikom na brzeżku ławy kładł.

Mnożyło mu się też dobro wszelkie i gospodarstwo tego szło; konie były jak łanie, na owcach runa jak strzecha, krowy tak mleczne, że drugich takich w całej wsi nie było, co i nie dziw, bo babka nieboszczka zawsze przy dojeniu zostawiała nieco mleka w łupince orzechowej dla tych Ubożąt swoich. I tak było długo, póty, póki nie pomarli starzy, póki za nimi i ojciec Skrobek nie pomarł. Dopieroż nad sierotami opiekę stryj wziął, porządki dawne skasował, gospodarkę prowadził siak tak, o dobytek nie dbał, a ku sobie, co się dało, garnął.

Aż i przyszło na biedę ostatnią i na sierocką krzywdę, co to aż do nieba woła.

A wtedy wszyscy widzieć to mogli, jak się w biały dzień Krasnoludki z zapiecka wyniosły, przez izbę, przez próg, het, w świat pomaszzerowały, a z nimi reszta dobra poszła... Sierotom nie zostało nic, a stryj się ich krzywdą i tak nie zbogacił.

Tak sobie rozmyślał Skrobek, na uboczu stojąc, a Krasnoludki tymczasem resztę skrzynek i szkatuł na wóz poładowawszy, królowi swemu miejsce na wozie uczyniły godne i aksamitem drogim siedzenie mu okryły, po czym co dostojniejsi z drużyny na wóz poniżej króla siedli, a insi poczepiwszy się, jak który mógł, do drogi naglić i wołać poczęli:

*Na dyszel, na rozworę
Siadł król w dobrą porę,
Na dyszlu, na rozworze
Jedź, jedź, w imię Boże!*

–A jakże to mam jechać? – pyta rezolutnie Skrobek, który już zupełnie tego pierwszego strachu zbywszy, dobrzej myśli począł być. – W prawo, czy w lewo?

A oni:

*Kamień w lewo,
kamień w prawo,
Jedźże prosto,
jedźże żwawo!...*

Więc znowu Skrobek:

– I gdzież to pojedziem? A znów oni:

*Na pola, na gaje,
Na łąki, ruczaje,
Na ciepłe wyraje!...*

Podrapał się Skrobek w głowę i pyta:

– A cóż za furmankę dostanę? Odpowiadają:

*Główeczkę makową,
Toli dobre słowo!...*

Na to Skrobek:

– Nie idzie! Nie ma zgody! Koń mój, wóz mój i co na nim –moje!... A krasnoludki zakrzykną:dar

*Koń twój, wóz twój,
A co na nim – nasze!
Kiep ten, kto da
Dmuchać sobie w kaszę!*

I nuż trzaskać w szable.

– Niechże będzie po połowie! – chłop na to.

A wtem król Błystek:

– Człowieku! – rzecze cichym głosem. – Żebyś ty tych skarbów nie połowę, ale tysiąc tysięcy tysięczną częśćką miał, toby zguba twoja była! Wielkie bogactwo powala człowieka tak jak wielka niemoc. Siłę mu z ciała bierze, ducha z piersi wyciska, z dobrej drogi zbija.

A tuż Krasnoludki chórem:

*Hej, bogacz! ladaco!
Ten brzydzi się pracą,
Choć żyje – to na co ?*

Kiedy umilkli, rzekł król Błystek dalej:

– Nie dała też ziemia matką ludziom wszystkich skarbów swoich, tylko nam, małym służebnikom swoim, co ich strzeżem, a nie bogacim się nimi; co pereł nie mieniamy na łyż ubogich, brylantów nie sprzedaję ani kupuję, złota na dukaty nie biję, tylko blaskiem owych bogactw ciesząc oczy nasze, chwalimy tę ziemię matkę i straż pilną u jej skarbów czynimy.

Na to chłop:

– Kiedy już królisko takie łaskawe, to niechże wiem, skąd się te skarby biorą?

A król:

– Wszelkie skarby biorą się w ziemi z tego, co opuści i poniecha człowiek. Odrobiny nie spożytego czasu mienią się w szafiry; odrobiny nie spożytego chleba – w perły najjaśniejsze; odrobiny siły – co się nie obróciła na dobre ni sobie, ni komu, w szczerę idą złoto. Gdyby człowiek okruszyn takich nie upuszczał i nie poniechiwał, skarby te byłyby jego. A tak idą w ziemię i my tam ich strzeżem.

Otworzył na to Skrobek gębę szeroko i pyta:

– To wy ze ziemi? Jak te ślepe krety? Laboga!...

A król:

– Z ziemi wszystko idzie: o małe, i wielkie siły. Każdemu ziemia tyle mocy da, ile jej w siebie wziąć może!

– I cóż wy tam robicie? – rzecze chłop.

A Krasnoludki chórem:

*Liczym ziarna piasku,
Liczym krople w zdroju,
Krople rosy w trawie,
Krople potu w znoju!*

*Liczym kwiaty w łąkach,
Liczym liście w borze,
Zapisuję pięknie
Na brzoźowej korze!*

– Tfu! – splunie na to Skrobek. – Rejment muchów i z gadaniem takim! A co ja z tego rozumiem? Niechże tam królisko każe tej swojej czeladzi cicho siedzieć, bo tylko człowiekowi mać w głowie tym śpiewaniem robią, a ja jak mam jechać, to pojedę, żebym jeno wiedział, gdzie i za co?

Tu zebrał lejce w garść i na szkapę cmoknął gotując się przy wozie iść, gdyż na niego miejsca już nie stało!

– Jedź w spokoju, dobry człowieku – rzekł król i berłem skinie. – Nagrodzim tobie według pracy twojej, nie będzie ci krzywdy.

– Niechże ta! – odezwie się Skrobek. – Zdawam się na królewskie słowo! Dokądże zajedziem?

Zaroily się Krasnoludki od tego pytania, niby pszczoły w ulu; jeden radził to, drugi owo, cichy głos starego króla ledwie się słyszeć dawał w tym rozgwarze, jaki między sobą czynili.

Nagle podniósł się Koszałek-Opalek i tak mówi:

– Iż żadne królestwo bez mądrości być nie może, a mądrości bez spisywania ksiąg nie ma, przeto wnoszę, aby nas ten dobry kmieć tam powioził, gdzie najwięcej gęsi, iżbym sobie nowe pióro mógł wyszukać i nową sławę uzyskać.

Ale Podziomek, który się w siano tak był zapadł, że ledwo mu nos było widać, porwał się na to i rzecze:

– Na nic robota taka! Co mi po mądrości i po sławie, kiedy będę głodny? Pełny żołądek to grunt! Reszta – torby kłaków niewarta! – Tu zwrócił się do króla i rzecze: –Jeśli chcesz, miłościwy królu, spokój w państwie mieć, o to najpierw dbaj, żeby głodnych w nim nie było! Więc moja rada taka: jak nas ten chłop ma wieźć, niech nas wiezie tam, gdzie w kominie kasza wre, a skwarki skwierczą! Inaczej nie ma zgody.

– Tak, tak! – krzyknęli insi. – Nie ma zgody, nie ma!

I robił się coraz większy huk, tak że ten cały wóz wyglądał bez mała jak ratusz, kiedy się na nim mieszczany powadzą. Co gdy trwało, skinął król stary jasnym swoim berłem i rzecze:

–Jak nie ma zgody, to niech będzie rozkaz!

I obróciwszy się do Skrobka, dodał:

– Wieź nas dobry człowieku, gdzie jest wola twoja.

Uśmiechnął się na to Skrobek chytrze i zmrużywszy lewe oko, prawym na Podziomka spojrział.

„Czekajże, ty grubasie! – pomyślał. – Inszych, jak inszych, powiozę z tym króliskiem tak, żeby syci byli. Ale ciebie nigdzie nie dam, tylko do Głodowej Wólki. Już ty tam ścienkniesz...

Nie bój się!”

Tu palnął z bicza i ruszyli w drogę.

PODZIOMEK SPOTYKA SIEROTKĘ MARYSIĘ

I

Za górami Karpatami,
Za trójpuszczą, za głęboką,
Stała sobie mała chatka,
Chatka zwana „Boże Oko”.

Nikt już dzisiaj nie pamięta,
Kto ją nazwał tak i czemu:
Że był nad nią lazur nieba
Oku podobny Bożemu;

Czy, że rankiem, co najwcześniej,
Wyzłacała się tu zorza
I na strzechę blaski siała,
Jak źrenica jasna Boża;

Czy, że strumień tu błękitny
Tak spokojnie, cicho płynie,
Jakby oko się niebieskie
Przeglądało w wód głębinie;

Czy, że gwiazdka drobna, jasna
Tli nad chatą w letnim zmroku,
Jakby srebrna łza litości
Zaświeciła w Bożym oku...

Czy tu dola, czy niedola
Błysła światłem, padła cieniem,
A człek, oczy w niebo wzniosłszy,
Z Bożym spotkał się wejrzeniem?.

Tak czy owak, dość że stała
Za trójpuszczą, za głęboką,
Za górami Karpatami
Chatka zwana „Boże Oko”.

II

Czy to gołąb leśny grucha
Tak tęskliwie a żałośnie,
Czy to słowik tak zawodzi
Po minionej dawno wiośnie?

Czy to puszcza tak sumuje,
Czarna puszcza, w mrokach głucha,
Czy tak lata nad polami
Z głośnym jękiem zawierucha?

Ej! nie gołąb to, nie słowik,
Ej! nie puszczy to są jęki,
Ale matka odumiera
Swojej małej sieroteńki!

Kto pożywi? Kto napoi?
Kto przytuli ją na świecie?
Z modrych ocząt kto łzy otrze?
Kto przygarnie cudze dziecię?

Kolebała ją w kolebce
Z złotej trzciny, rokiciny,
Teraz dla niej czarna ziemia
I zapiecek z twardej gliny.

Piosnką uśpi ją, bywało,
Piosnką rankiem ze snu budzi,
A teraz ją wołać będą
Zimne głosy obcych ludzi.

Hodowała ją jak ptaszę
Białym chlebem, złotym miodem,
Teraz gorzki kołacz nędzy
I sieroctwo przyjdzie z głodem.

Z lnów bielutkich płótno tkala
Na koszulki, na zawiązki,
Teraz przyjdzie sieroteńce
W zgrzebnych szmatach pasać gąski!

Gaśnie słońko za górami,
Zachodowe gasną zorze,
Odumarła matka dziecię,
Odumarła w Imię Boże!

III

Płacze Maryś całe dzionki,
Płacze Maryś całe noce...
Przyleciały już skowronki
I jaskółka już szczebioce.

Przyleciały już skowronki
Na kwietniową, na niedzielę,
Na mogile matusinej
Rozkwitnęło bujne ziele.

Na mogile matusinej
Sieroteńka cicho kwili.
Już ją z chaty, z tej rodzonej,
Obcy ludzie wypędzili.

Wypędzili na wschód słońka,
Wypędzili na wschód nieba:
Idźże we świat, ty sieroto,
Za kawałek służyć chleba!

Idźże we świat, ty sieroto,
Cudze gąski paść na łące,
Niech cię myją bujne deszcze,
Niech cię suszy jasne słońce.

Niech cię myją bujne deszcze,
Niech cię bujny wiatr pomiecie,
Idźże we świat, ty sieroto,
Co nikogo nie masz w świecie!

IV

Taka była dola sierotki Marysi, co miała włoski jak słoneczne światło, oczy jak fiołki leśne, a w sercu tęskność i żal.

– Marysiu, sierotko! – mówi do niej gospodyni, u której gąski pasła. Czemu się nie śmiejesz, jako insi czynią?

A ona:

– Nie mogę się śmiać, bo wiatr po polach wzdycha.

Marysiu, sierotko! Czemu nie śpiewasz, jako insi czynią?

A Marysia:

– Nie mogę śpiewać, bo brzozy po gajach płaczą.

Marysiu, sierotko! Czemu się nie weselisz, jako insi czynią?

A ona:

– Nie mogę się weselić, bo ziemia we łzach rosy stoi!
Taka była ta Marysia.
Przylecą, bywało, ptaszkanie, na drzewinie wpodłe niej siędą i śpiewają:

*Sieroto, sieroto,
Co masz główkę złotą,
W oczach błękit nieba,
Czego ci potrzeba ?*

A Marysia podnosi na tych śpiewaczków wzrok smutny i nuci z cicha:

*Nie trzeba mi srebra,
Nie trzeba mi złota,
Jeno onej wierzby
U własnego płota!*

Więc ptaszkanie znowu:

*Sieroto, sieroto,
Co masz główkę złotą
Czy wody, czy chleba,
Czego ci potrzeba ?*

A Marysia na to:

*Nie trzeba mi chleba,
Nie trzeba mi wody,
Tylko tej rodzonej,
Domowej zagrody!*

Zaszcebiocą na to ptaszkanie ze sobą, główkami kręcą, skrzydełkami trzepocą, aż jeden tak zaśpiewa:

*Sieroto, sieroto,
Co masz główkę złotą,
Czego sobie pragniesz,
Proście teraz o to!*

A Marysia złoży wychudłe rączyny w zgrzebnej koszulinie, podniesie je ku ptaszętom i mówi:

*O moi ptaszkanie
Mam was prosić o co!
Niechże mi się przyśni
Matuleńka nocą!*

I zdarzało się tak nieraz, że się matuleńka przyśniła nocą Marysi.

Cicho, cichuchno, biało, bieluchne szła przez izbę niby promień miesięczny i niby promień otaczała swą jasnością główkę śpiącej sierotki swojej.

Śniło się wtedy Marysi, że słońce świeci i że kwiaty pachną.

Wyciągała ręce do mateńki i szeptała we śnie:

– Przyszłaś, mateńko?

A tuż nad nią głos słodki i cichy:

– Przyszłam dziecino!

A były to słowa jakby dech tylko:

Tuli się Marysia do matki i pyta:

– I weźmiesz mnie z sobą, mateńko?

A tuż nad nią głos cichszy jeszcze i słodszy:

*Jeszcze nie pora, jeszcze nie czas,
Kto nas rozłączył, ten złączy nas!*

Więc Marysia na to:

– O, jak ciężko czekać, mateńko!

A głos:

*Prędko przy pracy przemija dzień,
A wiek i życie – to tylko cień.*

I cicho, cichuchno, biało, bieluchne znikająca mateńka jak promień miesięczny, a sierota budziła się z westchnieniem i chwytając pracę. Pracowała, jak mogła i wedle sił swoich, za ten kąt na cudzym zapiecku, za tę garść słomy, na której sypiała, za tę łyżkę stawy, którą się pożywiła, za tę zgrzebną koszulinę, która jej grzbiet kryła. Kolebała zimą dziecko, nosiła chrust z boru, ze studni wodę, latem gąski pasła.

Nazywali ją też ludzie we wsi: Marysią gęsiarką albo Marysią sierotką.

Nazywali ją tak rok, nazywali dwa, aż zupełnie zapomnieli, że się ta dziewczuszka Kukulanką nazywa i że jest córką Kukuliny, owej to litościwej kobiety, co Podziomka chciała od bicia bronić, kiedy podrzutkiem u baby zły był.

Ona sama, gdy ją kto zapytał: – Jak się zowiesz, dziewczę? – odpowiadała: – Marysia sierotka.

Łączka, na której pasła gęsi Marysia sierotka, leżała pod lasem, dość daleko, za wsią zwaną od dawien dawna „Głodową Wólką”, iż tam ziemie chude były, mało chleba dawały, a ludzie częściej głodni niżli syci byli.

*Staje piasku, staje wody,
Rok urodzaj, a dwa – głody!*

Na tych małych trawach, na tych dużych wodach hodowały się całe stada gęsi, a jak to wszystko zaczęło rwać się a trzepotać, a gęgać, a wrzeszczeć, to dobrze o milę wokół słychać było.

Wszystkie dzieci we wsi robotę z tymi gęsmi miały, pasając je gromadą albo po osobno, jak któremu w chacie przykazali.

Dopiero pod wieczór rozdzielała się gromada na pomniejszych stadka i każdy swoje do domu gnał. Już też wtedy nic inszego w całej Wólce Głodowej słychać nie było, tylko:

– Halela, gąski!... Halela! halela, do domu!...

A do tego taki z biczów trzask, jakby wesele jechało.

Długo jeszcze po zachodzie słońca uspokoić się nie mogło gęganie w zagrodach i chlewikach; a i w nocy nieraz powstawał ni stąd, ni zowąd wrzask gęsi na całą okolicę.

Ale Marysia sierotka pasła gąski swoje osobno, pod lasem.

Siedem ich tylko było, więc im gospodyni dogodzić chciała i na wspólne pastwisko nie dawała gnać. Dziewczynina też rada temu była, bo się inne dzieci z niej śmiały; a to, że się w chowanego bawić nie umie, a to, że w zajączka nie dość prędko biega, a to, że z dziewczynami tańcować po trawie nie chce.

I prawda. Czy to, że mocy wielkiej na tym cudzym chlebie nie miała, czy też tak już z tego sieroctwa swojego nie lubiła Marysia biegać, tańczyć, gonić się ani w zajączka z dziećmi grać.

Lubiła za to śpiewać. A piosenek umiała tyle, że cały dzień coraz to inszą śpiewała, a nigdy ich nie brakło.

A to jak „Zosi chciało się jagódek, a kupić ich za co nie miała”, a to jak „Konik siwy długogrzywy mogiłę panu swemu nóżką w polu grzebał”, a to o zaklętej fujarce, co mówiła do pastuszka:

*...Graj, pastuszk, graj,
Bóg ci pomagaj!*

A to znów jak „Niedźwiedź kudłaty przywędrował do wilczycy we swaty”, a to jak „Babuleńka miała kozła rogatego, co był bardzo rozpustny”, a to jak „Siwe łabędzie leciały za morze...”

Najbardziej wszakże lubiła Marysia i najczęściej śpiewała piosenkę o sierocie, co gąski zwoływała do domu, bo ta piosenka była taka jakby o niej samej.

Kiedy więc wieczorne zorze ugasać zaczęły nad lasem, zaraz Marysia wyciągała najgłośniejszą i najcieniejszą, jak tylko mogła.

*Pójdźcie, pójdźcie, gąski moje!
Pójdźcie, pójdźcie do domu!
Noc nadchodzi, ja się boje,
Bronić mnie nie ma komu.*

Była to prześliczna piosenka, a tak wprost do serca szła, że kto w pobliżu szedł, to stawał i słuchał, a często i łzy miał w oczach.

Kto tych wszystkich piosenek wyuczył Marysię, nie wiadomo zgoła, a gdyby jej się kto spytał o to, ona sama nie wiedziałaby także.

Może ją uczył piosenek bór szumiący, czarny, może trawy łączne, szepczące słóweczka ciche; może gaje młodym liściem okryte, które, za wiatrem lekuchno się chwiejąc, gwarzą cości a gwarzą, jakby żywym głosem. A może nawet i ta cichość, która przez pola szła, przez ugory i która była tak dzwoniąca w sobie właśnie, jakby powietrze śpiewało.

Słuchała też, nasłuchiwała Marysia sierota wszystkich tych głosów, nie czując nieraz w tym zasłuchaniu ni głodu, ni chłodu; a kiedy słońce zaszło i do domu wracać trzeba było, nie wiedziała sama, jak ten dzionek przeleciał.

Ani jej też w głowie nie powstało, że z zarośli borowych patrzy na nią i wygląda wzrok bystry i chytry, pałający i okrutny, wzrok przebiegłego Sadełka, owego to lisa z sąsiedztwa Kryształowej Groty, który sobie w tym lesie norę uczyniwszy pod pnem wywróconej sosny, pustelnika udawał, a po stronach węszył, skąd by jaki dobry kąsek pochwycić.

Szczególniej do gęsiny uczuwał nieprzeparty pochop i apetyt. Wielkich stad gęsi, strzeżonych pilnie przez mocnych chłopaków, unikał zakładając głównie swe nadzieje na owych siedmiu gąskach przez Marysię pasionych. Toteż co dzień bliżej a z cicha podkopywał się krzakami ku łączce.

Bezpiecznie pasła gąski swoje Marysia, nic o tym nie wiedząc; bezpiecznie o zmroku do zagrody stadko swoje gnała, a jedynym jej pomocnikiem był mały, żółty piesek, Gasio, który ogromnie dziewczynkę polubiwszy, całe dnie przy niej na łączce przesiedział.

Sadełko wielką niechęć czuł do tego Gasia.

– Obrzydliwe psisko! – mawiał nieraz sam do siebie, spluwając i krzywiąc się szpetnie. – Nigdy chyba szkaradniejszego stworzenia nie widział! Co to na przykład za uszy! Spiczaste jakieś, ostre, zupełnie dla psa nieestosowne! Albo sierść! Toć on rudy jak ten Judasz zdrajca! Co to za paskudny charakter być musi! Co za obyczaje! Jakie nawyknięcia! Toć to darmożjad skończony! Wypowiedzieć nie potrafię, jak mi się to zwierzę nie podoba! Sam widok jego o mdłości mnie przyprawia. Czy kto widział, żeby porządny pies cały dzień na jednym miejscu siedział i mizernych siedmiu gęsi pilnował? Toć to wstyd prawdziwy! Siedem gęsi! Cha, cha, cha!... Śmiać mi się chce! Gdzież jest prostak, który by w gęsinie smakował i na tę nędzę się łakomił? Dawniej to może było przyjęte, żeby się na stołach lisich i taka potrawa znajdowała, wiadome rzeczy, że starzy mieli swoje dziwactwa. Ale co teraz, to żaden szanujący się lis takich specjałów nie jada! Przynajmniej co do mnie, brzydzę się gęsiną. A na tego żółtego psa i na tę obdartą dziewczynę wprost patrzeć nie mogę. Gdyby nie to, że mam zamiar pustelnikiem tu zostać, dawno bym się już wyniósł z okolicy. Ale cóż! Kiedy się kto cały cnotcie i pięknym czynom poświęci...

Tu wzdychał tak mocno, że aż mu się wąsy podnosiły u nosa, i mrużąc to jednym, to drugim okiem, śledził poruszenia Gasia, gąsek i Marysi. Po czym, odwróciwszy się od nich, brzydko się uśmiechał.

V

Widniała już z daleka w księżycowym świetle Wólka Głodowa. Do niej to dążył Skrobek skręciwszy w bok z gościńca. Nagle odwrócił się do jadących na wozie Krasnoludków i rzecze:

– Na mój kiepski rozum, trza by nie wszystkie panięta w jednym miejscu naraz wysypać; bo jakby tyle gąb w jednej wsi przybyło, to by się taka drogość stała, że to ha, i mogłoby być głodno.

– Racja! – odezwał się na to z głębi wożą głos jakiś, a był to głos zakopanego po uszy Podziomka.

– Ano po dwóch, po trzech, po pięciu poproszyć sam, tam, to i paniętom lepiej będzie, i tym ludziom we wsi też!

Na to król:

– Roztropny z ciebie człek! Uczyni, jakoś powiedział.

Przystanął tedy Skrobek, podrapał się w głowę, a ukazując na wieś przydrożną, rzecze:

– A choćby, na ten przykład, hajno, do tej tam wioski dwóch, trzech dać? Oj, dobrze by się miał taki, bo to Sytna Wólka jest, bogata wieś na całą okolicę, chłop w chłopu same gospodarze, a każdy spasiony tak, że za wołu waży! Te dzieci, te baby to to się aż toczą jak kule, takie okrągłe, takie tłuste! Jak nie ma tłuste być, kiedy w każdej chałupie od rana do nocy warzą a kraszą, a solą, a zasiekują jakby na Wielkanoc, a siądzie chłop do miski z rana, to nie wstanie od niej aż do południa, by się do drugiej przysiąść.

– Stój!... Stój!... – zakrzyknie na to zagrzebany w sianie Podziomek.

Ale chłop prawił dalej, jakby go nie słyszał:

– Co by sięgnie miał przesiadać od miski do miski, kiedy tam ziemia taka, że sama bez człeka plonuje setnym ziarnem. A co tu sadła, słoniny, a gęsiego szmalcu! Nieprzejedzone rzeczy!...

Stój! Stójże! – krzyknął głośniejsz teraz, gramoląc się z siana, Podziomek. – Stójże, kiedy wołam..

– A co tam? – zapytał chłop, jakby jego pierwszy raz słyszał.

Wyrzebał się Podziomek i patrząc bystro chłopu w oczy zapyta:

Nie łzeszże ty, chłopie?

A Skrobek:

– Co bym miał łżyć? Prawda jest, i już!

– Jadła dość, mówisz?

– Co żywot strzyma!

– I kraśno?

– Omasta aż po brodzie kapie!

– A misy duże?

– Jak to miesięczne koło!

A księżyc już zachodzić zaczął.

– Kiedy tak – rzecze Podziomek, do króla się obracając – to ja się tu, miłościwy królu, zostaje!

To mówiąc ścisnął królewskie kolana, towarzyszą stojąc w półdrabku na waletę zakrzyknął i na chłopą wołać począł, żeby ku tej wsi nawrócił.

Co gdy Skrobek zbyt skwapliwie uczynił, zawadził o kamień kołem, wóz się zatoczył cały, aż podskoczył, i Podziomek, jak stał, tak wyleciał z niego.

Nie uczyniła mu się, co prawda, najmniejsza krzywda, bo na głęboki, drobny piasek padł jakby na pierzynę, wszakże narobił tak srogiego krzyku, że się wszystkie psy pobudziły we wsi i głośno ujadać poczęły.

Odezwał się na to szczekanie jeden, drugi gestor, zagegała tu, to tam jakaś gęś czujniejsza, za nią druga, dziesiąta, dwudziesta; za czym podniósł się po podwórkach i chlewikach wrzask tak przeraźliwy, jakby się cała wieś paliła.

– Aj, kości moje, kości!... – krzyczał macając się po żebrach Podziomek w nagłym przestachu, z powodu owego szczekania i gęsiego wrzasku, ale głos jego niknął w tej wrzawie tak, że go i niewiele słychać było.

Skrobek zaciął szkapę i ruszył sporym kłusem. Podziomek wstał, a obejrząwszy się spostrzegł, że obok niego w piasku grzebie się ktoś drugi jeszcze; a kiedy księżyc wyjrzał spoza chmury, poznał z największym zdumieniem Koszałka-Opałka.

– Czy mnie wzrok myli? – rzecze Podziomek. – Czyliś to ty, uczony mężu, we własnej swojej osobie?

– Jam jest, bracie! – rzecze na to Koszałek-Opalek.

– Czyliżbyś, uchwaj Boże, wypadł takż z woza?

– Ej, nie! – rzecze Koszałek. – Wskoczyłem tylko za pozwoleniem królewskim. Bo widzisz, bracie, kiedy tu taki wrzask gęsi jest, to same gęsi też być muszą. Czy jasno?

– Jasno jak słońce.

– A gdy gęsi są, to i pióra muszą być! – rzecze Koszałek-Opalek. – Jakże?

– Jak dwa a dwa cztery! – zakrzyknie ów na to.

– A jak są pióra – prawi znów uczony – to i moja sława nie przepadnie, gdy księgę nową zamiast tej zgubionej napiszę. Nieprawdaż?

– Prawda jak wół – potwierdził z zapalem Podziomek.

Ale choć tak gorąco potakiwał towarzyszowi swemu, w rzeczy samej nie bardzo był rad, że do tych tłustych kęsków, jakie sobie obiecywał, kompana ma. Więc po chwili rzecze:

– Wiesz co, uczony mężu? Moim zdaniem, nie przystoi mędrcomi między chłopstwo się pchać i razem z prostakami u misy siadać. Bo łatwo taką drogą uczoność na szwank narazić można. Zrobim tedy tak: ja pójdę do wsi, a ty do lasu. Jak już noc się zrobi i wszyscy się pośpią, ja cię, uczony mężu, sprowadzę i posilisz się tym, co tam gdzie na misie zostanie. Choćby i przyskąpo czasem wypadło, nic to, bo wszakże nie samym chlebem człowiek żyje. A tak przynajmniej honor twój utrzymany będzie. A honor – rzecz główna!

– Dobrze radzisz, kochany bracie! – rzecze na to rozrzewniony Koszałek-Opalek. I rzuciwszy się na szyję Podziomka, nuż go ścisnąć i całować.

Markotno się zrobiło Podziomkowi, gdyż dobre serce miał, że jego podstępna rada tak zaraz przyjęta została, ale iż głos łakomstwa mocniejszy w nim był niżeli głos serca, wrędcę się tedy z swej markotności otrząsnął i uściskawszy nawzajem Koszałka-Opalka, sam go do boru odprowadził, pożegnał raz jeszcze, życząc jak najmędrzych myśli, po czym chyłkiem pod płotami krążąc do najpokaźniejszej chaty skierował swe kroki.

Nie było podobno nigdy większego zawodu jak ten, który spotkał w chacie tej Podziomka.

W komorze pustka, że i mysz by zdechła, dzieża od chleba nasypiana otrębami, słoniny w ząb, kaszy ani śladu, o szmalcu i półgęskach ani się śniło.

Zajrzał Podziomek do garnków – puste; nie znać nawet, żeby się w nich wczoraj gotowała strawa; zajrzał do misek, do rynek – to samo.

Wymknął się co rychlej z tej chaty i do drugiej biegł, ale i tu lepiej nie było. Przepatrzył piątą, dziesiątą – to samo. A ci ludzie, których tam widział śpiących, toć skóra a kości.

Nigdzie porządnej pościeli, nigdzie statków jakich takich, nigdzie nawet dobrego konia w stajni lub krowy w oborze. Wiele też chałup zupełnie chyliło się ku ziemi, trzymając się tylko dylami pod strzechę wspartymi, jak kaleki o kulach stojące. Nawet i dom sołtysa niewiele był lepszy.

Taki to tam był ciężki przednówek wiosenny.

– A, niecnotliwy chłopie! – zakrzyknął w złości, zacisnąwszy pięście. – Otóżem mnie podszedł! Otóżem w biedę popadł! Otóżem się oszukał! Głodowa Wólka! A opowiadał niecnota, że „Sytna”, że omasta po brodzie kapie, że jadła – co żywot strzyma. Otóż masz jadło! Otóż masz omastę! A toć mi tu przyjdzie wyschnąć jak żerdź w płocie! Żeby choć zuchelek chleba. Choć odrobinę kiełbasy! Żeby choć ryneczkę barszczu!

Dniało już i coraz wyraźniej nędzę tej wioski widzieć było można, kiedy Podziomek na rozstaju stanąwszy zadarł głowę i tablicę przybitą tu na słupie czytać z wolna zaczął.

Czytał i własnym oczom nie wierzył. Tuman czy co?

GŁO-DO-WA WÓL-KA

I znów zaczynał na nowo: Głó-do-wa Wól-ka. Najwyraźniej: Głó-do-wa!

Załamął ręce Podziomek i stał w głębokiej pograżony trosce, a słońce z wolna podnosić się zza lasu poczęło.

Wtedy raz jeszcze na słup ze smutkiem spojrzawszy „Głó-do-wa Wól-ka” – odczytał i westchnął.

VI

Tymczasem Koszałek-Opalek chodząc po lesie tam i sam dla rozgrzania się, iż noc była chłodna, trafił na jakiś dość wysoki, piaszczysty pagórek i głęboką pod nim wykopaną norę. Dość było okiem rzucić, aby poznać, że to jama lisa.

Ale nasz kronikarz, w księgach cały swój żywot spędziwszy, mało się znał na tym.

Stanął tedy jak wryty, rozmyślając, co by to być mogło.

„Góra? Nie góra? – myślał. – Forteca? Nie forteca? Ej, kto wie, czy to nie będzie stara pogańska świątynia dawnych Krasnoludków? Bardzo możliwe!” – I z największą uwagą obchodzić dookoła zaczął.

Wtem z owej jamy wychyliła się ostrożnie spiczasta ruda głowa, o pałających oczach i nadzwyczaj silnych, ostrych zębach.

Wychyliła się, cofnęła, znów wychyliła, aż się z wolna wysunęło za nią wysmukłe ciało Sadełka.

Sadełko poznał od razu Koszałka-Opałka, lecz przybrawszy obojętną i poważną minę, postąpił ku niemu kilka kroków i rzekł:

– Kto jesteś, nieznanym wędrowcze, i czego szukasz w tych miejscach poświęconych nauce i cnocie?

– Jestem nadwornym kronikarzem króla Błystka z Kryształowej Groty, do usług Waszej Łaskawości – odrzekł uprzejmie Koszałek-Opalek.

– Ach, to ty, uczony mężu! – zakrzyknął na to Sadełko. – Jakiż szczęśliwy traficie tu sprowadza? Jak to! Czyli mnie już nie znasz? Jam jest Sadełko, uczony autor ksiąg wielu, któregoś łaskawie przed niejakim czasem nawiedził.

Uderzył się dłonią w czoło Koszałek-Opalek i rzecze:

– Jakże! Pamiętam! Żem też mógł zapomnieć na chwilę! Proszę, najmocniej proszę, niech mi to Wasza Łaskawość przebaczy.

Mówił: „Wasza Łaskawość”, albowiem nie zdawało mu się odpowiednią rzeczą tak zacnego zwierza wprost „panem”, jak pierwszego lepszego golibrodę, nazywać.

Padli tedy sobie w objęcia, całując się i ściskając wzajem, po czym Koszałek-Opalek rzekł:

– Rad bym się od Łaskawości Waszej dowiedział, co znaczy to wzgórze, które tu przed sobą widzę? Nie będzie to zbytnią śmiałością z mej strony, gdy o wyjaśnienie prosić będę?

– O, to drobnostka! – Sadełko na to z uśmiechem odrzecze.

– Kazałem usypać to wzgórze, aby zawsze mieć pod ręką dość piasku do zasypywania ksiąg moich uczonych.

Tu spuścił wzrok zadumany i potarłszy łapą czoło dodał skromnie:

– Pracowałem tymi czasy wiele... bardzo wiele... A jakże tam dzieło szanownego kolegi? – rzekł po chwili z uprzejmym ożywieniem.

– Och! – jęknął Koszałek-Opalek. – Lepiej nie mówmy o tym. Spotkało mnie najgorsze nieszczęście, jakie tylko spotkać może autora: księga moja została zniszczona, a pióro złamane!

– Złamane? – pochwycił w lot Sadełko, w którego głowie oczy zabłysły, a zęby jeszcze się ostrzejszymi wydały. – Ależ nic łatwiejszego, jak odzyskać je, i to niejedno! Pięć, dziesięć, co mówię? Setkę piór gotów jestem szanownemu koledze dostarczyć za drobną, drobnutką, za tak drobną, jak to ziarnko piasku, przysługę! I to dziś jeszcze! Zaraz! Za godzinę!

Wziął teraz Koszałka-Opałka pod ramię i przechadzając się z nim poufale, tak mówił przyciszonym głosem:

– Jest tu w okolicy pies, którego wprost znosić nie mogę. Sam nie wiem, co jest powodem tej odrazy: czyjego szpetna powierzchowność, czy złe obyczaje – gdyż całe dni siedzi beczynnie przy jakichś tam mizernych siedmiu gąsiakach, którym przecież nic złego nie grozi; dość, że ścierpieć nie mogę tego nikczemnego zwierza i rad bym się go choć na parę chwil pozbyć. A jak na złość, przychodzi on razem z małą, obdartą dziewczynką i z tymi nędznymi gęśmi, na których tylko skóra i kości, aż tu na tę łączkę pod lasem, wprost mego mieszkania, zatruwając mi swym widokiem godziny poświęcone uczonej pracy. Otóż jak tylko dziś przyjdzie, podrażnij go trochę, kochany kolego, tak aby się za tobą uganiać zaczął i odbiegł dalej nieco, a ja tymczasem dokończę w spokoju dzieła, nad którym rozmyślam od dawna. Co gdy się tylko stanie, będziesz miał sobie wręczony cały pęk piór

najwyborniejszych, i to takiej cnoty, iż gdy wzięwszy jedno z nich w rękę zańsiesz z wieczora, rankiem zbudziwszy się ujrzysz już ćwierć księgi napisanej. Takie to pióro!

Przełknął ślinę Koszałek-Opalek, któremu nagle oczy zaświeciły, i rzecze:

– Ależ chętnie, najchętniej! Ależ z całego serca! Proszę, niech mną Wasza Łaskawość rozporządza, jak sama za dobre uzna! Cały jestem na usługi Waszej Łaskawości.

Tu kłaniać się począł lisowi, szastając się to w lewo, to w prawo, i z wielką serdecznością ścisnął obie przednie jego łapy.

Tymczasem mgła poranna z wolna się rozpraszać zaczęła, ukazując czysty błękit wiosennego nieba. Zagęgały gęsiory, zakrzyknęły gęsi, tu, ówdzie zapał kogut na wysokiej grzędzie; zaraz też w zbudzonej ze snu wiosce zaskrzypiały żurawie studzienne, zaryknęło wypędzone na wczesną paszę bydło, a sponad strzech słomą krytych zaczęły się unosić pasemka siniego dymu, znak, że tam gospodyni wytrzesła jeszcze nieco zeszłorocznej mąki i polewkę dla domowych warzy. Wody zagotuje, mąką zaklepie, nieco serwatki doda, osoli i na miskę leje wołając:

– Dalej, dzieci, chodźcie jeść! Naści łyżkę, Jagna! Śpiesz się, Maciuś, bo cię Wicek odje! Dalej! Prędzej! Dwa razy bierz, raz łykaj, żeby gęsi za rosy na pastwisko pognać.

Za chwilę słyhać okrutne trzaskanie z biczów i pokrzykiwanie cienkich, dziecięcych głosików:

– Halela, gąski! halela!... halela!... na trawę!

Wzbija się kurzawa na piaszczystej drodze, wrzask gęsi miesza się z pokrzykiwaniem pastuszków, klaskanie biczów rozlega się szeroko w powietrzu, a nad całym tym gwarem panuje przeraźliwy krzyk sołtysowego gąsiora, który idzie, machając skrzydłami, przed stadem jakby wódz przed wojskiem.

Ale od jednej chaty śpieszy na łączkę pod bór małe stadko gęsi: cztery białe, a znów trzy siodłate. Za gęsmi idzie Marysia sierotka, w zgrzebnej koszulinie, w modrej spódniczynie i bosy.

Uboga jej odzież schludna jest i czysta, złote włoski uplecione, twarzyczka pięknie umyta; idzie Marysia po łączce tak lekko, że trawki nie czują prawie jej ciężaru.

Przy Marysi biegnie mały, żółty piesek, wesoło machając ogonem i poszczekując na gąski, gdy która chce się odbić od stadka. Nie potrzebuje też Marysia przy tak dobrym pomocniku bicza na swoją gromadkę i niesie tylko gałązkę wierzbową. Gałązkę wierzbową niesie, po rosie białej idzie, słodkim głosem śpiewa:

*...Służyła sierota, gdzie te cudze wrota!
Pomagala ci jej ta zorzeńka złota!
Służyła sierota za ten kęsek chleba,
Pomagalo ci jej to słoneczko z nieba!
Halela, gąski, halela!*

Śpiewając przyszła Marysia na łączkę, na góreczce siadła, a stadko jej chodziło koło niej, gęgając i skubiąc młodą, trawkę.

Obleciał je raz i drugi mały wierny Gasio, tu siodłatą skubnął, że za daleko w pole szła, tu na białą szczeknął, żeby pilnowała stadka, po czym położył się na skraju łączki i w bór patrzył. Ogromnie czujny psiak był z tego Gasia!

Pobliski las wierzchołkami swymi ku sierotce dobrotliwie się schylał i szeptał coś tajemniczego, jakby obietnicę, że się nią zawsze opiekować będzie.

Od drugiej strony, wąskim, pagórkowatym klinem, zabiegał pomiędzy trawy pastwiska łąn pszenicy i kłosami kłaniał się ku drzewom leśnym, słuchał ich szeptów, dowiadywał się o różnych wieściach, później znów kłosy chyliły się od lasu ku swoim, ku dalszym kłosom, aby im powtórzyć, co leśne drzewiny ze sobą gwarzyły.

Mieszały się do tych gawęd żuczki, pszczoły, komary i roznosiły wieści borowe, powtarzając je po swojemu to grubiej, to cieniej.

Jeden tylko płowy chomik, zamieszkujący niewielką norkę ziemną na pobliskiej miedzy, do gwarów tych się nie mieszał, skrzętnie pracując dzień cały, aby za letniej pogody zgromadzić zapas żywności na ciężką zimową porę. Dopiero kiedy mu szczęki od podgryzania traw i kłosów i całkiem już zdrętwiały, a grzbiet ściernął od dźwigania siana i ziarna do norki, prostował się jak mógł ów mały zapobiegliwy gospodarz i stanawszy na dwóch łapkach, to na lewo, to na prawo zwracał bystre, czarne oczki wypatrując wszystkiego dookoła.

Znał on dobrze i Gasia złotego, i gąski siodłate i białe, ale ich nie lubił za ten straszny rejwach, jaki gęsi gęganiem, i a psiak ujadaniem sprawiały. Marysię za to wielce upodobał sobie, a jej piosenki tak mu do serca trafiały, że niech i tylko zasłyszysz śpiewanie sieroty, wnet rzuca robotę, na dwóch łapkach staje, łebkiem kręci, wąsikami rusza i poświstuje sobie z cicha, jakoby do wtóru.

Widywała i Marysia chomika tego, a widząc, iż piosenek jej rad słucha, śpiewała i dla niego także, iżby go ucieszyć. Bo mówiła sobie:

– Zwierzątko to samo jest, widać, jako i ja, na świecie i pewno mu smutno bywa nieraz. Niechże się choć tym śpiewaniem ucieszy. I nuż co najcieniej wyciągać:

*... Przywędrował niedźwiedź kudłaty
Do wilczycy z piwem we swaty,
Tej jesieni wilk się żeni,
Jadą goście zaproszeni
Do lasu!*

A iżby chomik wiedział, że dla niego śpiewa, uśmiechała się ku niemu mile, a on precz na dwóch łapkach stał, wąsikami strzygł, łebkiem kręcił i poświstywał z cicha.

Chciała Marysia bliższą znajomość z nim zabrać, ale takt był dziki, że niech się tylko dziewczynina ku niemu ruszy, a on zaraz bęc na wszystkie cztery łapki i ani go okiem!

Tylko się te trawy, te kłosa zaruszają za nim, właśnie jak bieżąca woda, gdy w nią kamyk cisnąć.

Poniechała go tedy dla jego dzikości.

Co do Gasia, to i on widywał niekiedy chomika. Ale mówił sobie tak:

– Co będę się jeszcze za lada świstunem uganiał, co stoi na dwóch łapach i udaje psa, gdy służy? Komediant to jakiś musi być, bo i to gwizdanie też udawane! Tak samo przecież gwizdzą u nas we wsi chłopaki, tyle że trochę głośniej. Wąsy też, widzę, przyprawne ma, bo skąd by, proszę ja kogo, takiemu marnemu zwierzęciu wąsy jak kotowi rosły? Przecież on się do Mruczusia nie umywał nawet! Najlepiej zrobię, jak się od niego odwrócę.

I naprawdę odwracał się, tak że chomik tylko ogon jego puszysty widywał.

Niemniej zwinięty w kłębek i drzemiący Gasio rozwierał od czasu do czasu to jedno, to drugie oko i na chomika spozierał ukradkiem.

Czasem nawet warknął z cicha, jak gdyby mu się coś niemiłego śniło w onej drzemce. Że jednak psina bardzo był ambitny i słowny, więc jak już raz powiedział sobie, że się za tym świstunem uganiać nie będzie, tak się ani ruszył ku niemu.

Zresztą, czy to mało roboty z gęsmi miał. Zaganiaj od pszenicy, zaganiaj od lasu, rachuj co moment, czy są cztery białe, a trzy siodłate, to przecież głowę trzeba jak trybunał mieć, żeby temu wszystkiemu dać radę.

Ale mały chomik, pilnie dając baczenie na to, co się dookoła dzieje, spostrzegł, że się z podleśnych krzaków leszczyny wynurza od czasu do czasu trójkątna paszcza lisa, którego tu

nie widywał dawniej. Zaraz też zmiarkował, że nie do czego się ten lis tu skrada, tylko do tych gęsi, co się na łączce pod górceczką pasą.

Ruszył tedy wąsikami i rzekł:

– A choćbym przestrzegł? Jak nic mógłbym przestrzec! Powinienem może nawet? Bo juścić, że temu lisowi źle z oczu patrzy, a co gęba– to całkiem zbójceka. Tylko że musiałbym się aż na górkę drapać, a to mi się wcale, a wcale nie uśmiecha. Upał taki!... Zresztą mogłyby tymczasem koszatki albo myszy polne ściągnąć coś niecoś z tych kłosów, którym z takim trudem pościłał. A to przecież moja ciężka praca! E... niech każdy pilnuje spraw swoich. To darmo! A gęsiarka też nie malowana, jak ma czas śpiewać, to ma czas i patrzeć. Śpiewa ładnie, bo śpiewa, nie ma co! Ale przecież pierwszy obowiązek niż śpiewanie. Przecież od tego ona tam siedzi, żeby gęsi strzegła... A pies? I pies też nie malowany! Umie warczeć na mnie i ogonem się do mnie obracać, to i lisa w krzakach widzieć może. Jeszcze ja – będę cudze gęsi oganiał? I co mi z tego przyjdzie? Że tam taka jedna i druga gęś gęgnie: dziękuję! Wielka parada, Cha cha! cha!

Tu świsnął, roześmiał się i błysnąwszy czarnymi oczkami, na łapki przednie padł i pilnie kłosa od samego odziemku podgryzać zaczął.

Bo chomik – to zawołany gospodarz; a zarazem lichy gospodarz, bo oprócz roli i pracy na niej, i korzyści z tej pracy– nic go nie interesuje; o siebie tylko dba i o nikogo więcej.

Marysia lubi przyglądać się jego skrętnym zabiegom, gdy ciągnie miedzą do swej norki zapasy na zimę; patrzy też na niego mile, póki go kłosa nie skryją, i nazywa go swoim chomikiem. Dopiero gdy zwierzątko zginie między zbożem, pogląda po gąskach, po łączce, potem oczy jej padają na gwiazdki łąkowe, na żółte kwiatki, co rosna u stóp jej nad rowem, wszędzie. W powietrzu parno okrutnie, słońce praży z nieba, aż Gasio język wywiesił i głośno dyszy.

Na czoło sierotki pot wystąpił, ale ona nie zważa, wije wianeczek i śpiewa:

*Służyła sierota u tej cudzej chaty,
Pomagały ci jej wszystkie polne kwiaty!
Służyła sierota na tej cudzej grzędzie,
I jeszcze jej Pan Jezus dopomagać będzie!
Halela, gąski! Halela!...*

W tej chwili czujny Gasio warknął raz i drugi. W krzaku leszczyny pod samym borem rosnącej zaruszało się coś, zaszeleściło i ucichło. Podniósł się Gasio na przednie łapy i nastawiwszy uszy czekał, co z tego będzie.

Jakoż znowu ten szelest dał się słyszeć i znowu ucichło. Gasio warknął i wyszczerzył zęby.

Ale Marysia nie słyszała tego. Jako ptaszę na gałązce rozśpiewa się w gaju, a nie słyszy cichych kroków skradającego się kota, całe swej pieśni oddane, tak ta sierota, nie widząc, nie słysząc nic dokoła, śpiewa dalej:

*Jeszcze jej Pan Jezus dopomagać będzie,
U tych obcych ludzi, na tej cudzej grzędzie!
Jeszcze jej Pan Jezus lepiej dopomoże
Niż to złote słonko, niż te jasne zorze!*

Tymczasem z krzaków leszczyny wychyliła się dziwaczna postać małego człowieka z głową w czerwonym kapturze, z siwą brodą i w okularach na potężnym nosie. Wychyliła się i na Gasia palcem kiwać zaczęła. Porwał się psiak i ku krzakom skoczył, ale postać owa już

z innego dalszego krzaka kiwała na niego palcem. Gasio rzucił się dalej; lecz dziwny ów człowieczek w czerwonym kapturze już znów gdzie indziej wychylał się i palcem kiwał.

Im bardziej psiak się w bór zapędzał, tym szybciej czerwony kaptur migał między krzakami, to w prawo, to w lewo, aż się znaleźli obaj w szczerym boru, wśród ogromnych sosen.

Już Gasio dopędzał małego człowieczka, kiedy ten skoczył nagle w bok i szybko się wdrapawszy na drzewo, z góry na psa palcem kiwać zaczął.

Rozjątrzony Gasio rzucił się do drzewa z tak wściekłym ujadaniem, że się Marysia nagle ze swego zaśpiewania ocknęła, a słysząc tak niezwykle szczekanie wiernego pomocnika, zaczęła w najwyższym strachu wołać:

– Gasiu! Gasiu! – i porwawszy się z górki w las wbiegła.

Na to tylko czekał Sadełko.

Jednym susem między gęsi wpadłszy, chwycił za gardło najbliższą i dusił, zanim krzyknąć zdołała: ratujcie! Rzuciwszy ją w krzaki, chwycił drugą z brzegu i tak samo jej w szyję ostre zęby wpił, i to z taką gwałtownością, że w pół krzyku ostatni dech wydała. Za czym ją także w krzaki powłókłszy, między resztę wpadł.

Podniósł się teraz krzyk srogi wśród gęsi, które rozbójnika poznawszy uciekały przed nim, jedne piechotą w pole, inne na skrzydłach się rwąc, w śmiertelnym popłochu.

Ale Sadełko jednym susem dopadł najpiękniejszej siodłatki, raz tylko zębami kłapnął i o ziemię ją cisnąwszy, za tymi biegł, które na skrzydłach utrzymać się nie mogąc spadały na ziemię z przeraźliwym wrzaskiem przed samą paszczą lisa.

Posłyszała Marysia w lesie wrzask ów straszny i krzyknawszy nieludzkim głosem: – Reta! – ku gąskom swoim, co tchu w piersiach, biegła.

Tymczasem Sadełko, ostatnią z siwych gąsek zagryzłszy, oblizwał krwawą paszczę i pałającym wzrokiem na pobojuwisko patrzył.

Jakby wichrem niesiona leciała Marysia od lasu, z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby wiatrem niesiona na łączkę wpadła, na pobite gąski spojrzała i z przeraźliwym krzykiem: –Jezu! – na ziemię runęła.

VII

Kto by onego ranka o świcie pod lasem się był znalazł, miałby tam ucieszny widok.

Oto mały człowieczek w czerwonym kapturze dziwne szprynce wyprawiał, po przylegających do lasu tego błotach z kępy na kępę skacząc, szuwaru się ostrego chwytając, między trawą jak pływak nurkując, to znów zapadając głęboko w grzaskie, mchem porośle mokradła.

Nie kto inszy to był, tylko nasz znajomy Podziomek. Lecz jakże zmieniony srodze! Z dawnej okazałej tuszy tyle na nim tłuszczu zostało, co na komarze sadła. Luźna opończa wisiała mu na grzbiecie jakby pożyczona, chude nogi tkwiły jak patyki w spadających co chwila papuciach, ogromna głowa chwiała się na zbyt cienkiej szyi, a wychudzone jak pieszczalki ręce ledwie utrzymać mogły wielką fajkę, w której zamiast tytoniu tliły się olszowe liście.

Oto co podróż i pobyt w Głodowej Wólce uczyniły z naszego pocziwego tłusciocha.

Ale nie była to zmiana jedna. Głód, jakiego Podziomek stale doznawał, nauczył go wielu rzeczy. On nauczył go także z kępy na kępę skakać, po mokrych trawach brodzić i czajczych jajek szukać. Zatrwożona czajka błotna, bijąc skrzydłami tuż nad głową skaczącego Krasnoludka, przeraźliwym głosem krzyczała: Kiwi! kiwi! kiwi! kiwi!

Biedna czajka! Zdawało jej się, że tym krzykiem odstraszy napastnika, który lada chwila mógł znaleźć jej gniazdo w trawach głęboko ukryte, a w gnieździe jedyne, pierwsze tego roku zniesione jajeczko.

Gdy więc tak coraz głośniej krzycząc omal że go nie ogłuszyła i wrzaskiem, i skrzydeł trzepotem, stanął Podziomek zniecierpliwiony i rzecze:

– Ciszej, ty głupi ptaku! Ty kumoszko sroki! Czy myślisz, że ja tu z rozkoszy po błotach się topię? Jeszcze tyle rozumu mam, żebym kawał kiełbasy wolał niżli twoje jajko! Z głodu to czynię, z głodu, który mnie tu o utratę żywota mało nie przyprawi! Folguj tedy, a nie drzyj dzioba, bo ci łeb uknęczę!

Tu głowę spuścił i kiwając nią, smutnie dodał:

– Dlaboga! W jakieżem terminy popadł i co mnie spotyka! O przekłeta Wólko, coś miała Sytna być, a jesteś Głodowa! O niepoczciwy chłopie, któryś mnie w tak złą fortunę Wprawił! Mówił tak jeszcze, kiedy mu się nagle wydało, że płacz rzewny słyszy.

Ściągnął nieco kaptura i rękę w trąbkę zwinawszy do ucha ją zbliżył. Wyraźnie płacz słychać! Właśnie jakby głos dziecka.

– Niech zginę! – rzecze Podziomek, który serce litościwe mając łatwo się cudzą biedą rozczulał. – Niech zginę, jeśli temu niebożątku nie gorzej się jeszcze niżeli mnie dzieje! Pójdę, zobaczę, co jest!

I wnet zapominając o swym głodzie, z błot ku lasowi zawrócił i ku wielkiej ucieście czajki prosto na ten głos szedł.

– Wyraźnie dziecko płacze! – mówił stawiając z kępy na kępę coraz większe kroki, właśnie jak to bocian czyni.

Zaledwie się wychylił z oczeretu, który tu gęstą ścianą stał, kiedy zobaczył pod lasem niewielką łączkę i małą, siedzącą wśród niej na wzgórcu dziewczynkę, która ukrywając twarz w obie ręce, żałośnie płakała.

Wzruszyło się na ten widok serce poczciwego Krasnoludka, więc przyśpieszywszy kroku podszedł do dziewczynki i rzecze:

– Czegóż to płaczesz, moja mościa panno, i jaka cię krzywda spotkała?

Marysia drgnęła i odjąwszy od twarzy rączki patrzyła na Podziomka szeroko otwartymi oczyma, słowa nie mogąc przemówić z ogromnego dziwu.

Więc on znowu:

– Nie lękaj się, proszę, moja mościa panno, bom jest życzliwy pannie i przyjaciel!

– Jezu!... – szepnie na to Marysia. – Co to takie? Małe jak łątka, a gada jak człowiek! Jezu!... Ja się boję!

I już się porwała z tej góreczki precz uciekać, ręce do góry wznosząc jakoby ptak skrzydła. Ale Podziomek zastąpił jej drogę i rzecze:

– Nie uciekaj, mościa panno, bom jest Krasnoludek Podziomek, który ci ku pomocy chce być!

– Krasnoludek! – powtórzyła jakby sama do siebie Marysia. – Toć wiem! Toć mi nieraz o tych Krasnoludkach mateńka mówiła, że dobre są!

Na to Podziomek z wielką fantazją:

– Mateńka jejmości panny mówiła szczerą prawdę! Rad bym jej dziękował za to!

Marysia trzęsąc swą główką złotą rzecze:

– Nie żyje mateńka moja!

– Nie żyje? — powtórzył smutnie Podziomek. – Oj, ciężkie to słowo! I kamień lętszy od niego!

Pokiwał brodą, westchnął, a potem:

– Jakże się zwała mateńka? – zapytał.

– Kukulina! – odpowie Marysia.

– Kukulina?... A dobrodziejkoż ty moja! A to my się znamy! A to waszmość panna nie kto, tylko ta mała Marychna, co to oczki stulała, sypiąc srebrne łezki litościwe wtedy, kiedy mnie zła baba ledwo nie ubiła. Aj, królowoż ty moja! A tośmy się zesзли. A to nas fortunny los zetknął. Mów, rozkazuj, co czynić mam, abym ci w tym żalu mógł ulżyć.

Ale Marysia, wspomniawszy na przygodę swoją, tym mocniej płakać zaczęła.

– Nie, nie! – mówiła płacząc. – Nic mnie nie pocieszysz!

Stał przed nią Podziomek założywszy fajkę na plecy i uspokajał ją najśłodszymi słowy.

– Szkoda – mówił – modrych ocząt waćpanny na takie gorzkie płkanie.

A Marysia:

– Nie jestem ja waćpanna, tylko sierotka Marysia!

– Tym więc skwapliwiej chcę waćpannie służyć, iześ sierotka! Dlaboga, dość tych łez!

Gdzież jest chata waćpanny?

– Nie mam chaty! Wypędziła mnie gospodyni, com jej gąski paśla.

– A to zła, niepocziwa kobieta! – rzecze oburzony Podziomek.

A Marysia prędko:

– Nie, nie! To ja zła! To ja niepocziwa! To przeze mnie lis gąski podusił. O gąski moje! gąski! – zawołała z nową żalnością i znów oczy rączkami zakrywszy zaniósła się płaczem.

Odjął Podziomek rączki od twarzy dziewczynki i rzecze:

– Na nic tu płkanie. Trzeba do chaty wracać!

– Nie, nie! – wołała tym żalniej Marysia. – Nie mogę, nie chcę wracać! W świat pójdę! Do boru pójdę! Pójdę, gdzie mnie oczy poniosą!

– Co zaś w boru czynić zamyślasz? Świat też nie grzęda, by go w kółko obejść. Na nic pokuta taka!

– Tu skubać zaczął i szarpać siwego wása, w ziemię patrząc, po czym rzekł:

– Może bym ja na to znalazł radę, żeby gospodyni za gąski zapłacić. Dużoż tego było?

Ale Marysia zaniósła się na to wielkim płaczem, wołając:

– Co, co mi z tego, kiedy już nieżywe! Kiedy poduszone, pobite... O Jezu! O Jezu!

Widząc tedy tak srogą i nieutuloną żalność zamyślił się Podziomek i znów wás siwy szarpiąc, w ziemię patrzył. Wreszcie rzekł:

– Ha, kiedy tak, to nie ma co, tylko trzeba iść do królowej Tatry. Ta jedna poradzić może!

Podniesie na to prędko Marysia oczęta, dwie modre gwiazdy, w których nadzieja zatliła, i spyta:

– A dobraż ona?

– Nad wiek widzę roztropność w tobie – odpowie Podziomek na to – iż nie pytasz wpierw, czy jest mocna, ale czy jest dobra. Cóż bowiem jest moc wszelka bez dobroci? Nic i mniej jeszcze! Więc gdy mi taką otuchę swym dobrym rozumem czynisz, to zabierajmy się w drogę, która jest daleka i trudna, a ja rad waćpannę do królowej Tatry doprowadzę, bo lzy sieroty godne są pocieszenia i wszelkiej pomocy.

Podniosła się na te słowa Marysia i otarłszy oczy rzecze z prostotą:

– To idźmy! I poszli.

DOBRE CZASY

I

Gdzie nas ten człowiek powiezie? – mówiły sobie Krasnoludki siedząc na wozie ubogiego Skrobka i kłopotąc się o dwóch swoich towarzyszów: Podziomka i Koszałka-Opałka, którzy gdzieś w drodze przepadli.

– Do króla by się jakiego zdało, żeby miłościwy pan nasz kompanię piękną miał, a na honorze uszczerbku nie poniósł! – odezwał się kanclerz Kocie-Oczko.

– Dobrze by to było! – zawołał paż Krężolek i oblizal się szeroko językiem. – U królów, słyszę, same tłuste i słodkie potrawy jadają, a kołaczki na każdy dzień pieką. Tam by się człek pożywił.

– Ciszej byś był oto! – zgromił go Słomiaczek, dziwnie wychudzony i cienki. – I tak się już ledwie toczysz niby kula. Jeno patrzeć, jak urząd stracisz, a pan nasz miłościwy inszego do noszenia za sobą purpury swej weźmie!

– O królów to tam niełatwo na wsi – przerwał ten spór Modraczek. – Ale może choć do księcia jakiego ten poczciwy kmięć nas powiezie?

– U księcia także wielki dwór, dworzany kuchmistrze! – zawoła na to Żagiewka. – Kapela też zawsze jest, muzyka gra, stoły aż się gną od srebrzystych mis i pucharów, światło jarzące, jak na rezurekcji, na każdą noc świeci, ludzie długo śpią i mało co czyniąc, wesoly żywot pędzą. Tam by nam dobrze było! Ale książęta też na gruszkach polnych nie rosną, niby ulęgałki, a i książęcy dwór każdemu jak karczma otworem nie stoi. Daleko by nam jechać, żeby księcia znaleźć!

– No, to choćby do grafa jakiego niech nas wiezie! — zawołał na to Słomiaczek. – Graf też tegie życie prowadzi i duży dwór trzyma.

– Ba! – rzecze Chwastek. – A jakie stajnie ma! Co za konie! Jakie psy myśliwskie!

– A jakież tam wikt? – zapytał troskliwie Krężolek.

– Ha, cóż! Jak u grafa! Doskonała kuchnia i już! Na rożnach obracają się pieczenie z sarny lub dzika, pasztetniki pieką torty i piramidy cukrowe, a wino złociste z gąsiorów do pucharów leją, a jakie szczupaki na stół, na takich ot, misach niosą!

Tu rozłożył ręce jak szerokie miał, a wszyscy z podziwienia głowami kiwać zaczęli.

Ale Pietrzyk, który do wszystkiego prędko jak iskra był, skoczy ze swego miejsca, słysząc owe cuda, i trąciwszy Skrobka, zawołał:

– Człowieku! Hej, człowieku, znasz ty grafa jakiego w tej okolicy?

– Grafa? – powtórzył Skrobek drapiąc się za ucho. – Nijakiego grafa tu nie ma.

Pomilczał chwilę, a po chwili, przypomniawszy sobie, dodał:

– Jest ci hajno na górze stara taka rudera, komin ano tylko i kawał muru, co powiadają, że tam dawnymi czasy grafy siedziały; ale teraz pustka to i mieszczany tylko tam czasem po cegłę jeżdżą, jak któremu trzeba. Grafy ponoć dawno wymarły.

– Wymarły? – zawołał z żywym współczuciem Krężolek i klasnął w dłonie. – Patrzcież, jak od takiego dobra umierają ludzie i odchodzą! Ha, jak tak, to niech nas choćby do porządnego szlacheckiego dworu ten chłop powiezie, to i tam krzywdy nam nie będzie. Szlachcic na wsi to także pan całą gębą.

– A tak – odezwał się na to Modraczek. – Przyjdzie wiosna, to sobie rano wstanie, na te pola zielone pod zorzą wyjdzie; tu mu skowronek śpiewa wesołą piosenkę, tu mu rosa perły pod nogi sypie, tu mu kwiatuszki dziergają wzorzyste kobierce po łąkach, tu mu pługi czarną ziemię orzą, wołki porykują, oracze pokrzykują, aż dusza rośnie, aż serce jaśnieje. Przyjdzie lato, fuzyjkę szlachcic bierze, na błota idzie, kaczkę dziką ustrzeli, do torby pięknie przytroczy, w to niebo modre popatrzy, wesołe myśli ma. A tu pola dokoła szumią kłosem złotym, a tu lny kwitną modro, a tu siano z łąk pachnie, a tu jagody się rumienia, a pszczoły w lipie brzęczą... Przyjdzie jesień, to jabłoń i grusze, i śliwy pod owocem się gną, w gaju brzozowym grzyby i rydze pachną, wieniec dożynkowy złoci się i mieni to kłosem, to kwiatem, to orzechów gronem. Rankiem na polach mgły leżą, słońce ledwo się wychyla, a mój szlachcic nuż w bór z nagonką! nuż łowy na zwierza! Bór cicho stoi, grania ogarów słucha, na myśliwców z wysoka wiewiórka czarnymi oczyma patrzy. Wtem huknie strzelec raz i jeszcze raz! Paf! paf! paf! Echo się szerokie rozlega, krzyk słyhać radosny i myśliwskie trąbki.

– Dobrze, bardzo to dobrze opowiedział, wierny mój Modraczku! – rzekł na to miłościwy król Błystek, który, w milczeniu rozmowy drużyny swej słuchając, teraz się uśmiechać mile zaczął. – Obyśmy do takiego dworu ziemiańskiego w podróży naszej trafili! Ale choćby tam nawet nie było tak gwarno i wesoło, i tak mu rad będę!

Mówił tak jeszcze król stary z wyrazem rozrzewnienia na zmarszczonej twarzy, kiedy wóz nagle o kamień stuknąwszy w bok z gościńca na polną drożynę skręcił, a zaraz też i szkap ubogiego Skrobka parskać wesoło zaczęła, jak zwykle czynią konie, kiedy dom poczują.

Jakoż wóz niebawem się zatrzymał, a chłop, podszedłszy do siedzących na nim, rzekł:

– Złażtaż! Wy, królisko, i wy, reszta! Złażta! Już my przyjechali!

– Gdzie? Jak?! – zakrzyknęły Krasnoludki wychylając głowy z kapturów. – Przecie tu nie ma?

– Co nie ma być? – odezwie się na to Skrobek. – Jest moja własna, najwłaśniejsza chałupa, i już.

A wtem się brzask zaczął na niebie czynić i powietrze przetarło się z cieniów.

Patrzą Krasnoludki, stoi uboga lepianka, z chrustu spleciona, gliną wymazana, pod dachem krzywym, niskim, dziurawym, tu wiechciem słomy, tam znów gałęzmi krytym; płodna z chrustu ledwo że się trzyma świętej ziemi, zielska pod nim pełno, wierzba majaczy nad zielskiem wysoko, wyciągnąwszy gałęzie niby długie ręce; tuż w sadzie zapuszczonym bieleją wiśnie osypane kwiatem, a nad wszystkim chór żab i kłaskanie rozgłośnie słowika, który się w olchach zbudziwszy, nagle pieśń poranną zadzwonił.

– Dlaboga! – krzykną Krasnoludki. – Człowieku! Kpisz czy o drogę pytasz?

– Co mam pytać, kiej drogę wiem! – rzecze obojętnie Skrobek. – Hajno chałupa! A het struga i gaj, kto chce, niech idzie, a kto nie chce, niech se rusza z Bogiem.

I zaraz zaczął wypręgać szkapę i z niskiej studzienki wodę żurawiem ciągnąć, w koryto lać, jakby tych, których przywiózł, wcale nie było.

– Czymże my się tu w tej pustce wyżyjemy? – pytają Krasnoludki.

Na to chłop ciągnąc wodę:

– Mogą tu moje dzieci wyżyć, to i wy możeta! Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy! Tak znów tamci:

– A gdzie my tu skarby nasze złożym?

– W makowej główce sto razy po tysiąc ziaren się zmieści i nieciasno im!

Tedy znów oni z okrzykiem:

– A król? Gdzie my tu króla naszego pomieścimy?

– A toćże słonko większy król, a nie gardzi tą biedą moją i co dzień się w chacie mojej złoci...

Wnet Pietrzyk, który był ogromnie wesoły, a złe i dobre z równą zawsze otuchą przyjmował, zaczął skakać koło wozu, przyśpiewując ochoczo:

*Pod stopami ziemi grudka,
A nad głową skrawek nieba –
Dla małego Krasnoludka
Czegóż, bracie, więcej trzeba?*

Zakrzyknęli na to insi, żeby cicho był, bo nie jest pora na żarty, i coraz większy gwar nieukontentowanych głosów powstawał. A wtem gwiazda jutrzenna zapaliła się na wschodzie modrym, bardzo świetnym ogniem i świat obrzaśł.

Podniósł tedy ku niej oczy i ręce król Błystek i rzekł:

Błogosławiony zakątek, w którym mieszka ubóstwo i praca, albowiem nad nim stoją gwiazdy Boże! I skinął berłem – i uciszyła się drużyna jego.

II

Cicho skrzypnęły niskie drzwi lipowe, cicho weszły Krasnoludki do chaty ubogiego Skrobka razem z perłowym dnia brzaskiem.

Jedna tu tylko była izba, z której każdego kąta wyglądała bieda. Największą część tej izby zajmował duży komin z ogromnym zapieckiem; przed kominem leżał zwinięty kot bury i pęk suchego chrustu, postronkiem z kulką związany.

Nieco dalej stał cebrzyk z wodą i blaszanym półkwartkiem, parę garnków do góry dnem przewróconych zajmowało ławę, przy ławie stół sosnowy, dwa zydle i trochę kartofli w kobiałce.

Pocieszny był widok Krasnoludków, którzy przypatrując się ubóstwu temu załamywali ręce i nie śmiać głośno wyrzekać w obecności króla, tręcali się łokciami i ukazywali sobie wzrokiem to pusty komin, to ławę krzywą, to ową nieszczęsną kobiałkę, która widocznie była jedyną spiżarnią ubogiego Skrobka. Długie ich nosy poprzedłużały się jeszcze bardziej, wąsy jeszcze bardziej opadły, sfałdowały się czoła, wydęły wzgardliwie wargi, a stłumione szemranie dobywało się z nich przez ostre, zaciśnięte zęby.

Jeden tylko Pietrzyk, zawsze rad i wesół, skakał po izbie i myszkował śmiejąc się niefrasobliwie i zacierając ręce.

– Ot, pałac! Ot, pańskie pokoje! – wołał. – A czy nam tu źle będzie? Jako żywo! Królewskie mieszkanie. Patrzcie, przez dach zorza świta! Patrzcie, patrzcie, ile róż sypie na izbę! Ile róż rumianych i złotych! Patrzcie! Pod belką gniazdo jaskółcze! Zbudziło się w świetle gniazdo i swiergoce! Słuchajcie, cały pułap śpiewa! Cały pułap się trzepoce od pióreczek ptasich! Patrzcie, patrzcie! Przez rozbite okienko krzak bzu do izby wchodzi! Co za woń! Co za świeżość! Jakie grona kwiecica liliowego! A w krzyku brylantów pełno, na każdym listku brylant! W każdym brylancie tęcza! Nie mówcie mi, że to rosa! Nie, nie! To nie rosa, to drogie kamienie! Słuchajcie! Słowiczek w krzaku siedzi, ranny hejnał śpiewa!

Ale w kącie izby, na garści słomy, dwoje chłopiąt spało. Jasne ich główki tonęły w złotej słomie, zgrzebne koszuliny na piersiach rozwarte ukazywały ciała chude i śniade. Wiosenna noc chłodem, widać, dmuchała na nie, gdyż chłopcy przytulili się do siebie i ramionkami nawzajem objęli.

– Dlaboga! – krzyknie Pietrzyk. – A ot, królewicze.

Podeszli insi, patrzą, a jakieś rozrzewnienie, jakaś miękkość zaczęła rozmarszczać czoła i wygładzać twarze. Za czym ozwały się zrazu ciche, potem coraz głośniejsze szepty:

- Biedactwa!
- Ubożęta!
- Ot, dola!
- Sierotki!

Lecz król Błystek skłonił ku główkom śpiących chłopiąt swoje berło i błogosławiąc im, rzekł:

– Rośnijcie zdrowo w ubóstwie chaty waszej! Rośnijcie pod cieniem bzów i pod cieniem lipy, pod jaskółczym szczebiotem i pod dnia zorzą. Rośnijcie zdrowo!

I dotknął złotym berłem jasnych główek dzieci.

Wtem wszedł Skrobek obrządziwszy szkapę swą w stajence.

Wszedł, w niskich drzwiach grzbiet nagiął i rzekłszy: – Pochwalony – u progu, czapkę na stół cisnął.

Obstały go natychmiast Krasnoludki pytając ciekawie:

– Czyje to dzieci?

– A czyjeż mają być – chłop na to. – Najpierw Boskie są, a potem moje! Byłoby tego więcej drobiazgu, ale Bóg zabrał, kiedy ich obumarła matka. Tylko się tych dwójka w chałupie ostała.

– Niech się chowają zdrowo! – rzecze na to król Błystek.

I wnet na drużynę swą skinął, żeby skarby z woza pod zapiecek niosła.

Ruszyły się Krasnoludki z pośpiechem i zaczęły dźwigać swoje skrzynki i szkatułki pod piec, a w mysie nory je chować, przy czym sprawiały się tak cicho, że się nawet kot bury przed kominkiem leżący nie zbudził.

Skrobek patrzył na to wzrokiem już obojętnym. Po dniu dopiero zobaczył na wozie, co to były za skarby: ot, małe skrzynki śmieci i kamyczków, nic więcej. Ten cały blask, ta światłość, te ognie i kolory, które go tak oślepiły w nocy, to był tylko proch i żwiry, a te sztaby złota i srebra – trzciny i badyle.

Ale gdy Krasnoludki, poznosiwszy, co było, w mysich norach zniknęły, przejść sobie i ganków szukając, biczyskiem w ubitą ziemię stukać zaczął i na dzieci krzyknął:

– Hej, Kuba, Wojtek, wstawajta, nicponie, a duchem! Nie widzita, że się ociec wrócił?

Zaroily się chłopcy w słomie i oczy przecierać zaczęły, szepcąc sennym głosem:

– Tatuńciu! A coście nam przywieźli z jarmarku? Ale chłop był zły i nie do rozmów mu było.

– Kijam przywiózł! – rzekł tedy ostro.

A wtem Kubuś na słomie siadł i rzecze:

– Tatuńciu, widziałem króla.

A Skrobek:

– Królaś widział? A jakież to król był?

Na to chłopiec:

– A Trzejkrólowy!

– No, to ci się tak tylko śniło! – rzecze Skrobek, który nie chciał, żeby dzieci o Krasnoludkach wiedziały i sąsiadom powiadały.

Ale chłopiec nie dał się z tropu zbić.

– Ale! – zawołał. – Nie śniło mi się, tatuńciu, tylko zem sprawiedliwie króla widział! Koronę złotą miał, królewskie obleczenie, brodę w pas i taką berlicę w ręku złocistą, że to aż blask ód niej szedł jak od samego słońca. Sprawiedliwiem, tatuńciu, króla widział. Szedł i po drodze złoto siał.

Tu zaczął się bić w piersi chłopiec i przysięgać, jako mu się to nie śniło; ale Skrobek ofuknął go, tupnąwszy z gniewem nogą:

– Dam ja ci króla, próżniaku jeden, aż ci się kij przyśni! Wstawajcie mi duchem, a po chrust do boru biegajcie, bo go już mało. Rozumiecie?!

– Rozumiemy – odrzekli Wojtuś i Kubuś, a wygrzebawszy się ze słomy, w wiaderku się umyli, koszuliny krajką przepasali, uklękli, pacierze odmówili, po czym rękę ojca ucałowali i wzięwszy za pazuchę kilka wczorajszych kartofli ku progowi szli.

A Skrobek rzemień odpasał, do góry go podniósł i pyta:

– Widzita co trzymam w garści?

– Juźci widzim – chłopcy na to z nieśmiałością wielką.

– Cóż to jest?

– Ano... rzemień.

– Do czego?

– Ano... do bicia.

– A bicie boli?

– Oj, boli, tatuńciu, boli!

I nuż piąstkami oczy trzeć, za kolana obejmować ojca, do płaczu się krzywić.

Ale Skrobek rękę z rzemieniem opuścił i rzecze:

– Pamiętajcie to sobie, jeden z drugim, co wam teraz powiem: jak mi który parę z gęby puści o tym królu, to mu takie cięgi tym rzemieniem sprawię, że w niebie będzie słyhać! Rozumiecie?

– Oj, rozumiemy, rozumiemy, tatuńciu! – szlochali obaj chłopcy, coraz silniej obejmując ojcowskie kolana. – Oj, nie piśniem i słówka! Ano, nie bijcie nas też, nie bijcie, tatuńciu złocisty.

– No, dobrze już! – rzecze chłop i rzemień na ławę ciśnie. – A teraz marsz po chrust.

Wtulili chłopcy główki w ramiona i ciszką wysunęli się z izby. A kiedy już byli za płotem, obejrzał się Kubuś na chałupę przezornie, po czym trąciwszy w bok brata rzecze:

– A ja com króla widział, tom widział!

III

Nie było chyba na świecie rozkoszniejszego ustronia jak to, które król Błystek, podziemnymi norami dokoła chatynkę Skrobka obszedłszy, na siedzibę swą letnią nie opodał wybrał. Pełen zielonego zmięzchu i świeżości od wielkich liści łopianu, który się tu lasem prawie rozrastał, leżał ten zakątek uroczy między owym zapuszczonym, wiśniowym, w kwiecie stojącym sadem a modrą, wijącą się wśród łąk niskich strugą.

Do sadu przytykała z jednej strony lepianka ubogiego Skrobka, a z drugiej mały kawałek ugoru, na którym bujały żółte dziewanny i puszyste cykorie, wśród mietlic tak gęstych, że całe to odłogiem już od dawna leżące półko wydawało się z daleka srebrzyste i złote.

Ale na wąskiej miedzy, która je od olszyny dzieliła, rosły tu i ówdzie krzaki głogu, osypanego różowym, delikatnym kwieciem. Ile słowików śpiewało tu co noc, ile ich się odzywało z olszyny, tego by nikt nie zliczył. Próbowaly je przekrzyczeć żaby, których tu wielka moc była, pomagały żabom kurki wodne i cyranki gnieźdzące się wśród trzciny i tataraków ponad mokrą strugą, ale przecież nie mogły. Chóry żab, ptactwo wodne swoją drogą, a słowiki swoją. I tak to szło całymi nocami.

Nie przeszkadzała im ta bliskość chaty ubogiego Skrobka, o której kto nie wiedział, to ją minąć mógł i nie widzieć nawet, tak była gałęzmi wierzb płaczących i wysoko wyrosłym zielskiem nakryta, tak głęboko w ziemię schowana.

Ludzką siedzibę zdradzała tylko smużka dymu, wymykająca się poprzez ten gąszcz zieleni ku niebu, kiedy w południe Skrobek dzieciom i sobie ziemniaki w kominie warzył. Pies tu nawet nie zaszczekał, iż go czym żywić nie było, a pilnować także nie miał czego.

Do takiej chaty zły człowiek nie zajrzy, a podróżny ją minie.

Krasnoludki, choć szemrały na to ubóstwo, prędko się przecież oswoiły z nową siedzibą. Dobry ten i wesoły narodek lubi nade wszystko swobodę i tam tylko niechętnie przebywa, gdzie wolności nie ma. Tu wszakże, w tym zakątku kwitnącym i pełnym zieleni, nikt im nie przeszkadzał, nikt ich nie podpatrywał, nie spłoszył, przywykli tedy do niego tak jak do swojej rodzinnej Kryształowej Groty i nazywali go między sobą: „Słowiczą Doliną”.

Ciężko było z początku, to prawda. Pierwsze dni przebyli nie tylko w dużej pracy, ale i o głodzie. Przede wszystkim trzeba było obmyślić mieszkanie dla króla, który tak dla wieku, jak i dostojności swojej nie mógł przecież spać pod liściem łopianu, jak to czynili dworzanie. Turbowwały się o to Krasnoludki srodze i kiwały głowami, obchodząc wszerz i wzdłuż dolinę ową.

Żeby ją lepiej obejrzyć, Pietrzyk wdrapał się na grubą wierzbę i zobaczył, że pień tej wierzby był wypróchniały.

Zrazu mu przyszło na myśl, że z niewielkim zachodem królewskie pomieszkanie można tam było urządzić. Zawinęły się Krasnoludki ochoczo, jedni pień oczyszczali, drudzy znosili wszystko, co do wygody i ozdoby służyć mogło, i tegoż jeszcze wieczora miał król Błystek wspaniałą komnatę, w której mu nie tylko pięknie było, ale miękko i zacisznie.

Mchy zielone i brunatne wyścięłały aksamitem caluchne jej wnętrze; po ścianach rozwieszane były przejrzyste zasłony ze szklistych, tęczowymi barwy mieniących się koronek pajęczych, u wejścia wisiała makata z mietlic srebrzystych, a polne kwiaty i zioła przedziwną wonią napełniały tę monarszą rezydencję.

Zdjął koronę król stary, aby głowie zmęczonej ulżyć nieco, a powiesiwszy ją na sęku, berło w kącie postawił. Wnet z diamentu ogromnego, który w berle osadzony był, uderzyły precudne blaski, tak iż zdawało się, że w owym pniu wypróchniałym słońce zabłysło.

A wtedy stary król, który miał wzrok zmęczony oglądaniem rzeczy tego świata, rozkazał diament ów zasłonić olszowym liściem, przez który światło siejąc się dawało jasność miłą, księżycowej poświacie podobną.

Przy tak łagodnych, zielonawych blaskach spoczywał sobie sędziwy król, mile rozmyślając o długich latach swojego żywota, w którym ludziom dobrze czynił i skarby ziemi gromadził, aby nie szły w ręce złych, na posługę złemu.

A tymczasem wierna drużyna królewska obozowała między rozrostłymi korzeniami wierzby owej, na każdy czas będąc na zawołanie pańskie, a mieszkanie sobie tak wygodnie zrządziwszy, iż było się gdzie i na deszcz ukryć, i cienia w południe zażyć, i w czyste gwiazdy z wieczora popatrzeć, co Krasnoludki zwykle bardzo chętnie czynią.

Ciężej wszakże niżli z mieszkaniem poszło im z żywnością. Dzień czy dwa było nawet tak krucho, że Krężolek, na wszelką czczość niewytrzymały, rozpływał się we łzach. Ale i tym czas dobrą radę przyniósł.

Rozejrzawszy się poznały Krasnoludki, że okolica, lubo zaniedbana i pusta, miała przecież także zapasy swoje, i to nie byle jakie. W olszynie wyrastały żółte, wiosenne grzybki, kurki zwane, dojrzewały poziomki, czerwieniały jeżyny; w starym, zapuszczonym sadzie smółka przejrzysta sączyła się tu i ówdzie z kory drzew wiśniowych; w dojrzewających mietlicach były wcale smaczne nasiona; szczególnie koper wodny dostarczał ich obficie; młode listki koniczyny dawały przedziwną sałatę, a wiele korzonków, czysto oskrobanych, mogło ująć wybornie za warszawskie majowe szparagi. Posiłały się tedy Krasnoludki smacznie i tanio, a już każdy szedł choć o staję drogi, byle tylko co dobrego dla króla przynieść.

Szczególniej Pietrzyk był niezadowolony. To jajeczko ptasie gdzie zdybał, to wróblątko z tej gromady, co się na bliskiej topoli wywiodła, ułupił, to trzcinką wydrażoną parę kropel miodu z osiego gniazda dobył, a wszystko dla starego króla.

Ale z tym wzrostem gospodarstwa należało i o kuchni porządnej pomyśleć.

Pały wprawdzie Krasnoludki ogień na kamyku, ale rosa i deszcze zalewały im go często—gęsto. Niewiele też myśląc, zajął Pietrzyk wielką, pustą muszlę, z której się gospodarz nie

wiedzieć gdzie wyniół, komin nad nią z gliny i z piasku ulepił, na drzwiczki ją zamknął i taką w niej kuchnię urządził, że o lepszą w całym świecie trudno.

A jak to zwykle bywa, że gdzie się z komina kurzy, tam o przyjaciół łatwo, tak się też i tutaj zdarzyło.

Od dawna już nad strugą, pod łopianem, przemieszkiwała żabia jedna familia, do której należał Półpanek.

Był to jegomość zarozumiały, próżny i żądny honorów.

Ogromnie mi to przykro, że o tym Półpanku nic dobrego powiedzieć nie mogę, ale kiedy myślę o nim, muszę go widzieć takim, jakim był w istocie: pysznym i jak pęcherz nadętym. Na całym brzegu strugi nie było żaby, która by tak wydymała gardziel i tak głośno, jak ten Półpanek, skrzeczała o sobie. Całe dni po prostu nic innego nie robił, tylko wystawiwszy się na słońce opowiadał, czy kto chciał słuchać, czy nie chciał – jakiego to on rodu jest, jaki to głos cudny ma, jaki rozum i talent muzyczny.

Szkaradny samochwał! W drugiej wsi nieraz go słyszeć było.

Ten tedy Półpanek wkręcił się do Krasnoludków, dziwy im o sobie prawił, pochlebiał, a tylko węszył, skąd pieczeń przyniosą. Czasem znów skrzypki z sobą przynosił, żeby staremu królowi przy wieczerzy przygrywać, a dobrą myśl mu tą muzyką czynić.

Szły tedy zabawy różne, a Krasnoludki raz w raz miały kompanię z tą żabą, która nadymała się tak, jakby nie półpankiem była, a całą gębą panem!

Buchał teraz dym na każdy czas z owej kuchni tak sztucznie przez Pietrzyka zmyślonej, jedzenia i picia było dość, a smakowite zapachy rozchodziły się daleko, że kot bury, przed kominem w izbie ubogiego Skrobka drzemiący, jeżył się i przez sen węszył, a Wojtuś i Kubuś, przytuleni do siebie i głodni, pytali się wzajem:

– Co tak ślicznie pachnie?

KONCERT MISTRZA SARABANDY

I

Ale stary król myślał, przemyślał o tym, żeby ubogiemu Skrobkowi nagrodzić za tę gościnę, jakiej mu udzielił w swych kątach, jemu i drużynie jego.

Krasnoludki niechętnie rozdają złoto, srebro, drogie kamienie, pod straż im oddane. Wolą dopomagać pracującym w pracy, bo to i dawcę, i obdarowanego równie uszlachetnia. Ale jak tu dopomagać ubogiemu Skrobkowi w pracy, kiedy w gospodarstwie jego rąk nie ma o co zaczepić, taka nędza!

Sam Skrobek, kiedy do domu przyjdzie i po izbie spojrzy, to opuszcza ręce. Po kątach śmiecie leżą, u pułapu brudne pajęczyny, komin nie podlepony, popiołu pełno przed nim, ława i stół nieschludne, ściany odrapane.

– Większać ta bieda niżeli moc moja! – mawiał sobie Skrobek. – Choćbym się i do oporządzania wziął, co mi pomoże? I tak mi źle, i tak nie będzie dobrze. Ot, lepiej fajkę zakurzę!

Zakurzył tedy fajkę albo się na barłóg cisnąwszy zasypiał.

Nie był to chłop zły, ten Skrobek, ale raz przygnieciony biedą, podnieść się nie miał siły. Po prostu zwątpił o sobie. Owo półko, odłogiem leżące, mogłoby przy pracy wyżywić i jego, i jego dzieci. Ale że pełne było pniów starych, kamieni, dołów i wszelkich chaszczów, więc nie miał odwagi zabrać się do niego.

– Ot – mówił – żebym zagon jeden na kartofle miał, to bym sobie nim lepiej wygodził niż tym szmatem pola! A toć korzeń na korzeniu, kamień na kamieniu! Choćbym ręce po łokcie urobił, nie poradzę! Okopać by to trzeba, wody spuścić, pnie wywalić, kamienie wywieźć, chaszczę wyrąbać i dopiero się do orki zabrać! A ja co? Mam to porządną siekierę? Mam pług? Mam bronę? Mam to moc do takiej pracy po tych paru ziemniakach, co je bez okrasy, a często i bez soli zjem? Hej, hej! Nie na moje to siły! Nie!

I zakładał do wózka szkapinę, i do miasteczka jechał, żeby tam parę groszy zarobić.

Marny to był zarobek j ego! Jak trochę chleba pojadał, jak garść owsa koniowi kupił, jak rogatkę zapłacił, a jak jeszcze w dodatku do karczmy wstąpił, to z pustym mieszkciem do domu wracał. I tak ciągle w kółko. Rzadka rzecz, żeby się co dzieciskom z tej furmanki dostało. Ale że przecież ta szkapa jedynym gospodarstwem ubogiego Skrobka była, rozkazał ją król Błystek Krasnoludkom swoim zgrzeblem pięknie po nocach chesać, rosą jej sierść wycierać, kopyta komarzym sadłem smarować, grzywę pleść i rozczesywać, trawy jej co najmiejsze do żłobu nosić, za drabkę koniczynę po przy drózkach rosnącą zakładać, zdrojową wodą poić, suche igliwie i mech podścielać, od much i bąków oganiać, a pięknych chodów uczyć.

Dziwili się ludzie, co tę szkapę dawniej znali, jaka to się z nią stała odmiana.

– Chybaście ją, Skrobku, na inszą zamienili i grube pieniądze do tamtej dopłacili?

Tak go ten i ów zagadywał.

Ale Skrobek uśmiechał się tylko, bo od dziada pradziada to słyszał, że gdzie Krasnoludki w bliskości się trzymają; tam koń w stajni jak kluska, że i woda spłynie po nim, a nie zmacza: taki tłusty!

I wózek też teraz w lepszym porządku był. Nieraz noc cicha, ciemna, a w podwórku Skrobkowym i jasno, i gwarno. Tu Modraczek koła myje, tu Słomiaczek półkoszek naprawia, tu Krężolek osie smaruje, tu Żagiewka ogień pali i na kowadle własnym nową luśnię kuje. Fabryka tak idzie, że to jak we dworze. A kiedy tak nocą drużyna królewska pracowała pilnie, stary król sam we własnej osobie rankiem do boru szedł, żeby na chłopięta Skrobkowe mieć oko, kiedy po chrust pójdą.

Stał bór gęsty, głuchy, tylko po nim górny wiatr szumiał z cicha, czarnymi sosnami ruszał, wielkie jakieś, mocne słowa gadał.

Naraz wbiegały drożyną w ten zmierzch i chłód jakby dwa płomyki słoneczne: to Kubuś i Wojtuś, z rozrzuconymi włoskami jasnymi, w koszulinach lnianych, krajką przepasani i boso. Wbiegały chłopięta ze śmiechem i gwarem dziecięcych, cienkich głosków, a bór uciszał się i słuchał.

I otwierały się nad lnianymi główkami chłopięt sklepienia sosen, i pochylały się ku nim potężne konary dębów, i szeptały do nich listeczki drżące brzoź białych, i po najdalszej, najciemniejszej gęstwinie słychać było szum cichy: – Dzieci! Dzieci! Dzieci!

Ale nawet w tym szepcie było nieco strachu. Kubuś i Wojtuś w ponurym zmierzchu boru milknęli jak ptaszęta wniesione do ciemnej izby.

Lecz dziw! Dawniej musieli się malcy dobrze po boru nadreptać, aby gałązkę chrustu znaleźć, a teraz gdzie spojrzą, leży sucha gałązka, ni to duża, ni to mała, w sam raz na ich siłę, jakby ją wiatr strącił. A jaka smolna! Żywica przeświecała przez nią jak bursztyń! Jaki to będzie ogień trzaskał wesoło w kominie z gałązek takich!

Cieszą się dzieci, rozkładają postronek na ścieżynie i układają suszki. Jak im to prędko, jak im sporo idzie!

I znowu dziw! Orzeszek zeszłoroczny w suchych liściach na ścieżynie błysnął. Czy wiatr przyniósł go z leszczyny? Czy wiewiórka upuściła po drzewach śmigając? Chłopcy rozłukli na kamyku i podzielili się ziarenkiem białym, słodkim; aż tu drugi, trzeci, cała kupka orzeszków, a wszystkie jak wybrane! Cieszą się dzieci, coraz im weselej. Kubuś odbiegł w stronę, zupełnie się w zieleni zaszył jak zajaczek młody, tylko głosik jego cienki słychać.

– Oj, da dana! Oj, dana, oj, dana, dana... dana...

Naraz krzyknie:

– Laboga!

Skoczy Wojtuś do niego, patrzy, chłopakowi ustka się trzęsą, przemówić ze strachu nie może.

– A czegoż to krzyczysz? – pyta.

– Król! Król był! Król w złotej koronie! Za krzaczkiem tu stał, w czerwieni tu stał, jak ogień się świecił!

– Gdzie? – pyta Wojtuś.

– O... tu... tu! – pokazując palcem, mówi Kubuś.

Wtem znów krzyknie:

– Jagody!

Patrz chłopcy, prawda! Jagody kraśnieją, jakby je kto nasiał!

– Dziw! W tym boru jagód nigdy nie bywało, a teraz, patrzcie, co tu tego!

Jedzą chłopcy, o strachu zapomnieli; tak wyborynych, rumianych i słodkich jagódek nie widzieli, jak żywi, na świecie! Posilili się, wiążą chrust, czas do domu wracać.

Dawniej było przy tym stękania dość, trudno i zadać sobie ów ciężar na plecy, trudno go i dźwignąć, i iść z nim. A teraz te brzemonka tak lekkie się zdawały, jakby połowa ciężaru ubyla.

– Chyba tego chrustu dziś mało – mówi Wojtuś— że tak lekko iść?

A Kubuś na to:

– Albo my po tych orzeszkach i po tych jagódkach tak zmocnieli?...

Zamilkł i po chwili znów rzecze:

–Wojtuś!

– A co?

– Nie powiadaj w domu o tym królu, com go widział, bo tatuńcio znów rzemienia wezmą...

– A co bym miał powiadać!

I tak wracali do domu. Spotkały ich czasem baby w drodze, to stawały i patrzyły za nimi.

– Skrobkowe chłopaki albo nie Skrobkowe? A cóż oni się tak odmienili w sobie? Wybielało to, porosło. Jakby nie te!

– A cóż się tam dziwić? Może tam matczyisko u Pana Jezusa uprosiła, że ją do dzieci puszcza, i nocą to sieroctwo pielęgnuje.

– Bo nie co...

– Jużci, że nie co!

I kiwając głowami, szły dalej.

A nikt nie wiedział, że to król Krasnoludków tak o te sierotki zabiegał, żeby się za gościnę odwdzińczyć.

Ale to odwdzięczenie małym się staremu królowi zdawało, prawie żadnym. Tak wdzięczne serce miał.

Myślał tedy, przemyślał, jak by tu ubogiego Skrobka do pracy około pólka owego zwabić i w tym mu dopomóc.

Wracał jednego wieczora Skrobek do domu, a miesiąc świecił przecudnie. Spojrzy chłop, a całe owo uroczysko w srebrnym blasku stoi, właśnie jak kiedy żyto dojrzeje, a za cichym wiatrem pełne kłosy gnie... Zamigotało to Skrobkowi w oczach tak nagle i tak czarodziejsko, że cisnął uzdeczkę szkapie swej na szyję i na pólko biegł, oczom własnym nie wierzący, z bijącym sercem i z taką nadzieją, jakby tam naprawdę żyto był siał, a teraz, ot, wczesnego doczekał się plonu. Aż gdy przybiegł, zobaczył, że to tylko mietlica owa srebrzysta w promieniach miesięcznych świeci.

Zwiesił chłop głowę, postać smutnie, podumał, westchnął ciężko i do wózka wrócił.

Ale mu to uroczysko jakoby w srebrze plonu żytniego stojące z oczu nie mogło zejść. I nocą śnił o nim.

Niedługo potem idzie Skrobek rankiem do boru, bo mu się dyszel złamał i trzeba było osikę wybrać na nowy; wtem go z nagłą blask wielki uderzy. Spojrzy, a to pólko owo złotem żywym się pali, właśnie jak kiedy pszenica dojrzewa złocista, pod kosą się ugina, ciężka od białego ziarna!

Zdumiał chłop, stanął, patrzy, ciarki po nim przeszły! Reta! Toć nie co, tylko pszenica! Skoczy bliżej, pojrzy, a to słońce poranne tak maluje pólko owo złotem.

Postać chłop, podumał, załamał ręce, aż mu w kościach trzasło, i wzdychając, do domu powrócił. Ale uroczysko owo, złotem pszenicznych błyskające kłosów, nie tylko mu się śniło; gdzie poszedł, gdzie stanął, na jawie teraz je widział i rozmyślał o nim.

– A co? – mówił sam do siebie. – A może by się tam i pszenica rodziła? Kto wie? Może by się rodziła? Ziemia tam mocna musi być! Wypoczęta od setnych lat! Z dziada pradziada nikt tam nie siewał i nie żał... Uroczysko, taj i uroczysko. A kto może wiedzieć?

Zamyślał się teraz ubogi Skrobek i całymi godzinami dokoła pólka tego błędził licząc, obliczając, jaką by to pracę podjąć było potrzeba, żeby z tego nieużytku orną ziemię dobyć.

– Ciężko, ciężko! – powtarzał półgłosem, patrząc na pnie potężne, głęboko i szeroko rozrosłe, i na dzikie krzaki, na ogromne korzeniska, na wielkie złomy głazów, które się własnym ciężarem w ziemię wbiły.

– Ciężko, ciężko! – wzdychał i odchodził. Ale zaledwie odszedł, ciągnęło go coś znowu do tego pólka i znowu szedł, i znów patrząc na dzikie chaszczce wzdychał i trzął głową, szepcząc:

– Ciężko, ciężko! Nie na moje siły!

Tak minęło parę tygodni, a chłop aż wychudł i szerniał od tej wojny, jaką z myślami własnymi prowadził, i ciągnięty do tego kawałka ziemi, i odpychany od niego.

Czasami zawzinał się Skrobek i trzy, i cztery dni na uroczysko nie szedł. Ale mu było wtedy, jakby własnej chudoby poniechał. Owszem, żywiej mu jeszcze na oczach stały srebrne plony żyta i złote – pszenicy. Prawie że szum kłosów słyszał.

–Tfu! sfluwał wtedy. – Urok czy co? – I brał się do innej roboty.

A właśnie wtenczas, na drugim końcu lasu, nad rzeczką, nie opodał gościńca stanął tartak. Dużo tam drzewa trzeba było zwozić, z którego długie i szerokie bale i deski rznięto. Chętnie się tym Skrobek zajmował, a dzięki poczciwej szkapie swojej zarobek niezły miał. Już i do garnka, nad pułapem w słomę zakopanego, nieco grosza odłożył. Ale go ten grosz nie tyle cieszył, co gdyby go za swoje zboże dostał. Któż ten grosz zarobił? On i szkapa.

Nuż choroba przyjdzie na niego albo i na konia, co wtedy? On nie wieczny na świecie, a koń jeszcze krócej zwykle żyje niż człowiek. Cóż się po nich obojgu dzieciakom zostanie? Nędza, i tyle. Gdyby to mieć pole uprawne, o! dopiero byłoby dla drobiazgu dziedzictwo!...

Więc wracając wieczorem z ciężkiej w lesie roboty, szedł Skrobek z wolą czy bez woli ku owemu uroczysku i patrzył.

Zacierał na to ręce król stary i dobrą miał nadzieję, iż tą złotą słońca poświatą i tym srebrzystym miesięcznym blaskiem Skrobkowi ów ziemi kawałek do serca wczarował.

II

Jednego razu przywędrował do Słowiczej Doliny mistrz nad mistrze, sławny muzyk Sarabanda. Jak ten grał, to na okolicę nikt się ani nie umywał do niego.

Ani Szulim, co na basach w karczmie co niedziela dudnił, ani Franek, co po weselach ze skrzypczką chodził; może, może jeden Jasiek owczarek, co fujarkę wierzbową miał i na niej dnie całe wygrywał, może jeden owczarek coś niecoś w to granie Sarabandy utrafił. Ale nie ze wszystkim. Niechaj to nie zadziwia nikogo, że mistrz Sarabanda wyglądał w swoim szarym płaszczu jak zwykły świerszcz polny.

Na takie pozory nie zważa nigdy ten, kto rozum ma, a patrzy, jaka w tym treść i prawda. Otóż prawdą było, że mistrz Sarabanda grał przedziwnie pięknie, a tak roznośnie, tak przejmująco, że go het precz, nie tylko po całym polu słyhać było, ale w duszy własnej.

A jako każda muzyka, gdy do wnętrza duszy wpadnie własnymi słowami tam się wypowiada, tak się i tu zdarzyło.

Kiedy Szulim na basach w karczmie dudnił, to na miłą wyraźnie słyhać było, jak z tych basów coś wołało:

*Pij, chłopie,
Pij, chłopie!
Śmierć idzie,
Dół kopie.
Śmierć idzie
W pokoje,
Coś wypił,
To twoje!...*

A kiedy znów Franek na skrzypczkach, idąc przez wieś na wesele, grał, a bębniasta na bębnie mu pomagał, to wyraźnie słyhać było, jak w tych skrzypkach coś się śmiało na całe gardło, przyspiewując sobie:

*Dla taneczka, dla ochoty,
Dalbym ci ja dukat złoty,
Dalbym ci ja talar biały,
Żeby skrzypki tego grały!
Hu-ha!...*

*Ej, ty praco, twarda praco,
Zmyślili cię, nie wiem na co,
Zmyślił ciebie dziaduś stary,
Co w taneczku nie miał pary!
Hu-ha!...*

I rzucali młodzi i starzy robotę, i lecieli skrzypków owych słyhać a na wesele choć zza węgła patrzeć, kto tańcować nie mógł. Stała tedy robota we wsi, na ręce ludzkie czekając, stała dzień, dwa, trzy dni, a czas cicho szedł, szedł i odchodził, chleb ze wsi z sobą unosząc.

A jak znów Jasiak owczarek grał na fujarce swojej, to się ogromnie smutno robiło w sercach ludzkich, właśnie jakby kto płakał a wyrzekał. Wyraźnie wtedy słyhać było:

*...Hej, bieda w chacie, bieda,
Hej, zagon chleba nie da,
Hej, szumi wiatr po polu,
Hej, nasiał w nim kąkolu,
Hej, dolaż moja, dola,
Nie będę kosił pola...
Na słonku się położę,
Ta pójdę het, za morze!*

A kiedy tak fujarka Jaśkowa grała, opadały ludziom przy robocie ręce, pług zdawał się ogromnie ciężki, ziemia nieużyta i twarda, kosa tępa i nie biorąca słomy, przy czym tak ubywało ochoty w każdym ręku, jakby się człek najciężej spracował.

Inaczej mistrz Sarabanda. On tak blisko ziemi siedział, że każdą jej moc i wszelką jej dobroć i słodkość znał i grać, i śpiewać o niej tylko umiał. Czy to rankiem, czy wieczorem, na każdy czas śpiewał o tych polach, o tych łąkach, o tych lasach i strumieniach, a zawsze wprost do duszy.

Siadł sobie raz ubogi Skrobek na progu chaty, zadumał się, zatęsknił i duszę mu objęła rzewność i kochanie do tej chatynki biednej, którą po dziadach, pradziadach spadkiem wziął.

A właśnie zachodziło słońce.

Powłaziły Krasnoludki z zakątka swego patrzeć na ów krąg złocisty, na zorze jasne, na liliowość powietrza przejrzystą, a ów muzyk na góreczce siadł i w ten zachód się zapatrzwszy śpiewać i grać zaczął.

Słyha Skrobek, brzęczy coś w powietrzu jak gęśliki srebrne, a z brzęku tego idą słowa tak ciche, jakby je samo serce szeptało w piersi, jakby sama dusza...

Zadziwił się chłop, słyha, a tu ów głos cichy zrazu, coraz głośniejszy się staje, coraz szerszy, coraz przenikliwszy, aż rozbrzmiała jak organ pieśń na pola, na lasy, aż objęła rzeki, łąki i strumienie, aż zaszumiała liściem grusz polnych i dębów borowych, i szeptem traw łąkowych, i tą ogromną muzyką, jaka w cichości wieczorowej gra. I uderzyła pieśń potężna,

jakby ją chór milionowy z piersi dobył, a pod niebo słał, i jakby milion serc w niej dźwięczało i biło:

*Oj, ziemio, ty ziemio sieroto,
Jest w tobie i srebro, i złoto,
Jest w tobie dla wszystkich dość chleba,
Tylko cię miłować potrzeba!...*

*Oj, ziemio, ty matko rodzona,
Przytulasz ty wszystkich do łona,
Oj, dajesz ty życiu swe siły,
A kwiecie rozkwiecasz z mogiły!
Oj, ziemio, ty ziemio kochana,
Nie byłaś ty pługiem orana!
Nie byłaś zroszona ty potem
Ni ziarnem obsiana tym złotym!*

Słuchał tej pieśni chłop Skrobek i poczuł w sobie nagle moc taką, jakiej nigdy przedtem nie miał. I taką gorącość duszną, i czucie rzewne do tego kawałka ziemi poczuł, jakiej nigdy nie miał.

Zdawało mu się, że sto ramion i sto rąk ma do karczunku, do orki, do wszelkiej ciężkiej pracy, i roztajało mu serce w ogromnym kochaniu do tej opuszczonej schedy swojej i do ubogiego dziedzictwa swojego.

Wstał z progu, spojrzął na świat przenikliwym, mocnym wzrokiem; wyciągnął ręce przed siebie, ścisnął pięście i zaszeptał:

– Hej, ziemio, ziemio! Hej, praco, praco! Wezmę ja się z tobą za bary. Albo ty mnie zmożesz, albo też ja ciebie!... Tak mi dopomóż Bóg!

MODRACZEK I JEGO UCZEŃ

I

Ale Półpanek znieść nie mógł powodzenia mistrza Sarabandy. Jak był zielony zawsze, tak jeszcze w dwójnasób zzieleniał teraz z zazdrości.

–Jak to! – mówił. –Jakiś przybłąda, jakiś świerszcz wędrowny będzie się popisywał w krainie, w której wszystkie oklaski mnie się należą z prawa?! Odkądże to wolno pierwszemu lepszemu włóczędze tumanić słuchaczy i jakimś tam skwierczeniem psuć im gust do mojej muzyki? To jest wprost oburzające!

– Panie! – rzecze nagle, zwróciwszy się do słuchającego tych wyrzekań Modraczka. – Zmiłuj się, wydobądź mi koniecznie te nuty, z których Sarabanda grał, a zobaczysz, że go prześcignę, że go zakasuję! Tej samej pieśni tak się wyuczę, że dopiero pozna świat, co to jakiś marny Sarabanda, a co Półpanek. Zmiłuj się, kochany panie! Dopomóż mi w tym, proszę!

Skoczył Modraczek, który niezmiernie uczynny był, za odchodzącym z czarodziejską skrzypką świerszczem i uchwyciwszy go za poję brunatnego płaszcza, zaczął błagać o nuty tej przecednej pieśni, której echa drżały jeszcze naokół w polnych ziołach i zroszonych trawach.

– Mamy u siebie bardzo zdolną żabę – mówił Modraczek – i pragnęlibyśmy uczynić z niej nadwornego muzyka Jego Królewskiej Mości, miłościwego pana naszego. Król jegomość w podeszłych już latach będąc podlega różnym tęsknotom i smutkom, a taki wyborny muzyk rozrywałby go w onej melancholii.

– Owszem, bardzo chętnie użyję! – odrzekł Sarabanda.

– Oto nuty owe, proszę, bardzo proszę... Wszakże nie cała pieśń w tych nutach jest. Resztę, czego tam brak, z duszy śpiewać trzeba. O, nie sprawia to żadnej trudności! Dostyc jest spojrzeć na lunę zachodniej zorzy, dość poczuć zapach pól i łąk, dość zaszłuchać się w ten wielki chór, jaki cisza polna gra... Łatwo, bardzo łatwo! Oto nuty. Proszę, proszę bardzo... Bardzo mi przyjemnie. Sługa uniżony!

I odszedł wielki muzyk szybkim krokiem, zostawiwszy Modraczka z nutami w ręku i ze zdumieniem w sercu, iż ten mistrz nad mistrze tak prosty był, tak uczynny, a przy tym taki nieśmiały, niewymowny, taki niezgrabny nawet.

„No! – pomyślał sobie. – Półpanek rację ma! Jeśli z tego szaraczka taki sławny muzyk jest, to cóż dopiero będzie z naszego Półpanka, którego przecież i wzrost, i osoba, i cała prezencja wcale co innego!”

I wraca prędko z nutami do Słowiczej Doliny, gdzie go oczekiwał Półpanek.

Maj się już kończył i gorąco było na świecie, kiedy nasz zielony grajek rozpoczął koncerty.

Obrał sobie miejsce w cieniu jednego grzyba, nad samym brzegiem strugi, i tu siedząc jak pod parasolem ćwiczył się co dzień w śpiewaniu. Że jednak zawsze takt gubił, musiał mu

zgrzany od srogięgo upału i ociekający potem Modraczek wybijać go pałeczką wylamaną z trzciny.

Co to był przy takiej lekcji za wrzask, jaki skrzek, jakie fałszywe dzikie tony, tego opisać nie sposób!

Żaba darła się jak opętana, Modraczek walił swoją trzcinaę tak, jakby ze trzy baby u strugi kijankami prały, a żuki, muchy, komary, wróble nawet, wszystko to uciekało z piskiem, z brzękiem, z trzepotem, żeby tylko jak najdalej uszy unieść od tego nieszczęsnęgo grzyba, pod którym Półpanek śpiewał.

Ale nie wszystko uciec mogło. Tuż przy samym brzegu strugi mieszkwały lilie wodne, którym nie wolno było opuszczać swęgo chłodnego, błękitnego domu. Nie mogąc tedy żadną miarą usunąć się od owęgo wrzasku, wychylały swoje białe kielichy, prosząc na wszystko choć o chwilę spokoju, choć o odrobinę ciszy.

– Przepraszamy najmocniej panów dobrodziejów! – mówiły słodkim i uprzejmym głosem. – Ale od czasu jak panowie dobrodzieje poświęcają się muzyce, żyjemy tu w ciągłej trwodze, w ciągłym niepokoju, ot, jakby we młynie. Nie chcemy panom dobrodziejom najmniejszej przykrości wyrządzić, ale niepodobna się nam ani rankiem modlić do wschodzącej jutrzęni, ani słyszeć, jak konwalie na wieczorny pacierz dzwonia w tamtym gaju. Zupełnie się u nas wszelki porządek pomieszał... Panowie dobrodzieje zapewne wiedzą, że tkamy w krosnach nici srebrne na zasłony dla nowicjuszek zamkniętych w zieleni pączków; otóż nawet nici w krosnach pękają nam od tego nieznośnego hałasu, jaki się panom dobrodziejom podoba tu przed samą furtą naszą czynić! Próbowaliśmy już nawet głębiej w wodę iść, aby tam nieco zażyć ciszy i spokoju; ale bez słońca nie sposób nam żyć. Niechaj więc prośba nasza panów dobrodziejów nie uraża! My uznajemy tak wielki talent pana w zielonym garniturze, jako też i siłę, bardzo wielką siłę pana w garniturze niebieskim! Ale tak, jak jest, nie sposób nam wytrzymać! Nerwy nasze zbyt cierpią na tym!

Tu dygnęły, jakby kto świeczkę maczał, i ukryły się skromnie pod wielkie okrągłe liście, które im za woale służą.

Ale trzciny i tataraki nie były tak uprzejme. Te od razu zaczęły w pałki swoje tłuc i w miecze długie trzaskać.

– Któż to tam tak wrzeszczy – wołały – jakby go ze skóry darto? A nie będziesz ty cicho krzykaczu? Czy nie widzisz, że nas tu całe wojsko stoi, a takiego piekielnęgo rejuwachu nie robi, jak wy jeden z drugim! A pałką go! A nuż szablą po nim!

– Hej, pachółki! Zaszumieć tam w złote szałamaje! Niech pozna wrzaskun ten, co to jest prawdziwa muzyka! Hej, grajcie, litaury, grajcie, surmy nasze!...

I giął się oczeret z szerokim, głośnym poświstem, szumiały trzciny, brząkały tataraki w szerokie szabllice, a wiatr, wpadłszy między nie, dziwną muzykę na złotych szałamajach czyniąc, taką pogrózkę śpiewał:

...Hej, milczkiem, a chyłkiem,

A ciszkę, a cisz...

W zasadzce tu stoim,

A hasło czy wiesz ?

W zasadzce tu stoim,

Wzniesiony nasz miecz,

Kto idzie? Daj hasło!

A nie wiesz – to precz!

Dziwaczna ta, podobna do cygańskiej muzyka, zrazu cicha, potem rosnaąca w moc i potężniejsza coraz, chwilę trzęsła jak grzmot oczeretem, po czym znów cichnąc i milknąc rozwiewała się, jakby jej nie było.

Ale opętany zazdrością i pychą Półpanek nie zważał ani na groźby buńczucznych trzciny i tataraków, ani na pokorne prośby białych lilii wodnych. Owszem, im głośniejsze były i groźby, i prośby, tym on zapalczywiej krzyczał, aby je zagłuszyć, tak że mu się gardło wydeło jak najtęższy pęcherz.

– Dlaboga! – wołał przerażony Modraczek. – Folguj waćpan nieco w tym śpiewie, bo mi się tu jeszcze w oczach rozpukniesz!

Ledwo to rzekł... krrach! skóra napiętą jak na bębnie trzasła, a Półpanek, jak siedział, tak padł, raz tylko zipnąwszy.

II

Południe było znojne, gorące. Kosiarze dosiekali łąki. Długi ich rząd posuwał się równo, równo wyciągały się grzbiety i ramiona w lnianych, błyszczących w słońcu koszulach, równo szły jasne kosy w trawę tuż przy ziemi!

Na miedzy pod gruszą stały już dwojaki gliniane złocąc się ziemniakami i bielejąc mlekiem.

Dzieci, które je z chat przyniosły, bawiły się w „zgodanego” usiadłszy kupką całą na górcie, w modrych spódnicznach, w czerwonych spencerkach, właśnie jak ostróżki i maczki.

Wtem patrzą, a tu spod gaju toczy się człeczek maluśki i prosto do dwojaków idzie.

Krężolek to był, paż króla jegomości Błystka, który, dla zbytnej swej tuszy upału ścierpieć nie mogąc, wziął łyżkę i miskę i szedł do kosiarzy, żeby tam kwaśnego mleka pojeść i nieco się orzeźwić.

Struchlały dzieci, patrzą, a ów sobie do pierwszych z brzegu dwojaczków sięga, złotą łyżeczką mleka nabiera, na złotą miseczkę kładzie. Już pełno miał prawie i właśnie po wrębach podśmietanie zgarniał, kiedy wtem buchnął w powietrze przejmujący krzyk wielu cienkich głosików:

– Nasz muzykant nie żyje!

Posłyszał krzyk ten Krężolek, łyżkę i miskę upuścił w trawę i jak stał, tak się pędem do gaju bieć puścił.

Teraz dopiero zobaczyły dzieci jego czerwony kaptur, jak za nim z tyłu wiewał.

– Krasnoludek! Krasnoludek! – wrzasnęły wszystkie razem i jak wróble spłoszone porwały się, do wsi z krzykiem lecąc, podczas gdy złote naczynka owe, które Krężolek w trawę cisnął, potoczyły się w krzak głogu i tam zostały.

Straszne było zamieszanie w Słowiczej Dolinie, kiedy do niej dopadł Krężolek.

Kto żyw, ratował Półpanka i ducha w nim szukał. Jedni go trzęśli, drudzy tarli, insi z boku na bok przewracali, jeszcze insi wronie piórka pod nosem mu smalili, a Pietrzyk, biegając z kubelkiem, z góry wodą chlustał i chorego, i ratujących razem.

Ale wszystko było na nic: Półpanek leżał bez czucia, bez duszy. Oczy mu zbieleły, obwisły łapy, trup a trup! Tylko w ziemię kłaść.

Szła wtedy gajem stara babuleńka i zbierała zioła. Babuleńka była tak sucha jak gałązka chrustu, tak ciemna w twarzy jak ten grzybek pod pieńkiem rosnący, a tak zgarbiona starością swoją, że głowy podnieść od ziemi nie mogła.

Idąc stukała babuleńka kijkiem, który jej niemocne nogi podpierał, a co ziółko jakie spotkała, to zaraz zagadała do niego suchym, cichym głosem.

– Ty rosiczko, rosiczko! – mówiła. – Tysiąc listeczków w tobie, na każdym listeczku rosy kropelka, w każdej kropelce przejrzało się słoneczko jasne, moc tobie dało, moc dużą! Dobras ty od oczu bolenia, dobra dla młodych i starych, chodź do kobiałki!

I zerwała babuleńka przygarść ziela świeżego, i cicho szepcząc, szła dalej.

Wtem znowu zagada:

– Oj, ty ziele, ty ziele zielone, ty rozchodniku, młody junaku! Z górki na doliny, z doliny na górki ty chodzisz, po szarych piaskach brodzisz, nie pilnujesz dróżki, bo masz złote nóżki. Patrzysz, czy jedzie król – dobryś na suchy ból – pójdź do kobiałki!

I znów zrywa przygarść ziela, i idzie szepcząc:

– Oj, ty macierzanko, ty ziele! Mocny dech w tobie – dobraś w chorobie, na smutki, żałości, na bolenie kości! Pójdź do kobiałki!

Chwilę rwała w ciszy pachnące listeczki, po czym się w bok ujęła, rozprostowała nieco krzyża i parząc w gaj modrymi oczyma, zaczęła nucić:

*...Słyszała matka ten płacz sierocy,
Wyjrzała z grobu, tej ciemnej nocy,
Wyjrzała z grobu drobnouchnym ziele,
A tu macocha jedzie z weselem.
Z weselem jedzie, z biczów trzaskają,
A te sieroty lzy potykają,
A te sieroty lzy połykają!*

Rozległ się cichy, słaby głos i umilkł w gaju, a babuleńka znów się zgarbiła i westchnąwszy powlokła się dalej. Aż nagle stanęła wywijając kijem.

– Ej, ty dziewanno, ty jasna panno! Za słonkiem się obracasz, liczko gładkie wyzlacasz – jest z ciebie napój złoty – od kaszlu, od chrzypoty! Pójdź do kobiałki!

Narwała kwiatuszków z wysokiej łodyżki, odpędzając pszczoły, co gęsto brzęczały nad nią, i poszła szepcząc dalej. Ale wnet stanęła znowu.

– Ty piołunie, gorzkie ziele, narwę ja cię mało wiele! Bez gorzkości człek nie żyje, kto niemocny, niech cię pije! Pójdź do kobiałki!

Ale ten piołun i ta dziewanna wywiodyły ją z gaju aż na uroczysko, na sam kraj łąki, którą dosiekali kosiarze, na miedzę, gdzie krzaki głogu rosły, tuż przy polnej gruszy.

Babuleńka podeszła do krzaków, szepcząc:

– Oj, ty głogu, ty głogu, kłaść cię dobrze na progu! Gdzie u progu są głogi, tam nie przyjdą złe trwogi! Pójdź do kobiałki!

Postała chwilę, poparzyła, już odejść miała, kiedy trafiła kijkiem na korzonek wystający z ziemi.

Zamodrzały jej oczy, twarz zajaśniała nagle; schyliła się babuleńka i prędko ów korzonek kopac zaczęła szepcząc:

– Ty pokrzyku z ludzką twarzą, w czarnym garnku ciebie warzą. Warzą ciebie po ciemności, na zrośnięcie martwej kości. Pójdź do kobiałki!

Ciągnie babuleńka ów korzonek do siebie, a ziemia do siebie.

Wtem uderzy w powietrze krzyk słaby...

– Co takiego? – szepnie babuleńka. – Czyby pokrzyk krzyczał, że go biorę?

Puściła ów korzonek, słucha: głosy ludzkie jakby... Ruszy babuleńka sporym krokiem, sztykuta jak może, kijkiem się podpierając a dysząc.

Coraz bliżej głosy owe słyszeć.

Wychyliła się wreszcie z uroczyska tuż nad strugą samą. Spojrzy: tłum Krasnoludków otacza leżącą bez ducha żabę, ręce załamuje, płacze, lamentuje:

– Muzykant nasz! Muzykant nasz nie żyje!

Babuleńka ani się dziwi, ani też przeraża. Cały wiek z dziwami przeżyła za pan brat. A co jej dziw jakiś?

Krasnoludków też widziała w długim swym życiu nie raz, nie dwa razy. Co jej Krasnoludki?...

Więc tylko zamruga modrymi oczami, podejdzie bliżej i pyta:

– A co Pan Bóg dał?

Aż do niej zakrzykną Krasnoludki:

– Ach, muzykantowi oto naszemu gardziel pękł! Ratujcie, babuleńko, muzykanta naszego!

Pokiwała babuleńka głową, ruszyła jedną łapę żaby ruszyła drugą, trup!

Aż przyłoży ucho swoje stare do martwej piersi i słuca.

Słucha i uśmiecha się nagle... Coś niecoś życia kołatało się jeszcze w niebogim Półpanku.

Podniesie tedy babuleńka głowę i rzecze:

– Skoczże który za trzy góry, za trzy morza, na bezdroża – na sam koniec świata, tam gdzie moja chata – przynieśże mi duchem złotą igłę z uchem, przynieś i jedwabie, pomóżem tej żabie!

Skoczył Pietrzyk na jednej nodze do chatynki Skrobka i dalej do jaskółki z prośbą:

*Jaskółeczko! Jaskółeczko!
Weź mnie na swe siodeleczko,
Nieś mnie swymi pióry
Za morza, za góry,
Na sam koniec świata,
Gdzie babulki chata,
Muszę przynieść duchem
Złotą igłę z uchem
I jasne jedwabie,
Żeby pomóc żabie.*

Zaświegotała jaskółeczka, chętna do posługi.

Skoczył na nią Pietrzyk – fru!... I tyłeś go widział. Ot, jak wiatr dmuchnął.

Tymczasem babuleńka ogień pali, gałązki na krzyż kładzie, zioła warzy i gardło Półpanka smaruje.

Posługują jej Krasnoludki, jak mogą – ten chrust nosi, ten mieszkciem ogień rozdyma, ten garnczek trzyma, sam król miłościwy głowę Półpanka unosi, a co na niego spojrzy, to mu perły jasne z oczu na ziemię lecą.

Nie minęły trzy pacierze, zaszumiały nad doliną jaskółcze skrzydła rączę, skoczył z nich Pietrzyk lekko, jaskółce dziękując, babuleńce złotą igłę i jedwabną niteczkę podaje.

Wyjęła babuleńka okulary, na nos włożyła, igielkę nawlokła i nuż owo gardło nieszczęsnej żabie zeszywać.

Obstąpiły ją Krasnoludki, powyciągały nosy, patrzą jeden drugiemu przez głowę, a babuleńka pękniętą skórę półpankowi zeszywszy, dzięła mu pod nos przyłożyła i trzy razy dmuchnie.

Jakże owa żaba nie kichnie! Jakby z armaty strzelił!

Rozskoczyły się Krasnoludki z nagłego strachu; a tu Półpanek otworzył jedno oko, przymknął, otworzył drugie, patrzy i podnosić się zaczyna.

Podniósł się, siadł, za nutami się obejrzał i chwyciwszy je w łapy, rozdziawił do śpiewu gębę.

Rozdziawił, lecz nie puścił głosu; rozdziawił szerzej jeszcze – na nic! Rozdziawił po raz trzeci – głuchy skrzek wyszedł tylko z gardła.

O nieszczęsny Półpanku, nigdy ty nie dorównasz mistrzowi Sarabandzie w wielkiej jego pieśni.

U KRÓLOWEJ TATRY

I

Trzy dni, trzy noce wędrowała Marysia do królowej Tatry.

Pierwszego dnia wiodły ją pola i łąki przez kraj szeroko oczom i sercu otwarty, cały w zbożach, w trawach, w woni kwiecica stojący. Cały ten dzień szum kłosów słyhać było; szmer traw i szeptanie kwiatów:

–Sierota... sierota... sierota...

I rozstępowały się przed nią zboża w obie strony, jakoby je rozdzieliły wielkie skrzydła wiatru, a Marysia szła w ten las srebrzysty, modrząc się wskroś kłosów niebieską spódniczyną swoją jako bławat polny. Szła wyciągając ręce przed siebie i szepcząc:

– Prowadź mnie, prowadź, pole, do królowej Tatry!

I prowadziło.

Wyciągały się przed nią bruzdy zroszone, sypiąc perłami poranka, wyciągały się przed nią miedze długie, kwieciami wonnym tkane; biegły przed nią ścieżyny miękkie, niezabudek pełne, a w powietrzu słyhać było skowronka, który w skrzydła szare bijąc śpiewał:

– Tędy, tędy, sieroto! Grusze polne chyliły się ku wędrownicy małej, pytając, czy nie chce ich cienia; kopce graniczne zatrzymywały ją na krótki wypoczynek pod krzakiem kwitnących jeżyn; krzyż czarny, między trzema brzożami na rozstaju stojący, wyciągał do niej ramiona, a wszystko, co tam grało i śpiewało w polach: ptaszęta, muszki, pszczoły i świerszczyki, wszystko na jedną nutę grało i śpiewało:

*...Idź, nieboże! Idź pod zorze!
Niech ci Pan Bóg dopomoże!*

Jak kraj szeroki i długi, tak wśród pól i łąk siedzą wioski ciche czerniejąc i bielejąc niskimi chatkami; jak kraj szeroki i długi, porykują trzody, rżą konie w paszach świeżych, owieczki się runami po pagórkach śnieżą, nawoływania i echa fujarek lecą daleko, roznośnie, a dokoła błękit... błękit... błękit...

Za Marysią drepce Podziomek migając czerwonym kapturkiem wśród zieloności łąk i pól niby krasny maczek; brodę zadziera wysoko, zdaje mu się, że to on sierotkę wiedzie... Ale nie tak było.

*Wiodły ją te polne dróżki,
Modre chabry i ostróżki,
Wiodła ją ta miedza szara,
Śpiew skowronka, brzęk komara,
Wiodły ją te szumne kłosy,
Łężne trawy w perlach rosy,
Wiodła ją ta zorza złota –
Bo sierota!*

Ale drugiego dnia weszła Marysia w świat chłodny i mroczny, w świat zmierzchów zielonych i głębokiej ciszy, w świat borowy.

Otoczyły ją tam dęby rosochate, zgarbione, z szeroko rozrostłymi konarami, na których szemrał liść świetnej zieleni. Otoczyły ją tam sosny czarne, bez ruchu stojące, o pniach kapiących złotą, bursztynową żywicą; a wśród sosen czarnych zabielały brzozy, szemrzące liściem drobnym, i graby zadumane, na których świstały kosy, i niska kalina – na niskich dołkach stojąca, a wody spragniona.

I szła Marysia sierota, szła jakby przez kościół ogromny, tysiącem kolumn podparty, kobiercem mchów wysłany, a z góry, wysoko, przez liście, rzucało słońce garście złotych blasków.

I szła Marysia sierota, złęknioma głęboką ciszą, coraz szepejąc w duszy:

– Prowadź mnie, prowadź, borze, do królowej Tatry!

I zaszumiały dęby rosochate i czarne sosny, i brzozy, i graby, i niska kalina, i podniosły się szumy górne po wierzchołkach i szepty ciche po najniższych gałązkach, młodym liściem odzianych, a w szumach i szeptach wyraźnie słyhać było:

– Tędy!... Tędy!... Idź tędy, sieroto!

I tworzyły się przed Marysią borowe głębie, i upadły blaski słońca na drózkę mchami słaną, przed same stopki bose, właśnie jakby kto w mrokach borowych sypał gwiazdy złote, wskroś zmierzchów wiodące.

I szła Marysia, i wzniosła głosek cichy, i śpiewała z pełnego serca piosenkę prostą, nieuczoną, rzewną, której wtórzył szmer brzozy i szumy dębów starych:

*Oj, lesie, ciemny lesie,
Oj, głos się przez cię niesie,
Oj, szumią w tobie drzewa,
Oj, cichość twoja śpiewa!*

A kiedy tak szła śpiewając, odzywał się w dali to huk siekiery drwała, to kukanie kukułki, to poświst wiewiórki, to stukanie dzięcioła w pień drzewny.

A kiedy zaśpiewana drózkę zmylić miała, zastępował jej to krzak jeżyn i za spódniczkę potargnął, to zahuczał puchacz w dziupli schowany, to zielona jaszczureczka ścieżynkę przebiegła, to orzeszyna schylała gibkie gałązki do jej płowej główki, szepejąc:

–Tędy... tędy... tędy!

Za Marysią szedł Podziomek migając czerwonym kapturkiem niby kraśny grzybek borowy, a idąc zadzierał brodę, bo mu się zdawało, że to on Marysię wiedzie... Ale nie tak było.

*Wiodły ją te brzozy družki,
Mchy zielone spod jej nóżki,
Wiodły ci ją te kaliny,
Leśne gąszcze i drożyny,
Wiodły ci ją dęby, sosny,
Szum głęboki, szum żaloszny,
Wiódł ci ją bór przez swe wrota –
Bo sierota!*

Ale trzeciego dnia weszła Marysia w świat gór i strumieni, który był modry od mgieł i dalekich szczytów, a srebrny od wód, a dzikszy niżeli oba tamte pierwsze światy.

Jak okiem zajrzeć, stoją skalne zręby, pod niebo się wspinając, jedno na drugie tłocząc, bodąc chmury czołem.

Jak okiem zajrzeć, huczą zdroje żywe, pasma wód tryskają spod głazów i biegną z szumem, i pienią się, i grają, i przegląda się w nich złoto słońca i modrość nieba. I przeglądają się w nich gnane wiatrem chmury, co modrość tę zdmuchują i to złoto gaszą. Dziki, groźny świat! Strach iść tam, między te skały! Drogą tu – strumień, co po kamykach brzęczy, głosem – huk głazów toczących się w przepaście, pieśnią – skwir orłów wazących w powietrzu mrocznym ciężkie swoje skrzydła. Gdzie oko puścić, gdzie spojrzeć – kamień i woda. Taki świat!

Idzie Marysia sierota, twarzyczka jej pobladła, oczęta się zamgliły, serce struchlało w piersi. Idzie, ręce wyciąga przed siebie i szepcze:

– Prowadźcie mnie, góry, do królowej Tatry!

I wnet rozstały się skały wysokie i ukazały dolinki ciche, jasne, miękkimi ścieżeczkami wiodące, i zaszemrały zdroje żywe, każdy przędący nić srebrną i modrą, i zakrakał orzeł w powietrzu wiszący, a wszystkie te głosy zdawały się mówić wyraźnie:

– Idź, idź, idź naprzód, sieroto!

I szła Marysia, zasłuchana w huk wód i w huk głazów, i w szmery drobnych strumyków, i w szumy piór orlich. I szła, zapatrzona w ogromne budowania gór i w szczyty ich wyniosłe, pod samo niebo idące, w światła i w cienie ich, i w moc ich ogromną. A tak wielka była ta moc i ta siła, że piosenka sieroty umilkła, jak milknie ptaszę, gdy nań ciemność padnie. I szła ze struchlałym sercem, szepcząc i cicha:

– Ziemi! Ziemi! Ziemi!

Za Marysią dreptał Podziomek migając między skałami czerwonym kapturkiem i zadzierał brodę, mniemając, że on to sierotę wiedzie.

Ale nie tak było.

*Wiodły ją te skalne szczyty,
Ten świat górski, w niebo wzbity,
Wiodły ją te szumne zdroje
Na te zamki na pokoje...
Wiodły ją te orle pióra,
Ta stojąca w śniegach góra,
Wiodły ją te huczne wiatry
Do królewskich komnat Tatry,
Wiodła ją ta zorza złota –
Bo sierota!*

II

Stał dwór królowej Tatry na wysokiej górze; na górze tak wysokiej, że chmury u stóp jej leżały jako siwych owiec stada, a szczyt promieniał słońcem na czystym lazurze.

Dwa bory świerków wiodły do wrót zamku, dwie skały, dwa kamienie olbrzymi straż przed wrotami trzymały; dwa gaje kosodrzewiny rozścielały kobierce mchu na schodkach, do komnat królowej wiodących; dwa potoki dzień i noc lały po przysionku srebro z malachitowych dzbanów, wyrzeźbionych cudnie; dwa orły latały nad wieżycami zamku, dwa wichry wyły u jego progów jak dwa brytany; dwie gwiazdy sine paliły się w otworach wieżyc: zaranna i wieczorna jutrztenkowa gwiazda. I przestach, i zachwył ogarnął Marysię i duszka jej wstrząsnął, gdy się przed tym dworem znalazła.

Podniosła głowę i szeptała z cicha:

– Jezu! A gdzież to ja zaszła?

A wtem poszedł powietrzem huk jakby stu gromów i rozległ się chór świerkowego boru, który na czarnych harfach pieśń potężną grając tak śpiewał:

– ..Straszna i potężna jest królowa Tatra. Wysoko nad ziemią wzniesiona jej głowa! Korona lodów na skroni, śniegów zasłona spływa po jej szyi, mgły sinej szata postać jej odziewa. Jej oczy posepne i mściwe rzucają błyskawice, jej głos jest hukami potoków i grzmotów burzy. Jej gniew zapala pioruny i łamie bory, jej łoże, z chmur czarnych usłane, snu nie udziela nikomu, jej stopy gniotą kwiat każdy i każdą trawę... Jej serce kamienne nie wzrusza się nigdy i niczym. Straszna i potężna jest królowa Tatra!

Zadrżała Marysia chóru tego słuchając, który gdy umilkł, biły echa po przejściach, jako nawałnica staczając się coraz niżej i niżej, a grożąc dolinom cichym. Lecz ledwie echa te umilkły, ozwał się drugi chór, na lutniach srebrnych pieśń swoją grając.

Chór ten śpiewał:

– Dobra i litościwa jest królowa Tatra! Ona mgły cienkie przedzie, nagość gór odziewa, wianki z kosodrzewiny wije, na czołach im kładzie. Ona śniegi martwe w jasne potoki zamienia, pola i niziny wodą zdrojową poi, aby wydały plon chleba. Ona orłom siwym uchronę w domu swym daje, a pisklęta ich bezpióre w gniazdach wysokich kolebie. Ona w komorach swych chowa kozicę śmigłą i zakrywają przed postrzałem łowca. Ona okiem słodkim w doliny patrzy, kwiat w nich tchnieniem najświeższym od skwarów broni... Ona tka z aksamitnych mchów cudne makaty i wyścieła nimi przepaście tajemne. Ona wyżywia lud ubogi, co pól i zboża nie ma, a dziatki z góralskiej chaty uczy patrzeć w błękit, gdzie ma dom swój... Dobra i litościwa jest królowa Tatra!

Umilkł chór, a echa pieśni jego opadały w doliny coraz ciszej, ciszej, jak szmery wód i jak szumy lasów.

Słuchała Marysia i duszka w niej odżyła, a oczy napełniły się wdzięcznymi łzami. Kiedyć tak dobra ta królowa jest, to i jej, sieroty, nie opuści może... Podejdzie tedy bliżej, aż i słyszy, jak jeden z orłów rzecze ludzkim głosem:

– Idź śmiało, sieroto!

Spojrzała Marysia w górę, ku orłu owemu, i rzecze:

– Jakże pójść mam po tak stromej, po tak kamienistej drodze?

Na to orzeł:

– Nie lękaj się, ja ci pióro ze skrzydła mego zrzucę, to ci lżej będzie.

Zaszumiało pióro orle w powietrzu i u stóp Marysi spadło. Podjęła je sierota, do piersi przyciska, idzie lekko i żwawo, kamyków nie czuje, ziemi ledwo dotyka, w powietrzu prawie płynie.

Przebyła stromą ścieżkę, u wrót zamku staje.

– Jakżeż ja wejść – mówi – kiedy tam śniegi, lody?

A wtem spojrzy w górę, a tu promień słoneczny mówi ludzkim głosem:

– Nie lękaj się, ja te śniegi i lody ogrzeję!

I zaraz się uczyniła jakby złota dróżka, tak słońce zagrało na niej.

Idzie Marysia, zimna nie czuje; ot, jakby stapała nie po śniegu, ale po tym białym kwieciu, co z jabłoni w maju opada.

Tak zaszła do samego przedsionka.

– Jakże ja pójść dalej – rzecze – kiedy w potoku nóżki zamoczyć muszę?

A wtem spojrzy w górę, słucha, a tu mgielka mówi ludzkim głosem:

– Nie lękaj się, idź śmiało, ja ci most srebrny przez ten potok rzucę.

I zaraz się mgielka zaczęła nisko nad potokiem słać, tak gęsta, że Marysia przeszła po niej jak po srebrnej kładce.

I nagle się w progu królewskiej komnaty znalazła.

Struchlało serce w sierotce i już się porywała nazad bieć, nie mogąc znieść tej ogromnej jasności, jaka z komnaty biła, kiedy Podziomek, który nie mógł nadążyć dziewczeczce, nadbiegł dysząc srodze, a ujrawszy wahanie się Marysi, drzwi prędko pchnął i do komnaty ją wciągnął.

Zakrzyknęła dziewczyna, olśniona światłem i bogactwem komnaty, pełnej błękitu i zieleności majowej, wśród której na tronie siedziała królowa Tatra.

Spuściła Marysia oczy, nie śmie spojrzeć w lica królowej, stanęła w progu, poruszyć się nie waży ni przemówić słowa, i stoi tak zatrwożona w sierocym ubóstwie swoim.

Ale królowa Tatra skinęła białą ręką i rzecze:

– Kto jesteś, dziecko?

Marysia ustka otwarła, sili się przemówić, a nie może, tak jej głos w piersiach zamarł z wielkiego podziwu.

Tu więc Podziomek, fajkę za plecy założywszy, dwornie się skłoni królowej i rzecze:

– To jest pastuszka z Głodowej Wólki. Marysia sierota!

I znów szastnął nogami, kłaniając się z wielkim rozmachem.

Uśmiechnęła się królowa łaskawie na widok Krasnoludka, a potem zwróciła twarz cudną ku Marysi i pyta:

– Czego chcesz, sierotko?

Nie mogła już wytrwać Marysia i wyciągnawszy wychudzone ręce, zawołała:

– Gąsek moich chcę, jasna królowo! Gąsek moich żywych siedmiu; co mi je lis zdusił! I żeby gąsior znów gęgał do dnia, a gąski żeby mu się odzywały i szczypały trawę i żeby się znów na naszej łączce pały...

Tu buchnie płaczem i oczy rękami zakryje sypiąc przez drobne palce łyzy bujne, rześiste.

Zrobiła się cisza w komnacie, wśród której słychać było żalosne łkanie sieroty.

Aż skinie królowa Tatra dobrotliwie i tak przemówi:

– Wielu tu było i wielu próśby swe niosło. I prosili mnie o złoto, o srebro, o poprawę doli. Lecz taki, który by chciał odejść tym, czym był z początku swego, jako to dziecko chce – nie znalazł się tutaj. Niechaj się więc stanie, jak pragniesz!

Spojrzy sierota i zakłaśnie w ręce...

– Czy to sen, czy nie sen?

Z dworu królowej Głodową Wólkę widać jak na dłoni. Idą gościńcem pastuszki, z długich biczów rześiście klaskają, stada gęsi pędzą; a pod lasem na łączce siedem gąsek trawę skubie, gąsior gęga, siodłata mu się odzywa, a Gasio, psiak wierny, siedzi przy nich, ku lasowi patrzy i skomlać z cicha, na panią swoją czeka.

–Jezu!... Jezu!...

Zawołała Marysia, nie mogąc więcej słów znaleźć w tej ogromnej radości, jaka jej serce przenika:

– Gąski żywe! Żywe gąski!

III

Gdy tak sierota przez łyzy radośnie wykrzykuje, dotknie jej królowa i rzecze:

– Marysiu!

Ocknęła się dziewczyna, patrzy, co takiego?

Leży na ławie, na pęku siana świeżego, przykrytym jakąś płachetką. Przy ławie stół sosnowy, na nim parę garnków do góry dnem przewróconych, dalej duży komin z ogromnym zapieckiem; przed kominem leży zwinięty kot bury i pęk suchego chrustu, postronkiem z kulką związany. Nieco dalej cebrzyk z wodą i blaszanym półkwartkiem. Przez rozbite

okienko zaglądną do izby gałązki bzu, ciemnym liściem odziane. U stóp jej siedzą na zydelku dwa chłopaki jasnowłose, w zgrzebnych koszulinach, rozwartych pod szyją. Rumiane promienie zachodzącego słońca przez liście bzu się sypią i na śniadych piersiach obu chłopięt malują złote krążki.

Marysia gorącość wielką czuje, a w głowę coś ją ciśnie. Dotyka rączyną – głowa owiązana szmatką. Na ten ruch oba chłopięta poderwały się i do niej przypadły.

– Jakże ci? – woła jeden.

– Chcesz pić? – woła drugi.

Marysia patrzy, ale nie poznaje.

– Co wy za jedni? – pyta.

– My Skrobkowie, on Kuba, a ja Wojtuś! – odrzeczł starszy.

– A czyja to chata?

– Czyjaż by?... Skrobkowa!

– To skądże ja tutaj?

– A tatuś cię przyniósł i już!

– A skądże mnie wzięli?

– A toć z boru! Z miasteczka tatuś wracali i szli do boru, żeby sobie kija nowego wyciąć, bo mu się biczysko złamało. A tu jakiś psiak żółty skomle, za sukmanę tatusia targa, a do krzaków ciągnie.

– Mój Gasio! – zawołała Marysia. – Czy mu się co złego nie stało?

– Ej, jemu ta nic złego – odpowiedział śmiejąc się Kuba ale ciebie, niebożę, naleźli tatuś prawie że bez duszy, taj przyniósł do chałupy, taj już.

– A moja gospodyni?

– E!... Zarówno tam gospodyni! Lepiej się z nami zostań! My już tatusia prosili, żeby cię do gospodyni nie dawał!

– Tatuś mówią – dodał Kubuś – że mało chleba, ale się z tobą i tak podzielim, bo teraz w boru jest co jeść, to nie będzie głodu!

Na to Wojtuś:

– Ojej! Co ma być głód! Mało to jagód czerwonych i czarnych albo i grzybów! Zeszłoroczne orzechy też jeszcze gdzieniegdzie najdzie.

– Tatuś nawet rzemienia wziął na nas – zawoła ze śmiechem Kuba – tak my się napanarli.

– Wybił was? Za co? – spytała Marysia z przestraczem.

– E, wybić, to ta nie bardzo wybił, ino przestraszył trochę – rzecze śmiejąc się Kubuś. – Ale my het prosili, już i na rzemień nie patrzyli.

– To mnie tatuś zostawił tutaj?

– Zaraz to nie zostawił tak ze wszystkim! – objaśnił Wojtuś.

– Bo, powiada, trzeba się przepytac w Głodowej Wólce, czyja to dziewczucha.

– A pytał?

– Pytał. Co by nie miał pytać? Dowiedział się o twojej gospodyni.

– No i cóż?

– A cóż? Lamentowała, że cię wilki porwały, a później znowu lamentowała, że cię nie zeżarły, tylko że tu w chałupie leżysz chora. „Cóż ja – powiada – z chorą gęsiarką pocznę? Już mi się insza dziewczucha nagodziła, to ją trzymać muszę”.

– To są gęsi? – pyta radośnie Marysia unosząc się na ławie.

– A są! Cztery białe, a trzy siodlate! A jakże!

– Piękne gęsie! – dodał Kubuś z powagą.

Marysia przymrużyła oczęta, westchnęła, jakby jej kamień z serca spadł.

Coś tam jeszcze chłopcy szczebiotali, ale już tego nie słyszała Marysia, bo ją nagły sen chwycił z tej niemocy.

Kiedy się znowu obudziła, już było szaro.

Słońce zaszło. Z izbie nie było nikogo. Przez uchylone drzwi mrugały do Marysi złote gwiazdki, które po szafirowym niebie wędrując zaglądały po drodze do sierotki, aby się dowiedzieć, czy zdrowa.

Drzwi drgnęły, coś wpadło do izby, potraściło zydle i rzuciło się na dziewczynkę.

– Gasio! Mój Gasio! – krzyknęła słabym głosem Marysia tuląc psinę. – Nie zapomniałeś o Marysi sierotce? I posypały się jej z oczu łzy bujne a słodkie.

A tymczasem Gasio skomlał radośnie, ogonkiem kręcił i lizał jej śniade rączyny.

Ej, Marysiu, sieroto! Niejedna rzecz na świecie tak się składa jak sen dziwny, złoty. I niejedne łzy osusza litościwa ręka w śnie takim.

* * *

Tymczasem wielki dziw był w Głodowej Wólce, kiedy nowa gęsiarka gąski na łączkę pognąła. Przypatrywali się ludzie, głowami kręcili, medytowali tak, i tak, zgadywali różnie.

– Albo te same gęsi, albo nie te same!... Jakże mówicie, kumo?

– Jak mam mówić, kiedy mi się w oczach mieni. Może te, a może nie te! Siodłała większa jakby.. jakby okazalsza!

– Gdzie ona tam większa! Widzi mi się, że ze wszystkim krótsza.

– Aż dziwno, co o tych gęsiach powiadają ludzie: toć poduszone miały być, a teraz znów chodzą!

– No! no!... Osobliwość!

I rozchodziły się kumy kiwając głowami z dziwu.

Ale bardziej niżeli kumy dziwił się lis Sadelko. Chyłkiem, milczkiem skradał się on pod lasem, zachodząc to z lewej, to znów z prawej strony, a przypatrując się spod oka pastuszcze i jej małemu stadku.

– Co to jest? – szeptał sam do siebie. – Co się to znaczy? Albo tych gęsi już raz nie podusił?

I na samo wspomnienie oblizywał się szeroko po zbójckiej gębie.

– Skądże się znów żywe wzięły?

Niespokojny, złym przecuciem tknięty, pobiegł, ślaniając się pod drzewami, na polankę, gdzie je był, podusiwszy, poskładał. Patrzy, bielą się jeszcze w trawie śnieżne puchy, ale samych gąsek już nie ma.

– Okradziony jestem!... Zrabowany jestem!... Zniszczony!... – krzyknie wielkim głosem ów niecnota jakby najuczciwszy zwierz, któremu krzywdziciel pracę jego odejmuje.

I nuż się z wielkiego gniewu po ziemi tarzać...

Wtem spostrzegł jakieś niewielkie, żółtawe zwierzątko, w wysokiej trawie na dwóch łapkach stojące, które nastawiwszy duże, okrągławe uszki patrzyło na jego desperację bystrymi, czarnymi oczkami.

Zaraz się tedy porwał w wielkim gniewie, a jako był nie tylko okrutny, ale i przewrotny ów niecnota, zazgrzytał w kielce i wrzańcie:

– Ty, co się tu gapisz! Co sobie widowisko robisz?... Patrzcie go! Na łapy się oto wspiał jak na teatrze! Musiałeś ty widzieć, kto mi tu gęsi pobrał, kiedy tak podglądasz! Czekaj, zakarbuje ja to sobie na twojej skórze. Odpowiesz ty mi za to! W złąs godzinę mi tu w oczy wlaź!

Byłby może i wprost do gardła mu skoczył, ale ubogi chomik zaraz po pierwszych słowach Sadelka w trawę na łapy padł i prędko ku norce swojej dreptać począł, ogromnie wystraszony, iż tak słusznego zwierzka na siebie uraził.

Nie gonił go Sadelko na razie, bo co tylko był gołębia zdusił i czuł się sytym, schrupawszy go do ostatniej kostki; pogroził tylko w stronę chwiejącej się za śladami uciekającego chomika trawy.

– Czekaj!... Jeszcze my się spotkamy z sobą, jak będę kiedy na czczo!...Jeszcze ja się z tobą porachuję, ty wścibski!...

I poszedł w las, kipiąc złością i parsając srodze.

Sobótka

I

Sąsiedzi nie poznawali teraz ubożego Skrobka.

Po owej nocy wiosennej, wskroś której razem z wonią zroszonych traw i kwiatów leciała pieśń wielkiego mistrza Sarabandy, Skrobek powstał z progu swej lepianki jak gdyby innym człowiekiem.

Czy to były czary?

Nie, to nie były czary! Pierwszy raz tylko ów biedak przemógł ospałość swej myśli, swej duszy, pierwszy raz poczuł miłość do opuszczonego przez długie lata kawałka ziemi, do tego zagona bezpłodnie leżącego pod niebem, skąd i na niego przecież świeciło Boże słońko i deszcz rześny rosił.

Pierwszy raz poczuł ogromne natchnienie do pracy, więc i ogromną siłę.

Ta siła tak mu weszła w piersi, w ręce, w ramiona, że ledwo wytrzymał w beczynności do rana, a garść słomy, na której legiwał, wydała mu się nocy tej jakby mrowiskiem, jakby madejowym łóżem.

– Co zmarnowanego dobra i żywota! Co sił, po próżnicy i we mnie, i w tej ziemi zmarniały!

Że też na niego choć przed rokiem, choć przed dwoma nie przyszła taka godzina... Ot, czekała, czekała go ta ziemia cierpliwa, dobra... Czekala go, w dziki kwiat strojąc się i w dzikie trawy jak Cyganka, bo jej nie przydziała praca jego złotą szatą kłosów. Teraz on ją ustroi... Teraz ją ożywi... Teraz on syn, syn! A ona – matka rodzona!...

Piały już kury, kiedy umęczony myślami swymi Skrobek usnął wreszcie. Śniło mu się, że po modrym niebie chodzi, miesięcznym sierpem gwiazdy kosi i w stogi je wielkie u Bożych stóp składa...

Ot, taki sen złoty...

Ledwo świt, dobył Skrobek pieniędzy z garnka ukrytego w słomie pod strzechą i poszedł pług kupować i bronę do kołodzieja Wojcieszka, na drugi koniec wioski. Droga przez wieś pusta jeszcze była i cicha; ale Wojcieszek już okrakiem na stołku przed chatą siedział i śmigał drzewinę strugiem na dyszel pogwizdując na szpaka, co go u siebie od wielu lat chował.

Ledwo Skrobek na drodze się pokazał, już też szpak krzyczeć zaczął:

– Wojcieszku! Wojcieszku! Wojcieszku!

Kiwnął na to stary głową i rzecze:

– Gość idzie.

– Gość! Gość! Gość! – wrzasnął szpak gwizdzącym dyszkantem.

A w tej chwili przybliżył się Skrobek.

– Pochwalony!

– Na wieki! – odrzekł Wojcieszek, a tuż i szpak za nim.

– Zmyślny ptak! – rzecze Skrobek z dziwem. – Musi chyba u organisty w naukach był?

– I... nie! – Wojcieszek na to. – Samem go wyuczył. Człowiek sierota stary, odumarli bliscy i pokrewni, ust nie ma otworzyć do kogo, to się choć do ptaka, niemego stworzenia, odezwie. A czegoż to chcecie?

– A pługa. Ale to tęgiego pługa.

– No! Cóż tam będziecie orać i komu?

– Sobie! Sobie i dzieckom na chleb orać będę ów to ziemi szmatek, co go uroczykiem zwa.

– Ho?... – zadziwi się Wojcieszek. – Na tę ziemię toby potrza harmaty, nie pługa. To ziemia zastarzała... zadziczona... ciężko z nią będzie.

– Ciężko... ciężko... ciężko! – zapiszczał nagle szpak i kaszleć, i dychać zaczął jak zmęczony człowiek; bo i to potrafił.

Skrobkowi mdło się jakoś zrobiło pod sercem. Opadała go dawna ospałość jakby... Ale się wnet z niej otrząsnął i rzecze:

– Pług ma być tęgi, bo ziemia tęga jest i praca tęga, no i robotnik tęgi!...

Roześmiał się, wyciągnąwszy przed siebie żyłaste, w kułak ściśnięte ręce, i wesoło spojrział.

– Ha, no to się i zrobi! – rzekł Wojcieszek na to.

– Zrobi!... Zrobi!... – wrzeszczał teraz szpak bijąc radośnie skrzydłami.

Skrobkowi oczy palić się zaczęły, a czując wielką siłę duszną, prędko mówił:

– Uczyncież mi, Wojcieszku, grządziel taki, co by, jak się na nim zepnę, kamienie sam odwalał na prawo, na lewo, gdzie tyłuśko jaki! Uczyncież krój setny, jak słońce świecący, coby w samo serce ziemi szedł i pod samym sercem miejsce na ziarno czynił! Uczyncież odkładnicę rządną, coby skiby kładła ode wschodu słońca aż na zachód słońca, raz koło razu, równiśko, drobniśko, jakby w taniec szedł. Uczyncież mi i przetyczkę, i kółko, i rączkę – a rozłożysty, a tęgo, a mocno! A drzewo bierzcie co najspodobniejsze, nie z gąszcza borowego, ale z polanki, co skowronek ośpiewał, co fujarki obgrały, co z polem znające jest... Taki mi uczynicie pług!

– Pług! Pług! Pług! – krzyczał szpak wniebogłosy, chcąc Skrobka zagłuszyć.

A Wojcieszek uśmiechał się dobrotliwie i siwą głową kiwał.

– Po waszej woli! – rzekł wreszcie, gdy ptak umilkł nieco. – Po waszej woli! Umiem ja zrobić pług dla lenia i dla robotnego. Umiem zrobić pług pański i chłopski! Ho! ho! Ja i taki potrafię, co i w ziemię jak masło idzie, choćby tam kamień na kamieniu leżał!

– Róbcież z Bogiem, a w dobrą godzinę! – rzecze na to Skrobek rozwiązując szmatkę z pieniędzmi. – Daję, co mogę; a przyczynicież i bronę.

– Co nie mam przyczynić! – roześmiał się Wojcieszek. – Przyczynię taką zębatą jak wilk! Wyczesze wam ziemię jak baba konopie: moja w tym sztuka!

– No, to zostańcież z Panem Jezusem! – rzecze Skrobek, któremu już się ręce do siekiery i do karczunku rwały. – Za tydzień wrócę.

– Za tydzień – odrzekł Wojcieszek – i szczęść Boże w pracy!

– Szczęść!... Szczęść!... Szczęść!... – wrzeszczał szpak za wracającym się ku chatynce Skrobkiem, który tak prędko szedł, jakby mu z dziesiątek lat ubyło.

II

Dziwili się teraz ludzie, którym koło uroczyśka wypadła droga, co za człowiek taki o każdej dnia godzinie pnie siekierą w nim rąbie, chaszce i kamienie dobywa, na miedzę daleko toczy, krzaki tarniny kopie, piołuny i dziewanny siecze, ziemię spod dziczek wybiera.

Kto szedł, stawał i na robotnika tego patrzył, co tak wielki ogień w oczach miał, taki pot na czole kipiący, jakby z niedźwiedziem za bary szedł – a nie ustawał.

– Sprostowalibyście krzyża – mówili chłopci.

A Skrobek:

– Nie ten się gniewa, kogo praca gniewa, tylko ten, co go lenistwo i bieda przygina.

Przechodziły dziewczęta, więc patrzą i mówią cieniem, litościwym głosem:

– A toć na was potu jak tej rosy w trawie. Spocznijcież nieco!

A Skrobek:

– Nie będzie ten chleba jadł, kto ziemi nie urosi potem.

Idą baby, dziwiają się, głowami zawitymi w krasne chusty kręcą i mówią:

– Reta! Reta!... A toć się chłopisko na nic zerwie! Ani tego chleba nie poje, co go z tej ziemi zbierze.

A Skrobek:

– Nie pojem ja, to pojedzą inisi! Człeka dziś, jutro, a tej ziemi zawsze!

Ale choć Skrobek tak pracował pilno, nie ruszyłyby sam o swej mocy ani jednego z tych wielkich kamieni i pnia ani jednego nie dobyłby na wierzch, gdyby mu nie pomagały drobne Krasnoludki.

Nie widział ich chłop, bo takie się przytaić umieją, i nieraz się sam sobie dziwił.

– Hej, hej! Skąd się ta moc bierze we mnie? – mówił wywalając pień ogromny, co w ziemi na sążeń tkwił. – Czterech chłopów robić by tu co miało!

A nie widział, że tuż przy nim cała gromada Krasnoludków pień co siły pcha, okopuje, obrębuje, aż wióry lecą!

Skrobek raz siekierą z góry, a ci dziesięć razy; aż go i wywalą.

Chwyci się Skrobek kamienia i aż zadumieje. „Co u grzecha! – myśli. – Kamień taki, że to ha! a letko się toczy”.

A nie widzi, że gromada Krasnoludków razem z nim pcha; dźwignie on raz, a oni dziesięć razy!

Taką pomoc miał.

Więc się tylko ta robota paliła Skrobkowi w rękę. A kiedy przyszedł ósmy dzień, nikt by tego uroczyska nie poznał. Spod głązów i korzeni, spod krzów i zielska wyjrzała nowa ziemia do rannego słońca. Zaczerniały przed chatynką pnie wielkie, smolne, na opał zimowy złożone; legły na miedzy wysokie kupy chrustu i tarniny, gdzieniegdzie tylko sterczy po brzegu krzak głogu, żeby granice znać, a zresztą pole czyste, równe, górki rozkopane, doły zarzucone, a skowronek polatuje nad tą nowizną i śpiewa tak cudnie, tak rozgłośnie, jakby srebrne gęśliki grały na hejnał poranny.

Zapłakał z radości Skrobek, wiodąc pług nowy na zagon swój własny, czapkę zdjął, pokłęknał, ucałował ziemię z dzikości dawnej dobytą, grzmotnął się w piersi raz i drugi, a chwyciwszy za grządziel, zagłębił w rolę krój ostry, szeroki, w którym rozbłysło wielkim blaskiem słońce.

– A hej! – krzyknie chłop. – A hej, pole ty moje!

A pod gajem rozległo się szerokie echo:

„A hej! a hej!”

Tam na ostatniej miedzy śpiewał i klaskał w ręce wesoły naród Krasnoludków patrząc na oracza swego. Sam król Błystek we własnej osobie skinął złotym swoim berłem nad nowym plugiem, a błogosławił mu, aby chleba dobywał z ziemi w radości i w spokoju.

Ale kiedy wieczorem ze swego pólka, świeżą zielenią pachnącego, Skrobek do chaty wracał, mdło mu się zrobiło na wspomnienie tego brudu, jaki go tuż za progiem czekał. Tam na roli wonnie, czysto, tam nad rolę niebo jak modre jezioro, na którym we dnie pławi się słońce, a wieczorem pływa księżyc, srebrnym wiosłem skry krzesze, a z każdej skry gwiazda

jasna; a tu w chacie niechlujnej wszystko szare, zakopciałe, pyłem przysnute, śmieciem przytrzęsione.

„Już i w boru ładniej – myśli Skrobek. – W boru dziki chmiel po drzewach się wiesza, a w chacie pajęczyna od kąta do kąta. Na kroku czarne pióra świecą się jak woda, a na mnie i na moich chłopcach koszule ociężały z brudu. Nawet na jaszczurce onej skóra taka czysta, że się w niej słońce przejrzy, a chłopczyska moje umurzone tak, że można by rzepę na nich siać”.

Pochylił głowę zasumowany Skrobek, westchnął ciężko, do chaty wchodzi.

Lecz cóż to?

Izba jakby nie ta sama. Komin świeżą gliną wylepiony, pajęczyny omiecione, ława, stół, zydle pomyte, śmieci jakby nigdy nie bywało, cała chatynka uboga pojaśniała, wypiękniała nagle.

Przetarł chłop oczy, myśli, że ino patrzeć, jak się to wszystko gdzieś podzieje, ale izba stoi, jak stała, a w niej ład pachnie.

– Któż to tak tu gospodarował? – spyta Skrobek.

– A to Marysia sierotka i my też! – odkrzyknął Kubuś.

Skrobkowi serce zmiękło. Jakby lepsze czasy dla niego nastały. Jakby się dobro jakieś nad nim rozpostarło i przeniknęło przez oczy do duszy.

Przytulił troje dzieci do siebie, a gdy ujrzał, że Wojtuś i Kubuś mają włoski poczesane gładko i liczka umyte, łza ojcowska padła na trzy jasne główki, które ucałował kolejno.

A tu jak na toż jaskółka wraca do gniazdka, do swoich maleńkich piskląt na podwieczерze. Trzy razy zapędzała się i trzy razy wracała, nie mogąc chaty poznać, takie w niej zmiany. Dopiero obejrzawszy cały ów porządek, nucić i świergotać wesoło zaczęła:

Chłop... Chłop... Chłop!...

Pole swoje kop!

Chatę czysto rządź

I wesołym bądź!

Jak widzicie, nie była to bardzo ładna piosneczka, ale jaskółka, wiejska prostaczka, nie umie uczenie śpiewać. Za to jak wesoło, jak rażno! Aż się ludziom od tej piosenki lżej czyni na duszy.

I Skrobkowi uczyniło się dziwnie lekko, błogo. A iż przy pracy i w porze dnia znojnego też był prochem przysuty, po wiaderko sięgnął, do studni poszedł, ręce i twarz czysto obmył, czuprynę strząsnął i schludziwszy odzież, do misy kartofli wesoło z dziećmi siadł za stołem.

I tak już mu to zwyczajem zostało.

Chłopięta Skrobkowe, nienawykłe widzieć, aby się ojciec przed wieczerzą mył i żeby tak mile na nich patrzył, razem z jaskółką dziwiły się tej odmianie.

– Musi Wielkanoc będzie! – mówił z głębokim namysłem Wojtuś.

A Kuba:

– Musi tatuńcio wieprzka kupować będą!

Chodzili teraz obaj z wielką powagą, wystawiwszy naprzód brzuszyny, ręce w tył, głowy zadarte, włosy wodą przymuskane gładko, sami sobie dziwiący się, a z partesa stąpający bosymi nożętami, precz wyglądając owej Wielkanocy i owego wieprzka.

Dawniej ich Skrobek nierad przy sobie widział i nieraz odpędzał od siebie, żeby na ich głód i na nędzę nie patrzeć; teraz w pole ich za sobą wołał, na miedzy siedzieć kazał i słuchając ich dziecięcych głosków ocierał pot z czoła i szeptał z uśmiechem:

– Ciężko mnie, ale wam lżej będzie!

III

Dzień gasnął. Ogromna kula słońca staczała się cicho po zachodnim, stojącym w różanych światłach niebie.

Od boru noc szła miesięczna i złota wlokąc za sobą srebrnomgliste szaty.

W zroszonych trawach derkacz krzyknął tu, to tam; spod boru odhuknął mu bąk, ukryty w łożach; klucz żurawi płynął pod zachodnią zorzą, obwołując się w powietrzu przeciągłym kruczeniem; silna woń ziół i traw dyszała nad ziemią.

Wieczór to był świętojański, tajemniczy, dziwny wieczór taki, w którym ludzie rozumieją głosy zwierząt, ptaków i wszelkiego ziela.

Tego wieczora Skrobek doorywał pola. Szeroko, daleko słychać było jego pokrzykiwanie ochocze, różne:

–Wio!... Wišta, maluśka!... Wišta!... Wio!

Słuchały tego pokrzykiwania chłopięta Skrobka, siedząc na zroszonej ziemi na wprost wielkiej czerniejącej kupy chrustu i tarniny, przytulone do siebie lnianymi główkami i już drzemiące po trochu. To wielkie słońce gasnące, ta noc idąca w rosach obejmowały ich jakby miękkie, złotosrebrne skrzydła kołyszące do snu.

Naraz poruszył się Kubuś.

– Ziemia gada.... – rzecze z wolna sennym głosem.

Ale Wojtuś oburzył się na to:

– O!... Głupi!... Widzicie go!... Bo to ziemia ma gębę, żeby gadała?

– A nie?... A czym by prosiła Pana Jezusa o deszcz albo słońce?... I zioła gadają, i trawy...

– Słyszałeś ich to?

– Słyszałem.

– Cóż powiadały?

–A powiadały różności... O!... I teraz gadają!

Wojtuś nastawił uszu. Istotnie, od łąk, od boru szedł szmer i szept, jakby ciche głosy z tysiąca tysięcy piersi drobniuchnych idące...

– O! – powtórzył Kubuś.

Wytrzeszczył oczy starszy, bo mu się zdawało, że tak lepiej słyszeć będzie, i nasłuchiwał pilnie.

Ale głosy łączyły się teraz, zlewały w słowa coraz pełniejsze, coraz wyrazistsze, niby dalekie, a tak bliskie, jakby wprost do duszy szeptane.

Wyraźnie teraz usłyszeli obaj malcy coś, jakby brzęk, jakby śpiew, jakby dzwonek polnych dzwonek:

Cyt... cyt... cyt!...

Nim zorzą splonie świt,

Nim wschód zapali jutrzni znak,

Na senną ziemię sypmy mak,

Na sennie trawy — rosy łzy,

Na niskie chaty —ciche sny.

Sny ciche sypmy z srebrnych sit!

Cyt... cyt... cyt!...

– Słyszysz? – zaszeptał Kubuś.

– Słyszę, ale się boję – rzecze Wojtuś i silniej przytulił się do brata. A wtem głosy zbliżyły się i jeszcze wyraźniejsze się zdały:

Cyt... cyt... cyt!...
Wskroś złotych kłosów żyt,
Wskroś wonnych ziół, wskroś wonnych traw
Nasz taniec płynie kolem żwaw,
Nasz taniec płynie w cichą noc,
Co czarów ma i dziwów moc,
Wskroś puchów płynie, kwietnych kit...
Cyt... cyt... cyt!...

Zaszumiało, zatętniało nagle spod kamieni, spod ziół, spod krzaków, jakby lekuchne kroki wielu drobnych, śpieszących się stopek...

Chłopcy wstrzymali oddech, wytrzeszczyli oczy, wyciągnęli szyje – patrzą – dziw!

Tuż na miedzy, pod starą wypróchniałą gruszą, zaroiła się trawa od maleńkich, pstro przybranych ludków, którzy się za ręce pobrawszy, wesoło tańczyć zaczęli.

– Krasnoludki... kraśnięta! – szepnął Wojtuś.

A wtem miesiąc na niebo wszedł i całą polankę srebrnym światłem oblał.

– Król!... – zawołał Kubuś stłumionym głosem. – O!... Król...

I ukazywał palcem starą gruszę, z której wnętrza uderzyła wielka, biała jasność.

Oślepiiony tą nagłą jasnością, Wojtuś nie widział zrazu nic; po chwili dopiero ujrzał, że w wypróchniałym wnętrzu starej gruszy siedział stary, bardzo stary król, w białej szacie, w koronie, ze złotym berłem w ręku.

Już chciał Wojtuś krzyknąć: „Laboga!”, kiedy wtem z wielkiego stosu chrustu i tarniny, które Skrobek z półka swego dobył i na miedzy złożył, zaczęły się ukazywać małe Dolatujące iskry niby pszczoły złote i małe pełznące smużki ognia niby węże złote.

A jednocześnie zabrzmiał znów w powietrzu śpiew dzwoniący, cichy:

Cyt... cyt... cyt..
Czy słyszysz chrustu zgrzyt
Czy słyszysz złotych iskier trzask?
Czy widzisz złoty żaru blask ?
Czy widzisz, jak wskroś traw i ros
Sobótki naszej płonie stos ?
Jak ogień bucha aż po szczyt?
Cyt... cyt... cyt...

Jeszcze ten śpiew brzmiał, kiedy ze stosu chrustu i tarniny buchnęły jasne płomienie, w których jaskrawym świetle coraz szybciej, coraz lżej, coraz powietrzniej tańczyły Krasnoludki, tak że patrząc na nich, prawie się kręciło

w głowie.

– Reta!... Tatuńciu!... – woła Wojtuś w nagłym przerażeniu. – Reta!... Krasnoludki tańczą!

– Król... król! – szeptał Kubuś, wlepiwszy oczęta w gruszę, jakby urzeczony. – Król, tatuńciu!

I tulił głowinę w chude ramionka, jak to czyni ptak senny, drżąc od strachu i chłodnej rosy.

Ale Skrobek nie widział i nie słyszał nic. Pot mu zastygł na grzbiecie, ramiona się napężyły, oczy pałały ogniem wielkiej a cichej radości.

Doorał ostatniego zagonu uroczyska, pług w miedzę zatknął, a zdjawszy czapkę, spojrzął po szerokim, w miesięcznych blaskach stojącym niebie i rzekł silnym głosem:

– Dziękaj Ci, Panie Jezu Chryste, żeś mi w tej robocie dopomógł–amen!

I wzięwszy szkapę za uzdę, szedł dużym krokiem ku miedzy, gdzie siedzieli chłopcy. Szedł tak żwawo po tej pracy, jakby po najlepszym wypoczynku, lekki, radosny, do szpiku, zda się, kości przenikniony światłem i duszą tej nocy.

Szedł, a dokoła niego brzmiały stłumione, lekuchne, jakby unoszące się z niewidzialnych skrzypców głosy:

Cyt... cyt... cyt!...
Już oracz pracy syt.
My tańczym żwawo aż do dnia,
Dopóki jedna miga skra,
My tańczym aż do złotych zórz,
Nim brzask nasypie w błękit róż,
My tańczym, tańczym aż po świt...
Cyt... cyt... cyt!...

Jakby urzeczony, słuchał Skrobek śpiewania tego, wodząc wzrokiem po roztworzystej, zalanej blaskiem miesięcznym okolicy, a tuż przy nim, przy samych nogach, szedł silny, krótki cień jego, na ziemi odbity.

Spojrzał na niego Skrobek raz, spojrzał drugi raz i westchnął ciężko. Czyż nie tak samo, jak ten cień czarny, chodziła przy nim jego czarna dola?

Zwiesił głowę i zadumał się: owa powietrzna muzyka umilkła dla niego.

To i co, że zagon zaorany, to i co, że ziemia sprawiona?... A czymże on ją, nieborak, zasieje, kiedy ani ziarna nie ma, ani na ziarno grosza?

Co zarobił przy tartaku, co sobie za tych lepszych czasów w garnku uskładał, to wszystko poszło na pług, na bronę, na siekiere, na jadło, choć szmatkę z onymi groszakami ścisnął, aż mu piszczwały w ręku. A co pomoże ścisnąć, jak do kowala potrzeba albo na sól?... Toć ostatniego miedziaka onegdaj wydał...

To jakże teraz będzie?... Jak zaradzi tej świętej ziemi, która ziarna czeka?...

Tak w trosce swej zatopiony szedł Skrobek do chaty, a cień za nim; minął opłotki, cień za nim; doszedł do proga, cień za nim; jeszcze się i na progu ten niezbyty towarzysz położył. Kto wie, może się i do chaty wcisnął. Ale go już Skrobek nie widział, tylko czapkę na stół cisnąwszy, na ławie ciężko siadł i we frasunku się swoim pograżał.

Wtem drzwi skrzyły, a do izby weszła cichuchno Marysia wracająca z dalekiej wyprawy.

SPRAWA WIECHETKA

I

Co dzień teraz od samego rana rozlegały się we wsi tęgie uderzenia cepów, to w pojedynkę: łup, cup! łup, cup!... to w dwójkę: łupu, cupu! łupu, cupu! to w troje: łup, cup, łup! łup, cup, łup! to w czwórkę wreszcie: łupu, cupu, łupu, cupu! łupu, cupu, łupu, cupu! a coraz to prędzej, coraz zapalczywiej, aż echa pod borem były, tak się gospodarze zwijali, żeby z nowego plonu dobyć ziarno na siew w dobrą porę.

Jeden tylko Skrobek nie miał co młócić; jeden tylko Skrobek chodził smutny i bezczynny od chaty do pólka, od pólka do chaty, myśląc, przemyślając, skąd ziarna weźmie, czym rolę obsieje.

A ziemia jakby się sama o ziarno prosiła. Wygrzało ją słońce, oświeżyły rosy, bruzdy i zagony wyciągały się proste i równe pod cichym błękitem. Od brzasku do zmierzchu polatywał nad nimi skowronek, szary śpiewaczek pól ornych, i dzwonił przejasnym głosikiem:

*.. Dajże Bóg! Dajże Bóg!
Z tego pólka pelen stóg!
Z tego stoga setny kłos,
Z tego kłosa złota trzos!
Dajże Bóg, dajże Bóg!
Z tego pólka pelen stóg!...*

Słuchał tego Skrobek i trząsł głową, żałośnie wzdychając.

– Hej, ziemio ty, ziemio! – mówił. Zaorałem cię pługiem, zabronowałem broną, ale chyba łzami obsiać cię sądzono!

Tymczasem biją we wsi cepy: łup, cup! łup, cup! łupu, cupu! łupu, cupu! łup, cup!...

Biją cepy w złotą słomę, złote ziarno się z niej sypie, a co który młócek silniej uderzy, to żyto pryska daleko za klepisko, aż przed wrota stodoły, właśnie jak iskry złote pryskają, kiedy kowal młotem żelazo na kowadle bije.

Przed wrotami wrzawa niesłychana. Całe gromady wróbli spadają na uronione ziarno z pobliskiej topoli i krzyczą, i dziobią, i kłóćą się, i biją, a ruszy się co w pobliżu, to znów frr... na topól, jakby je wiatr zdmuchnął.

– Co te ptaszyska tak dziś wrzeszczą? – mówią sobie chłopcy. – Albo to na deszcz będzie, albo na pogodę.

A nie wiedzą, że między wróblami uwija się gromada Krasnoludków zbierając pilnie rozpryskane ziarno. Co wróbel chwyci jedno, to krasnoludek zgarnie dziesięć.

Taka robota!

Drą się tedy wróble, jak na gwałt, i aż przyskakują do onych czerwonych kapturków, nastroszywszy pióra; ale Krasnoludki bynajmniej się tych krzykaczy nie boją i spokojnie

sobie między nimi chodząc zgarniają w mieszki albo i w poły opończy co najcenniejsze ziarno.

– Naści, wróble, przetrącone, zjedz, niech ci idzie na zdrowie. Ale co pełne a całe, a złote – to na siew! Z jednego w ziemię rzuconego ziarna sto innych będzie. I człowiek się z nich pożywi, co nędzarzem jest, i dzieciom z tego chleba da, i wam się też, wróble, coś niecoś z reszty dostanie. – Tak mówią Krasnoludki zbierając ziarno.

Ale słów ich nie było słyhać przed wrzaskiem ptasiej czeredy, która sobie nic z mów takich nie robi. Ptak, jak ptak! Troski o jutro nie zna. Ani orze, ani sieje, i tak mu się dobrze dzieje. Jak dziś syt, to główkę podnosi i śpiewa. A przyjdzie jutro, tedy znów główkę podnosi i znów śpiewa, i opatrzenia dla siebie z ufnością i weselem czeka.

A tymczasem cepy wałą w słomę kłosisłą i złotą na każdy dzień, a Krasnoludki – na każdy dzień – pracują pilnie, a co nazbierają przez dzień, to do podziemia niosą i na kupkę sypią.

Podziemie suche, pod korzeniami dębu pięknie wybrane, brzożową korą wyłożone, aż się srebrzy całe. W górze otwór dla przewiewu, z boku otwór dla wejścia, a w pośrodku złociste ziarno celne, wysoko usypane, z ćwierć może! Takiego dobra nie można zostawić bez opieki, bez straży. Co dzień też jeden z Krasnoludków szufelką lipową ziarno przegarnia, suszy, otwór ku słońcu odmyka, a kiedy mrok się czyni, podmiata pękiem mietlic znów na kupę, a mchem górny wylot zatkawszy, iżby wilgoć z rosą nie szła, po czym się u wejścia kładzie i zasypia.

Alić pewnego razu opatruje się Słomiaczek, który dnia tego straż w podziemiu trzymał, że ziarna ubyło jakoś.

„Ha, uleżało się może!” – myśli.

I tak przeszła noc.

Na drugą noc ziarna znów mniej jakby.

„Ha – myśli Modraczek, który tej nocy stróżował. – Może uschło trochę!”

Ale na trzecią noc ubyło ziarna tak dużo, że się Biedraczek, który tej nocy kolej miał, za głowę chwycił i hałasu okrutnego narobił.

Ani wątpić, że ktoś podbiera zboże.

Zleciała się cała drużyna, patrzą, krzywda wielka! Gdzie! Ani połowy już nie ma!

Na nic tu żal, trza radzić. Idą tedy do króla po radę.

– Królu miłościwy – mówią – złodziej jest, co nam ziarno chwyta! Co czynić mamy?

– Chwyćcie i wy jego!

Więc znów drużyna:

– Królu miłościwy, złodziej jak wiatr w polu, sto dróg ma przed sobą, a kto go ułapi?

Tedy król:

– Sygnet i pieczęć wam daję, pieczętujcie wszystkie wejścia, żebyście wiedzieli, którą z tych dróg przychodzi, a którą odchodzi ów złodziej.

Bierze drużyna pieczęć, bierze sygnet królewski, zatyka wszystkie szpary mchem siwym, kratę z trzcin na mchu czyni, trawą co najdłuższą wiąże, pieczęcie na węzłach kładzie, sygnetem przyciska – straż stawia i czeka.

Przyszła noc. Cicho wszędzie, jakby makiem siał. Listek się nawet nie ruszy na drzewie. Ciemny lazur bez tchu nad ziemią wisi, gwiazd w nim, by piasku w morzu.

A mieli straż tej nocy przy dębie Mikuła i Pakuła, dwaj rodzeni bracia, z których król Błystek policję sobie nadworną uczynił, dawszy im piękne hełmy z dzwonek polnych na głowę, a szable z mieczyka, co kwiatem ognistym jak ułańską lancą z czerwoną chorągiewką wystrzela wysoko spośród liści wąskich a długich jak miecze.

Stoi Mikuła sztywny, jak gdyby kij połknał, stoi Pakuła prosty, jakby wystrugany z drzewa, a oczyma dookoła kręcą, żeby im nic nie uszło. Wszystko śpi w Słowiczej Dolinie: modra struga i trawy, i zioła; śpią muszki i ptaszęta, i żab chóry, i lilie wodne, i dąb ten stary, pod którym Mikuła i Pakuła trzymają straż wiernie.

Tak przyszedł świt.

Zrywa się drużyna Krasnoludków i do podziemia bieży; straż stoi, jak stała, pieczęcie leżą, jak leżały. Zajrzą Krasnoludki do wnętrza, a tam garsteczka tylko żyta, ledwie że co na dzień. Zdumieli.

Cóż to więc za szkodnik taki, co zamku nie ruszy, pieczęci nie złamie, a dobro zabierze?

Patrzą po sobie w przerażeniu, milczą, nikt nie wie, jakie tu przemówić słowo.

Aż rzecze król:

– Kiedy sygnet mój nie ustrzegł i straż moja nie ustrzegła, to nie ustrzeże nikt.

A wtem Pietrzyk, jako zawsze nowe myśli w głowie miał, zawołał z cizby:

– A co dostanę, miłościwy królu, jeśli złodzieja tego uchwycę?

A król:

– Głos za nim, gdy go sądzić będę.

Tu Pietrzyk:

– Co? Głos za złodziejem? Tego nie chcę! Aniby za takim łotrem palcem małym nie ruszył, gdy go wieszać będą! A niech mi król miłościwy da ową pieśń, przez mistrza Sarabandę spisana, z której teraz Półpankowi nic, bo głos utracił.

– Niech i tak będzie! – rzecze król i skinął berłem.

A była spisana pieśń ta na listkach róż polnych i na motylich skrzydłach najczystsza rosą majową, tak cudnie, iż ją chowano w skarbcu jako klejnot drogi.

Skoczył Pietrzyk na łokieć w górę z radości, króla za kolano uściskał, znów skoczył i jak wiatr polem ku lasowi śmignął.

II

Brzask już szedł i w lesie ptactwo budzić się zaczęło, kiedy Pietrzyk chatynkę babuleńki znalazł i w drzwiach niskich stanął.

Ubogo tam było, jeden stołek, komin, tapczan lichy, a zresztą zioła i zioła!

U pułapu, po ścianach, na ubitej ziemi, w koszykach, w płachtach, w wiązках, w snopkach całych – nic, tylko zioła!

Duszny, zmieszany zapach mięty, macierzanki, lawendy, rumianku, melisy i innych tysiąca napełniał izdebkę jedyną, w której by się udusić było można od tych silnych woni, gdyby nie to, że strzechę miała na wylot, na lazury nieba otwartą, i tylko w szczytach skrzydłami sowy krytą.

W izbie siedzi babuleńka u komina, złote nici na kołowrotku przedzie, cichym głosem stare pieśni śpiewa, z cichym turkotem wrzeciono złote puszcza.

– Witajcie, babuleńko! – przemówi w progu izby Pietrzyk.

Podniosła babuleńka głowę, rękę przyłożyła do oczu, patrzy pilnie, aż poznała Pietrzyka, który już raz po igłę dla Półpanka do jej chatki latał.

– Witaj, przewitaj! – zawołała. – A wejdźże w dobrą chwilę! Czegóż ci potrzeba?

Wszedł Pietrzyk, pokłonił się nisko, babuleńkę w zmarszczoną rękę pocałował i rzecze:

– Rady mi potrzeba! Złodziej nam dobro bierze, a chwycić go nie możemy! Taka bieda!

Słucha babuleńka, słucha, przestała nogą trącać kołowrotek, złote wrzeciono puściła na ziemię, złotą nitkę w palcach trzyma, chwieje głową siwą i głęboko myśli.

Aż spyta:

– A co złodziej bierze?

– Ziarno bierze – odpowie Pietrzyk z wielkim oburzeniem. – Siewne ziarno bierze, niecnota!

A babuleńka:

– Dosypcież mu jeszcze i pereł do ziarna tego!

– Co! – krzyknie Pietrzyk. – Jeszcze i pereł? Złodziejowi, co nas okrada z ziarna, mamy jeszcze pereł dosypywać? Babuleńko!... Chyba ci się od starości w głowie pomieszało!

Ale babuleńka już podjęła złote wrzeciono i puściwszy w ruch kołowrotek, złotą nitkę ciągnie...

– Dosypcie mu pereł – raz jeszcze rzecze i jakby Pietrzyka nie było, piosnkę starą zaczyna śpiewać cichym, drżącym głosem.

– Babuleńko! – zawołał Pietrzyk na to. – Szedłem do ciebie jak do matki własnej, jak do matki rodzonej, szedłem do ciebie po radę. Nie szedłem do Dnia ani do Nocy, ani do Słońca, ani do Księżycy, tylko do ciebie, babuleńko, bo wiem, żeś mądra i że mądrość twoja z wielu nocy, i z wielu wschodów i zachodów słońca i księżycy jest. A ty mnie tak przyjmujesz? Taką radę dajesz? Zostańże więc z Bogiem, bo widzę, że się oszukał.

Mówił to z żalem wielkim w głosie i z urazą w sercu, a zabrawszy się ku drzwiom szedł.

Już w progu był, kiedy babuleńka piosnkę swą przerwała wołając za nim:

– Pereł... pereł mu dajcie! Pereł dosypcie!...

– Aha!... Akurat!... – mruknął Pietrzyk i w drogę ruszył żalując straconego czasu.

Ale głos babuleńki tak urósł, tak się wzmógł, tak wielkie kręgi powietrzne jedne po drugich trącał i napępiał, że choć Pietrzyk daleko już był, jeszcze głos ów leciał za nim, nad nim, przy nim, a precz wołał:

– Pereł... pereł dosypcie mu!...Pereł!...

Zastanowiła Pietrzyka ta wielka moc głosu, która nie z czego, tylko z wielkiej prawdy musiała iść, więc nagle się zatrzymał i rzekł:

– Ha! Może to tak trzeba! Może tak i trzeba!

I pilnie rozważać począł, jak i co czynić mu należy.

– Co będzie, to będzie – rzekł wreszcie. – Szubienicy przecież nie będzie!

A jako zawsze był śmiały a przygód różnych łakomy, zaraz się z dobrą otuchą do domu wracał i przed króla szedł.

Miłościwy królu! – rzecze. – Ile pereł zawierzyłbyś mi w tę noc dzisiejszą?

A król:

– Kto zawierzy jedną, zawierzy i wszystkie. Aleja wierność twoją więcej sobie niżli perły cenię. Więc Pietrzyk na to:

– Niechże ci będą dzięki za to słowo, miłościwy królu! Garść pereł mi zawierz, a mam-li złodzieja owego dostać, to go dziś dostanę.

– Idź a weź – król na to.

I zaraz wołał skarbnika, żeby garść pereł nie licząc ich Pietrzykowi dał. Ścisnął Pietrzyk kolano pańskie dziękując, a że serce miękkie miał; więc jedną i drugą łzę otarł ukradkiem, po czym, roześmiewszy się wesoło, szedł perły brać.

A już zmierzch padał na świat.

Zebrały się Krasnoludki, patrzą ciekawie, co będzie, a Pietrzyk z ową garścią pereł prosto do owego spichrza w ziemi idzie i między ziarno je ciska.

– W imię twoje, babuleńko! – rzecze. –I starej mądrości twojej!

Po czym się ku towarzyszom obróciwszy, dodał:

– Nie trzeba dziś straży ni pieczęci! Mikuła i Pakuła! Ruszajcie spać, druhy! Ja sam tu zostanę!

I zaraz na wzgórkę siadł, głowę o kamień wsparł i za odchodzącymi sennym okiem patrzył.

Ale od wschodu ruszył się wiatr mały i trawą szeleścił, właśnie jakby szmery i szepty powietrzem szły.

Pietrzyk wszakże, mało na owo to szeptanie zważając, iż znużony był drogą, jak chrapnął, tak się dopiero o świcie przebudził. Przebudził się, patrzy, a tu prawie u nóg jego widnieje jakby dróżka od wzgórza ku uroczysku perlami owymi usypana, co je między ziarno rzucił.

Zakrzyknął tedy i porwał się za tym znakiem bieć, a tuż i drużyna Krasnoludków za nim.

Bieży Pietrzyk, staje i znów bieży: co sto, co dwieście kroków da, to perła leży, ot, jakby ktoś z prędkości, wszystko razem chwyciwszy, i ziarno, i perły, potem to, co mu na nic, ciskał, a tylko ziarno z sobą brał.

„Oj, mądra ty, mądra, babuleńko!” – myśli Pietrzyk i już uroczyska za śladem owym dopada. Spojrzy, perła ostatnia w bruździe głębokiej leży, a tuż grudka ziemi ruszona... a pod nią jamka.

Schylił się Pietrzyk, rozgrzebuje ów wzgóreczek ziemny, a tam dwie, trzy perły toczą mu się przed oczyma w głębie.

Zakrzyknął na drużynę: kopią, aż się dokopali dużego lochu, w którym owo chwyczone ziarno leżało wszystko prawie.

Przy nim skulony siedział szczur polny i jego rodzina.

–A tuś mi! – krzyknie Pietrzyk i za kark chwyci szkodnika. – Mikuła! Pakuła! Bywaj jeden z drugim!

Pisnął szczur przerażony, próbując wymknąć się i uciekać, ale policja nadworna tak go nasiadła, że się poddać musiał.

Triumf był niezmierny!

Z okrzykami, ze śpiewem wracały Krasnoludki z wyprawy, wiodąc jeńca i niosąc worki z odzyskanym ziarnem na powrót do swego podziemia.

III

Uroczyście, wspaniale otwarł się sąd królewski w Słowiczej Dolinie. Król jegomość wystąpił w całym majestacie. Purpurowy płaszcz jego niósł za nim opasły paż Krężolek, złota korona błyszczała na królewskiej głowie, a brylantowe berło siało takie blaski jak wschodzące słońce.

Przed stopniami sali sądowej stał oskarżyciel państwa, bystry Kocie-Oczko; tuż za nim Mikuła i Pakuła w paradnych mundurach; dokoła, lecz w pewnym oddaleniu, tłoczyły się Krasnoludki, a wszystkie oczy zwrócone były na oskarżonego.

Stał on pochylony, skurczony, w ubogiej sukmance na grzbiecie, mając przednie łapki mocno związane za plecami, pozieleniały ze wzruszenia i ze strachu, a tak drżący, że nogi widocznie trzęsły się pod nim jak w febrze.

Właśnie wymowny Kocie-Oczko, skończywszy przedstawiać jego winę, żądał surowej kary: już co najmniej powieszenia na najwyższej gałęzi dębu oraz zwrotu strat i kosztów procesu.

Szanowny oskarżyciel aż zachrypnął w ciągu tego wywodu i fularem ocierając zapocone czoło sapał głośno.

Król skinął berłem i zapytał sam:

– Jak się zowiesz, nieszczęśniku? Zsiniął szczur i na nogach się zachwiał, aż popchnięty ku królowi przez Mikułę:

– Wiechetek, do usług! – rzecze cichym głosem.

A król:

– Dlaczego zabrałeś to ziarno?

– Głodny byłem... nędzarz byłem, dzieci moje konały z głodu...

– Ale głód nie daje prawa do cudzego mienia. Czy nie tak?

– Tak, miłościwy królu! – odrzeczcie Wiechetek drząc cały.

– Więc cóż masz na swoją obronę? – spytał król.

– Nic... prócz głodu... Głód... straszny głód...

– Ale nie mogłeś i przy największym głodzie zjeść tej miary zboża. Dziesiąta część wystarczyłaby tobie i dzieciom twoim.

– Zimy się bałem... Najmiłościwszy królu... Zima strasznie długa, ciężka... Połowa moich dzieci wyginęła tamtej zimy, królu! Ach, jak cierpiały strasznie!... Najmłodsze... najmłodsze dziecko moje, królu, umierało w oczach moich z głodu... Sześć dni, sześć nocy patrzyłem na to... i żyłem... żyłem... i nie mogłem sam za niego skonać... nie mogłem!

Odwrócił król oblicze sędziwe, na którym malowała się litość, a w drużynie Krasnoludków słychać było ciche łkanie. To Pietrzyk płakał.

Wiechetek mówił dalej:

– Po najmłodszym umierał starszy... Starszy syn mój, królu, umierał w moich oczach... Dziesięć dni, dziesięć nocy konał... i ja patrzyłem na to... i nie mogłem umrzeć za niego sam, choć umierałem z nim razem!

Zmarszczył król brew, żeby powstrzymać łzę nadbiegającą do oczu; w drużynie Krasnoludków słychać było głębokie westchnienie; Pietrzyk łkał głośno.

Wiechetek mówił dalej:

– A potem umierał trzeci. Trzeci syn mój, królu, umierał... Z głodu syn mój umierał, o królu, a ja patrzyłem na to... w moich oczach..., królu, syn mój umierał z głodu... A ja nie mogłem umrzeć!

Wtem począł się trząść bardzo i zmrużywszy oczy:

–Głód... głód... głód...–szeptał nieprzytomnym głosem. Ale król Błystek podniósł berło i rzekł:

– Srogim być muszę, boś zawinił srodze. Ziarno to było siewne, na siew dla podobnego tobie nędzarza przeznaczone, który też głodne dzieci ma. Niech się nad tobą spełni sprawiedliwość.

– Śmierć! Śmierć złoczyńcy! – zawołał Kocie-Oczko.

– Śmierć! – powtórzyli za nim Mikuła i Pakuła jednym srogim głosem. Wiechetek stał jakby porażony, trzęsąc się i patrząc obłąkanym wzrokiem.

Król odwrócił się i już miał sądny tron opuścić, kiedy wtem Pietrzyk rzucił się ku niemu z tłumu i do nóg mu padłszy zawołał:

– Głosu chcę za nim! Głosu za skazanym, miłościwy królu! Głosu, któryś mi sam dać chciał. Głosu! Głosu chcę!...

– Więc go masz! – rzecze król; schylił się ku niemu i dotknął go berłem łaskawie.

A Pietrzyk z łkaniem:

– Więc przebacz! Przebacz, królu dobry! Przebacz! Powiedz, powiedz, królu, że przebaczasz! To pieśń moja będzie! To moja najcudowniejsza pieśń będzie! Moja jedyna!

A inszej nie chcę! Nie chcę!...

Zapłakał stary król widząc taki gwałt żalości w ulubionym słudze i rzecze:

– Zwyciężyłeś, Pietrzyku! Zwyciężyłeś miłosierdziem sprawiedliwość moją. Niechże się stanie po twej woli! Tu skinął berłem i rzekł:

– Puścić mi wolno nędzarza tego i nakarmić dzieci jego!

Ze stołu mego mają odtąd pożywać chleb dzieci jego. A ziarno dziś jeszcze oddać oraczowi i ziemi, która siewu czeka.

Po same łokcie roboty miała sierotka, zanim jako tako chatę Skrobkową oprzątnęła. Zaglądała też raz po raz i do ogródka. Opuszczenie tam było takie, że Marysię za serce targało.

„Gdyby tak trochę konopi! – myślała. – Dopieroż by była uciecha: sprzątnąć, osuszyć, wymiędlić, a w późne zimowe wieczory prząść nitki złociste!”

Matka przy takiej robocie siadywała i śliczne pieśni śpiewała...

„A gdyby ze dwa zagonki kapusty! Ziemia czarna, rodzajna, główki kapusty byłyby wielkie jak dynie”.

I zamyślała się Marysia sierotka, jak by z wiosną do tego ogródka ręce przyłożyć.

„Na wiosnę – myśli – tu jużci trzeba w tym ogródku zacząć się grzebać. Ale czy to sama jedna dziewczucha da temu rady?”

Nagle klasnęła w ręce:

– A Wojtuś, a Kubuś! Toć to robotniki gotowe!...

Ale nie tylko ten biedny, pusty, zachwaszczony ogródek frasował Marysię. Coraz częściej napastowała ją tęsknota do owych gąsek, do owej górki ze złocistymi kwiatkami, do Gasia, który czasem na tej górce przylegał u jej nóg po słonecznej stronie, to znów zrywał się i gąski obiegał dokoła, poszczekując raźnie.

Aż raz obrządziwszy się w chacie wyszła sierota na pobliskie błonie. Patrzy – w wysokich badylach mignęło jej coś z daleka, jakby czerwona spiczasta czapeczka.

– Podziomek! – krzyknęła Marysia i porwała się biec do niego.

Kołatało jej serce, dziw, że nie roztlukło wychudłej piersi; a Marysia wciąż biegła.

Kapturek ukazywał się coraz bliżej. Już, już wpadał w zarośla. Marysia ku zaroślom się rzuciła.

Tak by rada Podziomek zobaczyć, popytać go... O co? Sama jeszcze nie wiedziała. Ale niech go tylko nagoni! I podziękować by mu za wszystko rada: za gąski, co żyją, za kątek w chacie Skrobkowej, za Wojtusia i Kubę, którzy jej jakoby bracia są...

Więc pędziła co tchu za migającą coraz dalej czapeczką, tak prędko, jak jej gęsta łoża pozwalala.

Nareszcie czapeczka znikła i nie pokazała się więcej.

Stała tedy Marysia patrząc dokoła. Gdzie ona zaszła? Toć już niedaleko i zarośla się kończą... Jak luna ognista przyświecała między nimi czerwoność zachodzącego słońka. A dalej las widać, las dobrze jej znajomy. Toż ona zabiegła aż na drugi koniec sąsiedniej wioski, Wólki Głodowej. Postąpiła jeszcze kilka kroków. Może chociaż swoje białe, swoje siodłate, swojego Gasia zobaczy.

I oto ujrzała, skryta pośród gęstwiny, jak dokoła wypalanej od skwaru górce skubią gąski trawę spokojnie, koło nich biega wierny Gasio, a na pobliskim pszeniczysku to schyla się, to się podnosi dziewczynka, nowa pastuszka, i zrywa zapóźnione maczki, bławatki, kąkole, aby z nich uwić równiankę. Marysia zatrzymała się w zaroślach, poglądając na wszystko ciekawie.

Tymczasem słońko zaszło, pastuszka spędziła gąski i przy pomocy Gasia poprowadziła je do domu. Poszczekiwał Gasio szczególnie na tę białą, która i przy Marysi zwykle opóźniała się za stadem; dopiero gęsiarka postraszyła ją gałązką i biała tuż koło gąsiora podreptała w pierwszym rzędzie.

Znikło stadko za górką, a Marysia ciągle jeszcze stała w zaroślach. Myślała, że kiedy już nie z Podziomekiem, to przynajmniej z Gasiem, ze swymi gąskami witać się będzie – ot, poszło to wszystko i Marysia z nimi się nie witała!

Po prostu zlekła się nowej gęsiarki. Taka nieśmiała dziewczynina!

Ale teraz, kiedy nikogo nie ma, chyba że się odważy chociaż chwilkę posiedzieć na swojej dawnej górce.

Rozgarnia chaszczę... co to? Na ziemi leży nieżywy chomik, a niedaleko nieżywy także Sadelko. Obaj mają poszarpane futra i głębokie szerniałe już rany.

Załamala ręce Marysia – i usta otworzyła z dziwu.

Sadelko, jak Sadelko, ten zgrozą przejmował Marysię. Ale chomik! Czyżby to był jej chomik?

Biegnie Marysia do jego norki, rozgarnia gęste badyle, stłoczone tu i ówdzie. Kłaczki sierści płowej chomika i rudej lisa poczepiały się ździebeł, na listkach jak korale wiszą zastygłej krwi krople, wejście do nory nieco rozgrzebane i pazurami zryte. Stała zadumana Marysia.

– Biedny chomik! – rzecze.

I pewno, że biedny. Dotrzymał mu groźnej obietnicy okrutny Sadelko i cały gniew srogi, iż gąski znów żywe, wywarł na ubogim zwierzątku. Ale i chomik też winien. Czemuż tak obojętnie patrzył na czającego się ku gąskom lisa? Czemuż nie ostrzegł pastuszki albo chociaż Gasia? Nie byłoby nieszczęścia tego z gąskami, a lis musiałby się wynieść, gdzie pieprz rośnie.

A teraz leżysz, nieszczęsny chomiku, bez życia! Tak to, sam o siebie tylko dbając, zgubiłeś sam siebie!

Patrzy Marysia, niedaleko, o parę kroków od nory trawa wygnieciona. Tu więc czaił się na chomika Sadelko, stąd skoczył na niego, tylko widać, że suchym badylem zaszeleścił i chomik się opatrzył, a ku swojej norce się cofnął. Ale i tam ścigał go rozbójnik Sadelko. Raz grzebnał łapą i już był w jamce. Więc wszczęła się walka zajadła. Ciął chomik Sadelka głęboko, śmiertelnie, ale wnet zaduszony i w krzaki zawleczony został. Rad by Sadelko ciągnąć go dalej, aż do swojej nory, ale i z niego uciekało życie.

Biedny chomik! Jeżeli co pocieszyć go mogło w ostatniej godzinie żywota, to to, że w tym śmiertelnym boju z okrutnym zwierzem okazał niezwykle męstwo. Jakoż skoczyć wprost do gardła takiemu Sadelce, nie pytając, co się stanie, to przecież bohaterstwo nie lada.

Zginał sam, ale i wróg jego zginał także, choć o tyle większy i silniejszy.

A tak, jeden drobny chomik, okupując śmiercią poprzednią obojętność swoją na sprawy ogólne, uwolnił całą okolicę od srogię i przewrotnego zbrodniarza.

Tymczasem Marysia patrząc na poszarpane futerko poległego chomika, na jego dawniej tak bystre, a dziś zagasłe oczki, na sterczące nieruchomo a groźnie wąsiki, którymi dawniej tak pocieszenie ruszał uczuła taką litość i taką żalność w sercu, że spod spuszczonej rzesów posypały jej się po zbladłej twarzyczce łzy bujne, srebrzyste.

Przykucnęła, płacząc, na ziemi obok chomika i mówiła do niego słodkim głosem, tak jakby zwierzątko mogło ją słyszeć jeszcze:

– Nie bój się, nie bój, mój biedaku! Nie zostawię ja ciebie tutaj przy tym szkaradnym lisie, przy tym przebrzydłym zbrojniku! Wezmę ja cię ze sobą, niebożę! Zakopię cię w Skrobkowej zagrodzie, pod wielkim dębem, głęboko! Listeczkami dołek wyściele... Listeczkami ślicznie cię nakryje... Będiesz sobie leżał cichuchno, pięknie... Nie zostawię cię tutaj, nie! Przynajmniej jednego przyjaciela z tych dawnych czasów będę miała blisko...

I zaraz zaczęła szukać zielonych gałązek jedliny, nakryła nimi chomika i do fartuszka go wzięwszy, przysypanego żywiczną zielenią, ku chacie wracała z pośpiechem. Gdyby była przed odejściem choć raz rzuciła okiem na kępę rosnących nie opodal łopianów, ujrzałaby, jak ich wielkie, okrągłe liście chwieją się, choć nie było najmniejszego wiatru, i jak wśród liści coś czerwonego jakby płomyk miga.

Jakoż, ledwie że skręciła na ścieżynę wiodącą do Skrobkowej zagrody, kiedy liście owe rozchyliły się z wolna; a znajomy nam ze sprawy Wiechetka Krasnoludek, Pietrzyk, ostrożnie spod nich wyszedłszy, zapytał cichym głosem:

– Wzięła?

A na to spośród badyli zakrywających chomikową norkę dał się słyszeć głos drugi, też cichy:

– Wzięła!

I równie ostrożnie, jak Pietrzyk z łopianów, wyszedł z badyli Podziomek trzymając palec na ustach.

Ale Pietrzyk, jako z natury bardzo żywy i pohamować się nie umiejący, zaczął skakać wołając radośnie:

– A to nam się udało! A to się udało!

– Cicho, wariacie jakiś! – syknął Podziomek, chwytając go za rękę. – Taki wrzask czynisz, jakbyś tu sam był! Usłyszysz cię jeszcze...

– I... skąd?... Świerszcze pod wieczór tak grają, że wszystko het precz zagłuszą! Ale powiedz sam. Udało się! He?

– Co się nie miało udać! Taka pocziwa dusza, to i sama z siebie do litości skłonna.

– Pewnie że!... Miód nie dziewczyna! Z inną by nie poszło tak łatwo.

– Aleś też o tym dębie i o tym pogrzebie tak głośno podszeptował, zem aż struchlał, czy się nie obejrzy na łopiany!

– Ja zawsze tak! Prosto z mostu! Co będzie, to będzie! No, i widzisz, że ani się spostrzegła.

– Ależ mi – Podziomek na to – kolana ścierpły! Toć ja w tych badyłach od rana już siedzę, a mrówki od chomika oganiam pręcikiem, żeby Marysia dotknąć go się nie bała.

– A ja – Pietrzyk na to – myślałem, że nogi połamię, jakem przed nią leciał do Głodowej Wólki, żeby ją w to miejsce sprowadzić. Myślała nawet, że to ty, bom ze wszystkim tak kaptur na głowę nasadził i to fajczysko od Modraczka wzięłem, żeby cię lepiej udać! Uh! Jakem też wpadł w te łopiany, myślałem, że wrzasnę... Wyobraź sobie, pokrzywa w nich rosła. Żeby mi nie o króla jegomości szło, to bym nie pytając wyskoczył... Ale cóż! Naparł się król, żeby koniecznie i koniecznie to ziarno Skrobkowi przez sierotę przyszło... Niby to, że ją przytulił w swej chacie...

– Pocziwe królisko!...

– No, to idźmy za nią... Ostrożnie tylko.

– Wiesz co, Pietrzyk? Zzuj ty lepiej buty, bo ci strasznie skrzypią...

– Ja, buty? Jeszcze co! Możesz sam boso lecieć, boś do tego pewno u owej baby przywyknął, gdzieś podrzutkiem był. Ale ja! Dworzanin rękodajny króla jegomości! Także koncept!...

– Jak nie, to nie! No, idźmy! Tylko nie skrzyp!

– Co mam skrzypieć!... Idźmy!

I wzięwszy się za ręce, zaczęli milczkiem za sierotą iść: Pietrzyk unosząc się na palcach długich czerwonych butów, które istotnie skrzypiały jak wóz nie nasmarowany, a Podziomek kłapiąc ogromnymi pantoflami, które mu co chwila z nóg spadały.

V

Tymczasem księżyc wyblęsnął na niebie i ślicznym, srebrnym światłem rozjaśnił drożynę. Drożyną szła Marysia, aż biała w miesięcznym świetle, wznosząc główkę ku niebu, a chudymi rączynami mocno ściskając końce fartuszka, z którego sterczały gałązki jodłowe, nakrywające biednego chomika. Szła spiesznie, bo to i owo trzeba było jeszcze obrządzić w chacie przed nocą, a idąc rozmyślała, czy mówić o chomiku Wojtusiowi i Kubie, czy nie mówić? Lecz gdy się tak wahała w sobie, coś jakby zaszeptало tuż przy niej: – Nie, nie!

Chłopcom mówić nie trzeba! Jeszcze by wygrzebali chomika! Dobre chłopaki, prawda, ale ich zawsze do figłów ciągnie. Lepiej nie mówić, nie!

Marysia zdawało się, że to jej myśli tak szepcą, przyspieszyła tedy kroku, nie widząc nawet, że obok jej cienia, odbitego księżycowym światłem na drożynie, porusza się malutki cień jakiś.

Był to Pietrzyk, któremu niezmiernie chodziło o to, aby Marysia sama pochowała swego chomika, i który skoczył podszeptać jej to postanowienie, po czym w dwóch ogromnych susach przy Podziomku stanął.

– Cóż ty dziś dokazujesz! – zawołał z cicha Podziomek, gdy mu Pietrzyk w tym skoku kaptur z głowy zrzucił.

A Pietrzyk: – Ach! Takim rad! Takim rad, że się król ucieszy; żeby nie to, że za dziewczyną muszę, to bym ci tu kozły śmigał do białego rana!

– A to po co?

– Jak to: po co! To nie wiesz, że jak Krasnoludki po księżycu kozły śmigają, to się baby kłóca?

– No i cóż z tego?

– A nic. Niech się kłóca! Sobota jutro, masło robią baby, a jak baba zła, to najprędzej masło ubije w maślnicy. Zobaczysz, jaka maślanka będzie tłusta!

– Tobie zawsze głupstwa w głowie!

– Głupstwa? Zastanów ty się, co mówisz. Maślanka tłusta to głupstwo?...

Ale Podziomek rękę mu na ramieniu położył.

– Słuchaj, Pietrzyk! – rzekł. – Trzeba nam kroku przyspieszyć, bo już widać Skrobkową chatę. Naszykowałeś ty tam jaką motykę pod dębem?

– Co nie miałem naszykować? Stała za drzwiami w sieni...

– To i dobrze! Patrz, prosto pod dąb idzie... Poczciwości dziewczynina!

Jakoż Marysia istotnie prosto pod dąb szła, który pełen był szumów cichych i łaskawych, jakby właśnie słowa szeptał jakie. Przyszedłszy, obejrzała się dziewczyna za patykiem jakim, żeby rozgrzebać ziemię na mogiłkę dla chomika swego, gdy wtem spostrzegła motykę Skrobkową o pień dębu wspartą.

– Dziękaj Bogu! – szepnęła. – Tatuńcio zabaczyli motyki... Będzie czym godny dołek wybrać!

I zaraz zaczęła kopać złożony chomika na trawie. Uderzyła raz motyką, uderzyła drugi, dziwując się w sobie, że jej ta robota tak lekko idzie. Motyka jak piórko, a ziemia tak pulchna, jakby dopiero co usypana.

– Okrutniem zmocniała na Skrobkowym chlebie! – szepnęła z uśmiechem. – Ani pół, gdzie... ani ćwierć tej mocy nie było we mnie, kiedym gęsie pasła.

Pomyślała i westchnęła z cicha:

– Hej, hej!... Czym ja się też, sierota, za chleb ten wywdzięczę?... Bóg chyba zapłaci za mnie.

Domawiała tych słów właśnie, kiedy jej motyka przez cienką ziemi warstewkę do głębokiej jamy wpadła. Ledwie że ją utrzymała dziewczynina w ręku.

– Laboga! – rzekła. – To ci te korzenie dębowe takie sobie miejsce robią, żeby gdzie pod ziemią iść miały! A niech tam! Będzie tu i nagrobek mego chomika.

A wtem przez gałęzie dębu promień księżycy padł i uczyniło się pod dębem jasno. Skoczyła Marysia po gałązki i zapuściwszy z nimi rączynę w ziemię, poczuła nagle coś sypkiego w ręku. Wyciągnie garstkę, spojrzy – pszenica jak złoto! Zapuści rękę raz jeszcze – ziarna kupa! Jak w spichrzu u tęgiego chłopca, taka kupa! Gdzie posunie ręką, wszędzie ziarno, ziarno... A księżyc coraz jaśniejszy, a świat coraz bielszy, a taka światłość bije od ziarna, właśnie jak od skarbu, o którym bajki mówią, a dąb szumi lekuchno, cichuchno, łaskawie...

...Odpłaci Bóg za ciebie, sieroto, odpłaci!

– Laboga! Laboga! – powtarza Marysia zdumiona, aż porwie się z nagłym krzykiem i do chaty bieży. Wpadła, stanęła u progu, serce się jej jak ptak tłucze.

– Gospodarzu!... Tatuńciu! — mówi zdyszczanym głosem, a łzy radości z oczu jej się jako perły sypią.

Siedział Skrobek na zydlu przed kominem, z głową zwieszoną w trosce, wszczepiwszy sękaty palec w zwichrzoną czuprynę. Tak był zafrasowany, czym półko obsieje, że i nie słyszał nawet, jak drzwi skrzypnęły, a Marysia wbiegła.

– Tatuńciu! – powtórzyła Marysia ciągnąc go za rękaw. – Pszenica je!

Spojrzał na nią błędnym wzrokiem, nie rozumiejąc, co mówi. Zdawało mu się, że to sen, że to oman taki.

Ale sierota nie ustępowała.

– Pszenica je, tatuńciu! Dużo pszenicy!... Skrobek wytrzeszczył oczy; sine żyły nabiegły mu na czole.

– Co ty gadasz? Co ty, dziewczucha, gadasz? – zawołał chwyciwszy ją za ramię.

– A co by?... – powtórzyła Marysia, której pod Skrobkową ręką aż świeczki w oczach stanęły. – Gadam oto, tatuńciu, co pszenica na siew je!

Porwał się Skrobek z zydlu i za czapkę chwycił.

– Co?... Gdzie?... Gdzie pszenica na siew?

Ręce mu się trzęsły, nogi drżały pod nim, a głos tak mu się w gardle wparł, że ledwo chłop ubogi mógł przemówić z onej wielkiej radości.

Jezu miłosierny! Gdzie? Gdzie?...

– A haj, pod dębem!... Pod samiuśkim naszym dębem – wesoło zawołała Marysia. – Bierzcie płachtę, tatuńciu, albo worek, bo tego setna kupa je!

– Panie Jezu! Panie Jezu! – powtarzał Skrobek szukając worka na zapiecku. – Kupa, powiadasz?... A niechże ci Bóg błogosławi, sieroto! A toś mi radość przyniosła, jakoby własna... rodzona...

Marysia już była przy drzwiach.

– A pójdzma prędzej, bo tam miesięczek tak świeci... tak świeci...

Poszli.

JALMUŻNA PÓLPANKA

I

Koszałek-Opalek, który od owej przygody z Marysinymi gąskami kątem u Sadelka mieszkał, dziwił się niepomiernie dnia tego, że gospodarz tak długo nie wraca. Zazwyczaj wymykał się lis z jamy pod wieczór, a przychodził rano; z tą wszelako różnicą, iż przy wyjściu przeciskał się wąskim podziemnym gankiem, który prowadził wprost ku wsi, wracał zaś obszernym wejściem od strony lasu, tak bywał objedzony i gruby, po czym rzucał się na legowisko i chrapał aż do zmierzchu dzień cały.

Zastanawiały Koszałka-Opalka te nocne wycieczki gospodarza, ale jako przyjęty w gościnę, nie pytał o nic.

Aż raz sam Sadelko przemówił do niego w te słowa:

– Widzisz waszmość pan przed sobą najniezwyklejszego zwierza, jaki kiedykolwiek na czterech łapach po tym świecie chodził! Matka moja była lunaticzką, a ja odziedziczyłem po niej to usposobienie! Com się nie napłacił doktorom, konowałom, owczarzom! Com się nie nabrał proszków, mikstur, balsamów, pigulek! Pół majątku mego na to poszło. Dość będzie, gdy powiem waszmości panu, że samymi receptami trzy zimy opalał mieszkanie, a choć mrozy ścisnęły siarczyste, było u mnie tak ciepło jak w uchu! No i co waszmość pan powiesz, wszystko to na nic.

Niech tylko księżyc błysnie na wschodzie, choćby tyle, tycio, już mnie coś pędzi, coś rwie, żeby iść i po dachach chodzić. Próbowałem się już nawet przywiązywać za ogon do kołka, który oto waszmość pan w pośrodku jamy widzisz, ale i tak na nic.

Jak mną szarpnęło, to najpiękniejszy kosmyk mojej kity na sznurku u kołka został, a ja się znalazłem za progiem. Patrz, waszmość, proszę! Dotąd noszę ślady tego wypadku.

Powstały nawet plotki, że psy kowala tak mi część ogona wyszarpały, co, oczywiście, potwarz jest i oszczerstwo bezwstydné!

I takem już przywykł, tak to chodzenie po księżycu drugą naturą moją się stało, że czy księżyc świeci, czy nie świeci, muszę z jamy precz, jak tylko zmierzchać zacząć.

Owszem, im ciemniej, tym z większą gwałtownością wrywa mnie z domu ku wsi.

Czasem noc czarna, że choć oko wykol, a ja, zwierz niezczęsny, błąkam się, gdzie kurnik, gdzie chlewik.

Jedno albowiem tylko gdakanie kokoszy i pianie kogutów, że już o gęganiu gęsi nie wspomnę, uspokaja nieco moje nerwy!

Ha! Wola nieba!

Tu westchnął tak mocno, że mu się wąsy pod nosem na sztorc podniosły jak wiechy, po czym zaraz na legowisko szedł i zasypiał chrapiąc smaczno a oblizując się tylko przez sen od ucha do ucha.

Ale dzisiaj Koszałek-Opalek pełen był niespokojności. I ranek minął, i południe minęło, a lisa nie było w domu.

Wyjrzał uczony kronikarz raz, wyjrzał drugi raz, ale jak okiem zajrzeć – bór tylko szumił gdzieś z cicha, wysoko, a drzewa tajemniczo gwarzyły z sobą, chwając wierzchołkami. Niżej

wiewiórki uganiały się po gałęziach dębów i buków, a jeszcze niżej szeptały paprocie, mchy i borówki, pełne czerwonych jagód. Zresztą – cisza.

Już i wieczór przybliżać się zaczął, i księżyc błysnął na niebie, a lis nie wracał.

Podpasał tedy Koszałek-Opalek opończę swoją, wziął kaptur na głowę i żywym niepokojem przejęty postanowił szukać Sadelka. Pocziwy Krasnoludek przywiązał się bowiem do lisa, o którego zbójceckich sprawkach nie wiedząc miał go za najzacniejszego zwierza.

Właśnie nałożył fajeczkę i chciał ją przed wyjściem zapalić, kiedy od strony wąskiego ganku jamy dały się słyszeć ciężkie, czające się kroki. Wyraźnie ktoś szedł od wsi. Ktoś w wielkich, podkutych butach.

Zadziwił się Koszałek-Opalek i jak stał z fajeczką w zębach, z krzesiwkiem w jednej ręce, a z hubką w drugiej, pilnie nasłuchiwać zaczął.

Kroki zbliżały się z każdą chwilą: już były u wejścia do owego ganku.

Skoczył Koszałek-Opalek i ucho do ściany przyłożył, gdy wtem najwyraźniej posłyszał gruby głos kowala, którego przy wejściu do wsi, przed niedawnym czasem, na progu kuźni był widział.

– Czekażcie, niecnoto! – mówił głos. – Nie poradziły ci baby, to ja ci poradzę!...

Zrobiła się cisza, a Krasnoludkowi serce biło jak młotem. Ucha jednak od ściany nie odejmowali czekał, co będzie.

Wtem zakręciło go coś w nosie tak potężnie, że kichnął raz po raz trzy razy.

– Aha!... Już cię doszło! Już parskasz! – odezwał się znów gruby głos kowala. – Poczekaj. Będiesz tu zaraz miał więcej tego dobrego!

Jakoż natychmiast potężny kłęb gryzącego dymu uderzył przez otwór jamy w sam nos Koszałka-Opalka, tak że Krasnoludek odskoczył gwałtownie, krztusząc się.

Tymczasem jednak uderzył w jamę kłęb drugi i trzeci, a powietrze uczyniło się tak nieznośnie gryzące, że Krasnoludkowi łzy pociekły z oczu. Gruby zaś głos dogadywał z zewnątrz:

– Za moje kokosze! Za moje koguty! Za moje indyczki! Masz! Masz! Masz!

A przy każdym słowie nowy kłęb dymu walił przez wąski otwór tak zjadliwie, że w całej jamie zrobiło się ciemno i zupełnie sino.

Oczadzony Koszałek-Opalek szukał po omacku drugiego wyjścia z jamy w las, lecz tak mu się kręciło w głowie, taką czarność przed oczami miał, iż nieprzytomnie biegając z kąta w kąt, zgoła do wyjścia owego trafić nie mógł.

Zimny pot oblał mu czoło, serce biło coraz to gwałtowniej, cała jama zdawała się kręcić w koło przed oczyma jego, a dymu przybywało coraz.

Już myślał biedny Koszałek-Opalek, że przyszła na niego ostatnia godzina, kiedy nagle rękoma na otwór trafiwszy, na wpół zduszony z jamy w las wyskoczył, a przebiegłszy kilkadziesiąt kroków upadł w paprocie i zemdlął.

Cisza była i ranek, gdy Krasnoludek ocknął się z długiego omdlenia. Woń spalenizny czuć było jeszcze w powietrzu, ale już ją rozwiewał wiatr wschodni. Siadł Koszałek-Opalek wciągając powiew świeży w płuca; lecz długa chwila minęła, zanim oprzytomniał zupełnie; głowę bowiem miał i teraz jeszcze niezmiernie ciężką, tak że mu opadała to na jedno, to na drugie ramię.

Gdy wreszcie przyszedł do siebie i ku jamie spojrzął, zobaczył zamiast niej kupę rozkopanego piasku, który tu i ówdzie czerniał, okopcony dymem. Porwał się Koszałek-Opalek i zaczął biec ku owym zgliszczom w największej trwodze. Przypomniał sobie bowiem, iż w jamie pozostały pióra, które mu podarował Sadelko, kałamarz uczyniony z żółdzi, a nade wszystko nowo sprawiona z kory brzozonej księga, której sporządzenie kosztowało go немало trudu.

Na próżno jednak grzebał patykiem w piasku do południa prawie: z piór znalazł tylko czarne niedopalki, z księgi – poskręcane w rurki i przepalone karty, z których nic już odczytać się nie dało, a kałamarniczek przepadł bez żadnego śladu.

Załamane tedy ręce nad tą ruiną wszystkich swych nadziei nieszczęsny kronikarz, a dwie łyżki jasne potoczyły się po jego oczernionej dymem twarzy.

Także go to czekała przygoda? Więc ten zwierzy ranny, a ów Wielki Lis, wódz Tatarów uprowadzających w jasyr kury i koguty – to jedno? Więc takie to były owe księżycowe wycieczki? Więc i on sam, Koszałek-Opalek, dopomagał lisowi do złego? Mieszkał pod dachem okrutnego zbójcy. A teraz wziął karę za to, że lekkomyślnie zdraycy zawierzył.

Stał jeszcze Krasnoludek pogrążony w tych posępnych myślach, kiedy go wyrwało z zadumy bicie wielu skrzydeł i głośne krakanie.

Spojrzał w górę: było to stado wron lecących nad nim ku leszczynowym krzakom popod lasem, gdzie też na ziemię czarną chmurą spadły.

Poszedł w to miejsce Koszałek-Opalek i w najwyższym przerażeniu ujrzał leżącego bez ducha Sadelka, nad którym krążyło teraz owo czarne stado.

Zapłakał pocziwy Koszałek-Opalek nad tak srogim losem nieszczęsnego zwierza, a nasunawszy kaptur głęboko na głowę, szedł w świat, gdzie oczy poniosą.

II

Smutna i ciężka była droga biednego kronikarza. Już wiatr jesienny nad borem latał, liście z drzew rwał, z szumem je niósł i o ziemię ciskał.

Pola pożółkły, poczerniały łąki, ostatni skowronek dawno już śpiewać przestał. Blade, jakby przygaszone słońce przeglądało przez chmury, wiatrem północnym pędzone. Żurawie z krzykiem porwały się we mgłach, lecąc daleko za morze.

Głodny i zziębnięty byłby Koszałek-Opalek na nic zmarniał, gdyby nie owe gromadki pastuszków, które na polach, na rżyskach palą ogień i kartofle pieką. Gdzie więc tylko pod lasem czy w szczerym polu siną smugę dymu i mały ogienek zobaczył, tam szedł, przy chruście siadał i pastuszków o kartofle prosił. Dawali mu je chętnie, bo im, jedząc, dziwy powiadał, a dzieci słuchały, otworzywszy gębki.

– Ho! ho! – mówił. – Nie w takich ja już drogach byłem! Raz, pamiętam, służyłem w wojsku – wtedy byłem adiutantem – a król jegomość miał z całą armią kwaterę pod kominem u jednej baby. Aż tu wypadł nam marsz od pieca do samego proga.

Posyła król mnie, jako adiutanta swego, pytać, czy wojsko maszerować może. Wychodzę spod komina, patrzę, baba przedzie.

Kłaniam się grzecznie i pytam:

„Czy może wojsko nasze maszerować przez izbę?”

Wytrzeszczyła baba oczy, ale mówi:

„Można”.

Takem zaraz skoczył do króla, król bębnić kazał, zrobił się ruch okrutny pod kominem, muzyka zagrała marsza i całe nasze wojsko przeszło prezentując broń przed babą. Kiedy opowiadała później o tym, to nikt wierzyć nie chciał.

– Reta! – mówią pastuszki, szerzej jeszcze otwierając gęby.

A Koszałek-Opalek chrustu dokłada, kartofle gorącym popiołem przysypuje, aż znów prawić zacznie:

– Drugi znów raz tak było:

Żeni się jeden nasz Krasnoludek, ale biedny był i nie miał co na wesele gościom dać. Więc idzie do owczarka i mówi:

„Dajże mnie odpowiednie jagnię, a ja cię na wesele prosić będę”.

Owczarek dał. Niedługo przychodzą družbowie i na wesele go proszą.

„Gdziez będzie to wesele?” – pyta owczarek.

„A w mysiej norze” – odpowiadają družbowie.

„Ano, dobrze”.

Wystroił się owczarek w nową kapotę, buty sadłem wysmarował, wstążeczkę u koszuli zawiązał – idzie.

Ciężko mu było wejść, ale jak się dobrze przygiął, tak i wszedł.

Dopieroż się zadziwił! Myślał, że w takiej mysiej norze to będzie i ciasno, i brudno, a tam wszystko od złota aż lśni. Tu muzyka przygrywa, tu panna młoda w pierwszą parę idzie, tu stół zastawiony choć na sto osób, tylko się pieczenie smakowite z tego jagniątką kurzą.

Najadł się owczarek do syta, wytańcował, ile chciał, jeszcze mu i na drogę muzyka grała. To jak wyszedł na ziemię, tak tylko precz śpiewał a śpiewał, a to wesele wspominał, póki tylko żył.

– Laboga!... – wrzasną znów pastuszki wytrzeszczywszy na Koszałka-Opalka oczy.

A ów głową kiwa i rzecze:

– Tak! Tak! Krasnoludki, choć małe, mocne są i dużo rzeczy wiedzą.

III

Właśnie kiedy się to działo, wyszedł sobie Półpanek na małą jesienną przechadzkę.

Zdrowie jego znów było w kwitającym stanie. Na wydętym gardle zaledwie pozostała blizna po owym szwie, którym mu babuleńka pękniętą skórę zeszyła, ale biały krawat zakrywał wszystko prawie.

Miał dnia tego Półpanek na sobie tabaczkowy rajtrok, perłowe szarawary, piękną kamizelkę, na której się kołysał ciężki brelok od zegarka, z sygnetem, laskę pod pachą, stojący kołnierzyk i mankiety śnieżnej białości, lekkie ciżemki na nogach, na rękach zaś zielone rękawiczki.

Szedł nadęty i rad sam z siebie, a głowę do góry zadzierał, bo choć głos stracił, w dwoje tyle przybyło mu pychy.

Ta pycha rozdymała go.

Powłazili na brzeg strugi, aby mu się przypatrzeć, dawni towarzysze, ten i ów zakwakał z podziwu, ale Półpanek nie raczył obejrzeć się nawet.

– Ta żabia czereda mniema – szeptał sam do siebie – że się ze mną bratać i koligacić może! Co za bezczelność! Jak będę mógł, najdalej odejdę od tej strugi, żeby się z taką familijką nie łączyć.

Człowiek sam nieraz nie wie, jak i co odpowiedzieć ma! Nie dalej jak wczora spotkałem Haraburdę i Szumca, dwóch prawdziwych bąków, którzy się pieczętują herbem „Bąk de Bąk”, choć, między nami mówiąc, pochodzić mają podobno z prostych trzmielów.

Pytają mnie:

„Jestże to prawda, że pan jesteś rodem z tej strugi?”

Oburzyłem się na to i rzekę:

„Ja? Z tej strugi? O moi panowie! Nie tylko że nie pochodzę z tej strugi, ale wprost cierpieć jej nie mogę od czasu, jakem się w niej urodził!”

Tak im powiedziałem.

A tu powystawia głowy ta hałastra i nuż kwakać:

„Brat... brat... brat...”

A na to drugie:

„Nasz... nasz... nasz...”

A za nim trzecie:

„Żaba... żaba... żaba...”

A czwarte jeszcze:

„Jak my... jak my... jak my...”

Oszaleć naprawdę można!

Z pierwszej sposobności skorzystam, żeby się stąd jak najdalej wynieść! Jak najdalej!...

Może sobie nawet w mieście kamienicę kupię! Pieniądzy mi starczy, com dostał od Krasnoludków za moją śliczną muzykę.

Szedł rozmyślając o tym, kiedy go nagle doleci jęk cichy, błagalny. Spojrzy Półpanek, a tu spod płota wstaje nędzny, stary drobny człowieczyna, z obnażoną głową, z wychudzoną twarzą i wyciąga do niego ręce, o pomoc prosząc.

– Nie omijaj mnie, panie! – rzecze ów nędzarz stłumionym głosem. – Jestem tułaczem bezdomnym... Koszałek-Opalek się zwę... Możeś słyszał o mnie? Historykiem nadwornym króla Błystka byłem... Opuściło mnie wszystko a wszystko. I ta sława, dla której poświęciłem spokojność, i szczęście... Gdzie towarzysze moi? Gdzie kraina moja?

Mówił, a wielkie łzy spadały mu z wychudłej twarzy.

Ale Półpanek nadał się bardziej jeszcze i już go chciał minąć, gdy wtem zobaczył sroczkę, która podrygując na płocie przypatrywała mu się to jednym, to drugim okiem. Natychmiast tedy zmienił zamiar i do kieszeni sięgnął.

Wiedział dobrze, iż tego jeszcze dnia cała okolica dowie się od sroki, jaki to Półpanek miłosierny i wspaniałomyślny.

Nastawił kaptura Koszałek-Opalek czekając datku, a wtem sroka, spłoszona tym ruchem, uciekła.

Raz jeszcze tedy zmienił swój zamiar Półpanek i poczuwszy w palcach nieco okruszyn trawy zeszcłej w kieszeni, wziął je i nędzarzowi do kaptura rzucił.

– Bóg zapłać! – rzecze Koszałek-Opalek.

A wtem nagle zabłyszcza mu w ręku owe dobyte z kaptura prochy jak słońce.

Spojrzy Półpanek, a nędzarz trzyma garść ważnego złota; chwyci się za kieszenie, gdzie trzos z dukatami chował, a tam garstka śmieci.

Krzyknął Półpanek, jakby nigdy nie był stracił głosu, i podniósł na nędzarza laskę, ale drobny, stary człeczyna tak mu z oczu zniknął, jakby się zapadł w ziemię. W powietrzu tylko dał się słyszeć głos z oddalonej strugi:

Brat... brat... brat...

Nasz... nasz... nasz...

Żaba... żaba... żaba...

Jak my... jak my... jak my...

Był to ostatni chór żab tej jesieni.

Powrót Krasnoludków pod ziemię

Zachodziło słońce: jesienne słońce ogromne i złote. Od kilku dni wypogodziło się niebo, ocieplała ziemia, jakaś polna ptaszyna śpiewała zapóźnioną piosnkę.

W powietrzu różanym, na miedzach stokrocie zamykały złote, srebrne swoje oczka, z topoli padały ostatnie liście w wielkiej, złotej ciszy.

Skrobek tylko co dostał ostatnią garść pszenicy. Stał on w zachodniej łunie, przepasany płachtą lnianą, z obnażoną głową, z twarzą jasną i rozradowaną, patrząc w purpurę zorzy. Pod gajem pasły szkapę dwa chłopięta jego, zdrowe i czerstwe jak dwa maczki polne; szkapa rżała raz po raz, skubiąc resztki trawy, a dziecięce głoski jasne biły w ciszę zachodu.

Ale w Słowiczej Dolinie gwaro było i rojno. To król Błystek zwołał wiec i zamykał go właśnie uroczyście. Piękny był widok!

Pod dębem prastarym, którego liście drżały lekko w powietrzu uciszonym, jasnym, stał tron królewski z kamieni polnych wzniesiony, mchami i kwieciem nakryty, kobiercem mchów podestłany.

Dokoła tronu drużyna wiernych Krasnoludków w jaskrawych odzieżach, w pstrych kapturach, z narzędziami prac swoich w ręku.

Gwaro i raźnie w gromadce tej było; nikt tu nie stał ze smutną i ponurą twarzą.

Uśmiech latał z ust na usta, zapał błyszczał w źrenicach, ręce się bratersko ścisnęły, serca żywo biły.

Ale nagle gwar ucichł i szmery umilkły.

Podniósł się król, tak jako był widzian w ową noc sobótki, w białej szacie królewskiej, w złotej koronie i z brylantowym berłem.

Ale choć w bieli był, taki blask padał od niego od zachodniej zorzy, iż mu się szata złotem i purpurą mieniła na przemian i po twarzy mu ognie szły, a siwa broda jego drżała srebrem.

Wstał oto i podniósł berło.

Uderzyli trębacze w złote trąby krótką pobudkę i umilkli.

Król spojrział na lud swój, a skinąwszy berłem, rzekł:

– Drużyno moja wierna! Pracownicy moje! Kończy się dzień wasz i robota wasza. Wieczór idzie, a z nim spoczynek i spokój. Spójrzycie na poranek i na południe wasze przy blaskach zachodniej zorzy, albowiem to jest pochodnia, która pokazuje prawdę dnia!

Tu zatrzymał się stary król i była cisza.

A wtem w oddaleniu dał się słyszeć jakoby gwar, szum i bicie młota.

To dzwonnik naprawiał dawno zepsuty dzwon na starej wieży i dawał mu serce.

Ale król znów mówić zaczął:

– Była wiosna – i sialiście kwiaty, puste i dzikie miejsce uczyniliście radosnym i pięknym. Było lato – i śpiewaliście pieśń pogody i pracy. Przyszła jesień – i oto stoicie w złocie i purpurze jej i obliczacie owoce, które wam zrodziła, abyście je spożyli w weselu.

Tu zamilkł król i spoczywał, i była cisza.

I znów w ciszy tej odezwał się, ale już silniej, ów szum dziwny i łoskot.

Młot dzwonnika uderzał rozgłośnię] coraz na wysokiej wieży.

Chłód powiał po drużynie Krasnoludków, chłód cienia, zmierzchów i surowej zielni. Jeden t drugi wstrząsnął się dreszczem nagłym.

Król mówił dalej:

– Oto się złoci w zachodnich zorzach ziemi szmat, który był dziki, a teraz zaorany jest i obsiany ziarnem. I oto złoci się radością duszą człowieka, który to uczynił.

Lecz wy byliście pomocnikami jego.

I oto główki dzieci jego, które były zwiędłe, a ożyły, i były smętne, a są radosne, i były naznaczone ciemnością, a teraz naznaczone są światłem.

Chleb będzie, gdzie był głód, a gdzie noc była, tam będzie poranek.

Lecz wy byliście pomocnikami światła.

I oto sierota, która była jako jagnię bez uchrony i jak gołąb bez gniazda, przygarnięta jest pod dach i policzona między rodzone, jako jedno z nich.

I jest błogosławieństwem chaty, a dobro weszło za nią, jak wchodzi woń za wiosennym kwieciem.

A wy byliście i ku temu także wdzięczną i czujną pomocą.

Umilkł, a zrobiła się cisza.–

A w ciszy tej ozwały się trzy uderzenia młota; trzy tylko, lecz tak potężne, iż zaraz poznać było można, że ostateczne są i że dzieło kończą.

Odwrócił król głowę siwą i przez chwilę słuchał i drużyna jego słuchała.

I przeszedł po nich dreszcz, i chłodem powiało od boru.

Tu i ówdzie zagasła żrenica, tu i ówdzie zniknął uśmiech, tu i ówdzie zacisnęły się dłonie.

Przypomniały sobie Krasnoludki ową starą, starą wieść, że gdzie uderzy dzwon, tam one – pod ziemię muszą.

Król wszakże był spokojny i tak mówił dalej:

– Jednego z towarzyszy straciliśmy, bracia. Straciliśmy uczonego Koszałka-Opalka. Odlączył się od nas, aby szukać sławy. Nie nam go sądzić. Niech idzie za gwiazdą swoją. Co do nas, przeżyliśmy tu dni dobre i chwile szczęśliwe.

Błogosławmy temu zakątkowi ziemi.

– Błogosławmy! – zawołały wierne Krasnoludki.

I nagle zrobiła się cisza.

Wzniósł ręce król stary i wyciągnął je nad uciszoną doliną, i błogosławił jej.

Sto rąk, sto ramion podniosło się za nim w różane powietrze, w którym drżała promienista gwiazda królewskiego berła, i błogosławiły temu zakątkowi ziemi.

A wtem słońce stoczyło się wielką kulą aż na krawędź świata.

– Piękny zachód! – rzekł król.

– Piękny... piękny zachód! – zawołały wierne Krasnoludki.

Naraz zaczęły dzwony bić...

Daleko gdzieś, daleko, wysoko gdzieś, wysoko, nad borem, nad lasem, głos dzwonu płynął i obejmował pola i łąki, i drżały pod nim trawy zroszone i zioła, a od nieba do ziemi w wielkiej wieczornej ciszy rozbrzmiewał szeroko głos dzwonu.

I nagle pod głosem tym zaczęły się osypywać barwy i kolory z wiernych Krasnoludków, tak właśnie jak się osypują złote liście z drzew jesiennych w modrej i słonecznej ciszy wrześniowego ranka.

Wzgórek, tron, król stary i cała drużyna rozwiały się cieniem.

Dzwon bił... słońce gasło.

Listki unoszące się lekko w powietrzu sypnęły na ziemię.

Pod ich warstwą znikł wzgórek, na którym przed chwilą stały Krasnoludki.

Ukażą się znowu, ale nie pierwej, aż słonko wiosenne zaświeci.

Z CAŁEGO NARODU

Z całego narodu drobnych Krasnoludków został jeden tylko Koszałek-Opalek, który na wspólną schadzkę nie nadszedł.

Stary, opuszczony sierota w miesięcznym promieniu cicho stąpa po śniegu i ręce drżące przy jasności srebrnej grzeje.

Jeden Koszałek-Opalek chodzi po świecie razem ze swoją brodą siwą, z wielkimi nastroszonymi brwiami, z kapturkiem i kubraczkiem ciemnym, a także ze swoim starym poczciwym sercem; z pękiem kluczy u pasa, na które zamyka dzwonki polne, żeby nie budziły śpiących łąk, i konwalie, żeby nie budziły gajów podczas zimy.

Jeden Koszałek-Opalek chodzi po świecie, z jasnego szronu pereł sznurki nize. Porzucił już zupełnie one to myśli o sławie, co były początkiem i pychy jego, i niedoli.

Prosty się zrobił, dobry, cichy, z maluczkimi przestający, z wszelkim żywym stworzeniem sercem się dzielący.

Ciężkie on chwile miał, gdy się od mistrza Sarabandy dowiedział o zachodzie i zmierzchu całej swej drużyny, która pod ziemią przed mrozem się skryta. Ale przeboleł potem i pod dębem owym nieraz z tym małym gęślarzem siada i słucha pieśni jego.

Wielkiej swojej „Historii Krasnoludków” pewno nigdy już nie napisze. Co mu, co i światu po księdze takiej, którą ogień spalić, a wiatr rozwiać może? On sobie znalazł lepszą, żywą księgę.

On siada przy łóżeczkach dzieci, gdy usnąć nie mogą i prawi im o królu Błystku, jego złotej koronie, królewskiej szacie i brylantowym berle; on im rozpowiada o Kryształowej Grocie, o mieczach, o tarczach, o rycerzach; on im mówi o wielkiej wiosennej wyprawie na Skrobkowym wozie, o skarbach ukrytych, o drużynie wiernych towarzyszków i o Marysi sierotce.

On i mnie raz, podczas bezsennej nocy zimowej, opowiedział tę całą historię, którą tu spisałam.

Objaśnienia

- animusz — odwaga
- bodnia albo bednia – rodzaj beczki wyciętej w kłodzie albo uplecionej z wikliny dla przechowania zboża, kapusty
- brelok – ozdobny wisiołek, np. przy zegarku
- desperacja – zmartwienie, rozpacz
- fryga – bąk, zabawka dziecięca kręcąca się po podłodze
- fular – lekka materia jedwabna
- hebda albo hebd – ziele rosnące po lasach, używane na wsi dla celów leczniczych jako zaprawa do kąpieli
- kielce – toż samo, co zęby, kły zwierzęce
- konował — lekarz zwierząt, szczególnie koni, weterynarz
- koszatka – zwierzątko z rodzaju gryzoni
- litaury – bębny mające skórę napiętą na kotłach miedzianych
- lunatyk – człowiek dotknięty chorobą nerwową, skutkiem której śpiąc może chodzić, a nawet wykonywać bezwiednie różne czynności
- lątka – znaczy także: gałązka wierzbową; stąd: wić łątki – splatać wieńce
- madejowe łoże – w baśni o zbójcu Madeju jest mowa o łożu przygotowanym w piekle dla rozbójnika; było ono najeżone kolcami, za posłanie miało brzytwy i noże
- magać – wywracać, magać kozły – koziołkować
- magierka – czapka wełniana okrągła z płaskim denkiem, noszona dawniej często przez chłopów
- mikstura — mieszanina
- murzać – (wymawia się: mur-zać) – powalać, pobrudzić
- obrzasnąć, obrzasknąć — oświecić brzaskiem
- oman, także omam – zwodnicza zjawą, majak
- z partesa stapać — kroczyć z powagą, uroczyście
- pokrzyk – ziele pokrzykowe, także psianka, roślina, o której baśń ludowa mówi, że wyciągana z ziemi, wydaje okrzyk niby człowiek; stąd w tekście: „z ludzką twarzą”
- pokurć albo pokurcz – pies mieszaniec z rodziców różnej rasy
- polityczny – grzeczny, uprzejmy
- prezencja – wygląd zewnętrzny, postawa
- rajtrok – kapota
- rezydencja – tu: siedziba królewska
- scheda – spuścizna
- sepet – skrzynka, kufer
- siodłaty – mający upierzenie inne na grzbiecie, a inne na skrzydłach; gęś siodłata biała ma skrzydła w połowie czarne
- sygnet – pierścień mający w oczku wyrytą na kamieniu lub w metalu pieczętkę z herbem lub pierwszymi literami imienia i nazwiska; czasem taką pieczętkę nosiło się także jako wisiołek u zegarka
- szalamaja – fujarka, piszczałka
- szprync – skok
- tatarak – tatarskie ziele albo ajer, szuwar, roślina wodna
- trybunał – sąd najwyższy
- waleta – pożegnanie
- zuchelek – kawałek